

Sandemo Margit

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA

Saga o Królestwie Światła 05

Z norweskiego przełożyła

ANNA MARCINIAKÓWNA

POL-NORDICA

Otwock 1998

Miranda dwa razy odwiedzała Królestwo Ciemności i w mrocznym kraju Timona zakochała się w dumnym Waregu, Gondagilu. Bezgranicznie i nieszczęśliwie – on bowiem nie mógł jej towarzyszyć do Królestwa Światła. Teraz mur został zamknięty na stałe, a Miranda wie, że czas nie sprzyja jej miłości. Kiedy ona przeżyje miesiąc bez Gondagila, w Królestwie Ciemności minie cały rok...

RODZINA CZARNOKSIĘŻNIKA

LUDZIE LODU

INNI

Heinrich Reuss von Gera, zły rycerz, który przeszedł na stronę dobra.

Ponadto w Królestwie Światła mieszkają ludzie z rozmaitych epok, ponieważ dla wszystkich czas zatrzymuje się bądź cofa do wieku trzydziestu, trzydziestu pięciu lat i umierają tylko ci, którzy tego pragną. Inni, którzy zmarli nie zaznawszy w pełni smaku życia, otrzymują tu możliwość ponownej egzystencji. Są tu także Obcy wraz ze Strażnikami, Lemurowie, Madragowie, duchy Móriego, duchy przodków Ludzi Lodu, które zdecydowały się pójść za Markiem, elfy wraz z innymi duszkami przyrody, istoty natury zamieszkujące Starą Twierdzę oraz wiele różnych zwierząt.

Poza tym w południowej części Królestwa Światła żyje pewna grupa, której bohaterowie jeszcze nie spotkali i nie wiedzą nawet o jej istnieniu.

Są też nieznanne plemiona z Królestwa Ciemności oraz to, co kryje się w Górach Umarłych, źródło pełnego skargi zawodzenia. Nikt nie wie, co to jest.

STRESZCZENIE

Do Królestwa Światła dotarli już wszyscy ci, których historię kolejno postaramy się przedstawić.

Głównymi bohaterami opowieści będą reprezentanci młodszego pokolenia. Pojawić się mogą wprawdzie nowe, dotychczas nie znane postaci, lecz trzon niepoprawnej grupy przyjaciół stanowią następujące osoby:

Jori, syn Taran, chłopak o brązowych, kręconych włosach, który odziedziczył po ojcu łagodne spojrzenie, a po matce katastrofalny brak odpowiedzialności. Wzrostem i urodą nie dorównuje przyjaciołom, lecz te braki kompensuje szaleństwem i śmiałością.

Jaskari, syn Villemanna, grupowy siłacz, długowłosa blondyn o bardzo niebieskich oczach i mięśniach, które grożą rozerwaniem koszuli i spodni. Kocha zwierzęta.

Armas, w połowie Obcy, wysoki, inteligentny, o jedwabistych włosach i przenikliwym spojrzeniu. Obdarzony nadzwyczajnymi zdolnościami i wychowany znacznie surowiej niż pozostali.

Elena, córka Danielle, o beznadziejnej, jak sama twierdzi, figurze. Spokojna i sympatyczna, lecz wewnętrznie niepewna, za wszelką cenę pragnie być taka jak wszyscy. Ma długą grzywę drobno wijących się loczków.

Berengaria, córka Rafaela, o cztery lata młodsza od pozostałych. Romantyczka o smukłych członkach, długich, ciemnych, wijących się włosach i błyszczących, ciemnych oczach. Jej charakter to wachlarz wszelkich ludzkich cnót i słabości. Bystra, wesoła, skłonna do uśmiechu, ma swoje humory. Rodzice bardzo się o nią niepokoją.

Oko Nocy, młody Indianin o długich, gładkich, granatowoczarnych włosach, szlachetnym profilu i oczach ciemnych jak noc. O rok starszy od czworga opisanych na początku.

Tsi-Tsungga, zwany Tsi, istota natury ze Starej Twierdzy. Niezwykle przystojny młodzieniec o szerokich ramionach, cętkowanym zielonobrunatnym ciele, szybki i zwinnie, wprost tchnie zmysłowością.

Siska, mała księżniczka, zbiegła z Królestwa Ciemności. Z wyglądu podobna do Berengarii. Ma wielkie, skośne, lodowato szare oczy, pełne usta i bujne włosy, czarne, gładkie, lśniące niczym jedwab. Dystansuje się od młodego Tsi i jego pupila Czika, olbrzymiej wiewiórki.

Indra, gnuśna i powolna, obdarzona wielkim poczuciem humoru, z przesadą podkreśla swoje wygodnictwo. Ma wspaniałą cerę i elegancko wygięte brwi. W tym samym wieku co czworo pierwszych.

Miranda, jej o dwa lata młodsza siostra. Rudowłosa i piegowata. Wzięła na swe barki odpowiedzialność za cały świat, postanowiła go ulepszyć. Zagorzała obrończyni środowiska, o nieco chłopięcych ruchach. Nieugięta, jeśli chodzi o niesienie pomocy cierpiącym ludziom i zwierzętom.

Alice, zwana Sassą, jedna z najmłodszych, przybyła do Królestwa Światła wraz z dziadkami. Jako dziecko uległa strasznym poparzeniom. Marco usunął jej wszystkie blizny, lecz dziewczynka wciąż pozostaje nieśmiała, nie chce pokazywać się ludziom ani z nimi rozmawiać. Ma kota o imieniu Hubert Ambrozja.

Dolgo, noszący niegdyś imię Dolg Ponieważ dwieście pięćdziesiąt lat spędził w królestwie elfów, wciąż ma dwadzieścia trzy lata, posiada jednak niezwykłą mądrość i doświadczenie. Nie jest stworzony do miłości fizycznej. Jego najlepszym przyjacielem jest pies Nero.

Marco, wiecznie młody, choć liczący sobie już ponad sto lat. Niezwykle potężny książę Czarnych Sal. On także nie może poznać miłości.

Ani on, ani Dolgo nie należą do grupy młodych przyjaciół, są jednak dla nich ogromnie ważni. Marco, podobnie jak Indra, Miranda i Sassa, pochodzi z Ludzi Lodu.

OMÓWIENIE TOMU „MĘŻCZYNA Z DOLINY MGIEŁ”

Mimo surowych zakazów Miranda przedostała się przez mur do Królestwa Ciemności. Zamierzała zanieść Światło nieszczęsnym plemionom, żyjącym w wiecznym mroku. Próba się jednak nie powiodła, a dziewczyna musiała przeżyć wiele dramatycznych i bardzo nieprzyjemnych spotkań z nie znanymi istotami. Co prawda udało jej się wyjaśnić kilka tajemnic, jakimi zawsze otoczone były Góry Umarłych, ale kiedy wróciła do domu, posypały się na nią gniewne wymówki ze strony przywódców Królestwa Światła. Przebywając w Ciemności, Miranda poznała wspaniałego Gondagila, młodego człowieka z ludu Timona, plemienia osiadłego w Dolinie Mgieł, i zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Historia miłości tych dwojga nie zdążyła jednak wyjść poza okres wzajemnego zauroczenia i nieśmiałych prób zbliżenia się do siebie.

Podczas drugiego spotkania młodych sprawy ułożyły się bowiem jak najgorzej. Przedstawiciele starszyny Królestwa Światła towarzyszyli Mirandzie na drugą stronę muru, ponieważ z pierwszej swojej wyprawy przyniosła alarmujące wiadomości na temat Gór Czarnych, zwanych inaczej Górą Śmierci lub Górą Umarłych. Zostały nawiązane dobre kontakty z ludem Timona i jeszcze jednym życzliwie usposobionym plemieniem, Miranda jednak, broniąc Gondagila przed napastnikiem, została pchnięta nożem. Przyjaciele zdążyli przenieść ją z powrotem do Królestwa Światła, ale bramę w murze trzeba było zamknąć na zawsze.

Gondagil został po tamtej stronie, nie zdając sobie sprawy z tego, że jeden rok w Królestwie Światła oznacza dwanaście lat w jego krainie. Miranda wiedziała o tej różnicy czasu i to właśnie pograżało ją w głębokiej rozpacz.

1

Zbliżał się jeden z najdziwniejszych i otoczonych niezliczonymi mitami dni w roku. Zresztą to raczej noc jest taka wyjątkowa. Najdłuższy dzień w roku, mówi się dość nieprecyzyjnie, bo przecież najkrótsza noc minęła przed dwiema dobami. Ale różnica jest tak niewielka, że nie warto wdawać się w szczegóły. Noc środka lata, Johannesnatt, noc świętojańska, sobótka... ukochane dziecko nazywane jest wieloma imionami. Zgodnie ze starymi ludowymi wierzeniami moment, w którym słońce dokonuje zwrotu na niebie, jest krytyczny dla całej natury. Ziemia emanuje wtedy intensywną, cudowną życiową siłą, jakby stworzoną dla magicznych ceremonii. W tym okresie zbiera się zioła, które mają moc leczenia chorych zwierząt, stroi się obejścia liśćmi i zielenią, by zapewnić obfite zbiory. Dawniej w domach wykładano liście głogu, a na zewnątrz i w pomieszczeniach gospodarczych gałązki brzozy, tej nocy bowiem opuszczają swe kryjówki czarownice.

I nie tylko one. Zmarli odprawiają około północy sobótkowe msze. I mnóstwo złych istot, chodzących i pełzających oraz takich, których my, ludzie, nie widzimy, wyłania się z ukrycia, by próbować przekabacić ludzi na swoje kopyto albo wypaczyć ich dusze. W dawnych czasach zatykano pod belkami sufitu rozchodnik, dla każdego domownika jedną gałązkę. Jeśli roślina zwiędła, oznaczało to, że człowiek, któremu była poświęcona, umrze w ciągu najbliższego roku. Palono ogniska, najchętniej nad samą wodą, ponieważ woda posiada tej nocy cudowną siłę, wstawiano do ognia beczki ze smołą, żeby odpędzić od inwentarza wszelkie złe moce.

W Szwecji wznosi się majowe słupy; ich nazwa nie ma jednak nic wspólnego z nazwą miesiąca, pochodzi od słowa „maić”, czyli „ozdabiać, oplatać zielenią”.

Była to zawsze niezwykle tajemnicza noc, pełna mistycznych zagadek i niebezpieczeństw, zwłaszcza dla samotnych wędrowców. Tej nocy nikt nie powinien pozostawać poza domem sam.

Ale to wszystko działo się dawno, na świecie, na powierzchni ziemskiego globu. W Królestwie Światła panują chyba inne obyczaje?

Większość z tych, którzy wychodzili na zewnątrz, do Królestwa Ciemności, poddano kwarantannie.

Mirandę przewieziono do stołecznego szpitala. Straciła tak wiele krwi, że nie była w stanie poruszyć ani ręką, ani nogą, nie miała siły unieść powiek ani wyszeptać choćby jednego słowa.

Słyszała jednak wszystko, co wokół niej mówiono. Wiedziała, że brama w murze została zamknięta i że Gondagil na nią czeka. Żeby uratować jej życie, zgodził się na przeniesienie ukochanej do Królestwa Światła. On sam nie uzyskał pozwolenia, by jej towarzyszyć. Przeciwstawił się temu høvding jego plemienia, a przywódcy Królestwa Światła ulegli, by nie narażać na szwank paktu z trudem zawartego z dwoma plemionami z Królestwa Ciemności.

Gondagil wierzył jednak, że Miranda będzie mogła znowu wyjść poza mury, za tydzień, może trochę później. Nie wiedział nic o definitywnie zamkniętych bramach ani o tym, że tydzień w Królestwie Światła równa się prawie trzem miesiącom u niego, w Królestwie Ciemności. Nie wiedział, że skazano ich na wieczną rozłąkę, że już się nie zobaczą. Gondagil nigdy jeszcze nie spotkał takiej dziewczyny jak Miranda. Rozumieli się nawzajem bez słów. Ona nie próbowała zaciągnąć go do łóżka tak jak dziewczyny z jego własnego plemienia, które tylko na to czekały. Zresztą nie poznawał sam siebie, upartego samotnika, który unikał wszelkich kontaktów z ludźmi. Po raz pierwszy w swoim życiu znalazł kobietę, z którą naprawdę lubił rozmawiać. Kobietę, którą chciałby poznać bliżej, którą pragnął kochać. W jego ciele i w duszy płonęła bolesna tęsknota, jakiej w swojej samotności wcześniej się nawet nie domyślał.

Miranda leżała na szpitalnym łóżku. To odyskiwała przytomność, to znowu ją traciła. Miała wrażenie, że jest noc, czas snu. Było wokół niej tak cicho, wszelki ruch, różne głosy i dźwięki, szelest butów przesuwających się miękko po podłodze, wszystko zniknęło, świat tonął w ciszy.

Pod skórą chorej, tuż przy nadgarstkach, umieszczono gumowe rurki. Coś leżało na jej twarzy. Jakiś przewód albo wężyk, nie wiedziała, co to takiego.

Myślała, że jest w pokoju sama, ale nie była tego pewna.

W chwilę później musiała się znowu zdrzemnąć, ponieważ na granicy między snem a jawą usłyszała przerażający dźwięk.

O, jak dobrze to rozpoznawała, jak bardzo tego nienawidziła!

To znowu te głuche jęki z Gór Umarłych. Ciąg powietrza świadczył, że leży przy otwartym oknie, dlatego te zawodzące wołania brzmiały w nocnej ciszy tak wyraźnie.

Miranda była tam, na zewnątrz, po tamtej stronie muru. W Ciemności słyszała te krzyki z bardzo bliska.

Teraz jednak wydawało się, że przenikają przez niewidzialny mur do Królestwa Światła i kierują się właśnie ku niej, takie były silne.

Nagle ponad wszystkim wzniosło się wyjątkowo gwałtowne wycie, a właściwie ryk, przeciągły, donośny, jakby oznajmiał światu jakiś triumf. Miranda poczuła, że przenika ją to do szpiku kości, doznawała wrażenia, że dusze potępione wdarły się do szpitalnej izby i wyją jej prosto do ucha.

Drgnęła gwałtownie i obudziła się od tego niepoohamowanego, a teraz zamierającego wycia, które wciąż trwało w powietrzu rozedrgane, raniąc jej serce.

Czy to sen? A może rzeczywistość? Ponowny krzyk znowu dotarł do jej uszu, ale może słyszy to z powodu utraty tak wielkiej ilości krwi...

Te głosy... Tragiczne, nieskończenie smutne, człowiek stawał się przygnębiony, serce mu się krajało z powodu tych nieszczęśliwych stworzeń, które są w stanie aż tak zawodzić.

Gdyby tylko nie te okropne, złowieszcze tony... Czaiło się w nich tyle zła, a teraz pojawiło się coś jeszcze. Triumf?

Nie, musiało jej się przyśnić, krzyki były zbyt silne, zbyt wielką budziły grozę. Sen je po prostu spotęgował, nic innego nie mogło się zdarzyć.

Mimo to Miranda śmiertelnie się przeraziła.

Oddychała z wysiłkiem. Ostatnie przeżycia to więcej, niż jej słabe ciało mogło znieść. Nieustannie kręciło jej się w głowie, nie zdołała nawet zadzwonić po pomoc, chociaż trzymała dzwonek w ręce. Palec odmawiał wykonania poleceń wysyłanych przez mózg. Gondagil...

Dlaczego musiałam cię spotkać tylko po to, by cię utracić? Dopóki cię nie poznałam, nie wierzyłam, że miłość istnieje. Wiem, że na mnie czekasz. Wiem, że we mnie wierzysz. A ja muszę sprawić ci zawód.

Cicho otworzyły się jakieś drzwi, dotarł do niej szelest pielęgniarskiego fartucha i ktoś ujął ją za rękę, szukając pulsu.

Zaraz też do pokoju weszło kilka innych osób. Jakiś męski głos mówił:

– Z takimi ranami powinna już co najmniej kilkakrotnie umrzeć. Musiała się kiedyś znajdować w bezpośredniej bliskości Świętego Słońca, innego wytłumaczenia nie ma. Tak, myślała Miranda. Trzymałam we własnych dłoniach Słońce tak długo, aż zaczęło ze mnie emanować niebieskie światło.

W całym tym nieszczęściu i biedzie stwierdziła, że potrafi się jeszcze śmiać. Nie w sposób widoczny, sama do siebie, w głębi duszy. Ale to dało jej nadzieję na nowe życie. Tylko po co jej właściwie życie? Nigdy więcej przecież nie wyjdzie poza mur do Gondagila, a jemu też nie pozwolą wejść do Królestwa Światła.

Zrobiono jej zastrzyk w ramię. Potem znowu wszyscy opuścili pokój. Tak myślała, ale może ktoś jednak został.

Ogarnęło ją zmęczenie.

Kiedy obudziła się następnym razem, poczuła się silniejsza. Teraz odnosiła wrażenie, że na zewnątrz panuje dzień, ale były to tylko domysły.

Próbowała coś powiedzieć, ledwo jednak poruszyła wargami Miała sucho w ustach. Język kleił się do podniebienia i jedyne, co zdołała wydobyć z gardła, to jakieś słabe, bełkotliwe dźwięki.

Natychmiast czyjaś ręka przysunęła się do jej twarzy i zwilżyła wargi nasyconym wodą gazikiem. Miranda chciała wyssać więcej wilgoci, ale nie była w stanie.

Starła się otworzyć oczy, lecz i to okazało się zbyt trudne. Mimo to ten ktoś, kto przy niej stał, zauważył, że poczuła się lepiej, i wezwał lekarza.

– Muszę przyznać, że jesteś bardzo wytrzymałą dziewczynką – powiedział doktor wesoło do leżącej nieruchomo Mirandy. – Nawet jedna pijawka nie pożywiłaby się tą resztką krwi, jaka w tobie została. My jednak wpompowaliśmy w twoje ciało nową krew, tak że na pewno się z tego wyłizesz.

– Niezłomna jak zawsze – rzekł znajomy głos.

To Indra, siostra. Miranda uśmiechnęła się w duchu. Czy Indra była tu przez cały czas? Chyba nie. Siostra próbowałaby swoimi złośliwymi komentarzami podtrzymać w niej płomyk życia, próbowałaby apelować do jej poczucia humoru.

Nagle udało się Mirandzie otworzyć oczy. Stało wokół niej wielu ludzi, a wszyscy rozjaśnili się stwierdziwszy, że chora na nich patrzy.

– Hej, żywy trupie! – zawołała Indra wesoło. – Jak ci się udało wykonać zadanie?

Miranda zachrypięła ostro z ledwo widocznym uśmiechem w kącikach warg:

– Sama... wi... dzisz... re... zultaty.
– Oczywiście. Ale witaj z powrotem, witaj w Królestwie, i witaj w życiu!
Indra jak zwykle mówiła swobodnie, w jej głosie brzmiała ironia, ale czyż teraz nie wyczuwało się w nim również lekkiego drżenia?
– Ojciec był tutaj przez cały czas – oznajmiła. – Niczym zmartwiona kura czuwał nad swoim pisklęciem, które oddaliło się od domu i zabłądziło. Chociaż akurat teraz ojciec śpi.
Miranda zaniepokoiła się bardzo. Próbowwała usiąść, ale bez powodzenia, opadła z powrotem na poduszki.
– Jak długo... ja tutaj...?
– Spokojnie! Tylko jedną dobę.
– Jedna doba? To dla Gondagila dwanaście dni! Muszę wyjść! Muszę... do Ciemności.
– No, no – uspokajał ją lekarz. – Nic nie będziesz musiała jeszcze przez długi czas.
– Ale on czeka. Nie mogę zawieść...
– Wiemy o tym – rzekła Indra tak samo obojętna jak przedtem. – Marco nam opowiadał. Nie możesz nic zrobić, dobrze o tym wiesz.
Ale Gondagil musi dostać wiadomość, chciała zawołać Miranda. Chciała zresztą powiedzieć o wiele więcej, gdyby ktoś znowu nie zrobił jej zastrzyku w ramię, po którym, mimo gwałtownych protestów, natychmiast zasnęła. Zachowywali się wobec niej niesprawiedliwie, czy oni naprawdę niczego nie rozumieją? Czy nie domyślili się, jak wiele Gondagil i ona dla siebie nawzajem znaczą?
Nie, żadne z nich zdawało się tego nie pojmować.

Przedziwne obrazy pojawiały się w snach Mirandy. Były to sny tego typu, których nienawidziła najbardziej, gdzieś powinna dotrzeć, do jakiegoś miejsca, ale nigdy nie zdołała osiągnąć celu.

Tym razem miał się odbyć ślub, nie wiadomo jednak, kto się żenił, bowiem bohaterowie nieustannie się zmieniali. Zadaniem Mirandy było sprowadzenie dużego, silnego Warega z Królestwa Ciemności, ale Ram oświadczył, że on już jest w Królestwie Światła, nikt tylko nie chciał jej powiedzieć, gdzie się znajduje, więc rozpaczliwie go szukała. Pan młody dostał od kogoś w prezencie trzy małe szczeniaki i jeden z nich uciekł z koszyka. Ponieważ widziała to tylko Miranda, właśnie ona musiała pobiec go szukać.

Nieoczekiwanie uświadomiła sobie, że musi iść do lekarza, który przyjmował w jakimś domu na najwyższym piętrze. Portier jednak zagroził jej drogę, ponieważ jakoby tego dnia żaden lekarz nie pracował. Nieubłaganie zbliżała się pora ceremonii ślubnej i Miranda zaczynała się bardzo niepokoić, tłumaczyła, że jest właśnie na dzisiaj umówiona z lekarzem. Wtedy portier zadzwonił na górę do gabinetu i powiedział, że rodzina Mirandy idzie do lekarza, bo zamówiła wizytę.

Miranda nie miała czasu tłumaczyć portierowi, o co chodzi, bo oto w pobliżu pokazał się szczeniak i pobiegła go złapać, by nie wpadł pod jakiś pojazd. Trzymając psa w objęciach, szukała wejścia do domu, ale znalazła się w jakimś garażu, a ów mężczyzna z Ciemności, którego tak polubiła, chociaż nie mogła sobie przypomnieć jego imienia, był bardzo ładnie ubrany. Jak ona sama zdoła się przebrać we śnie? Następne obrazy

dotyczyły jakichś wysokich budynków, Miranda wciąż bezskutecznie szukała windy, którą mogłaby dojechać do lekarza, a przecież musiała się do niego jak najprędzej dostać.

Kiedy następnym razem Miranda ocknęła się ze snu czy omdlenia, trudno stwierdzić, w jakim stanie się znajdowała, wszystko wyglądało lepiej, w każdym razie pod względem fizycznym.

Wciąż jednak dręczyły ją strach i zniecierpliwienie. Gondagil czekał. Ile czasu już minęło?

Głosy zebranych w pokoju świadczyły, że wszyscy są bardzo podnieceni. Choć mówili prawie szeptem, wyczuwała wielkie zdenerwowanie, ludzie wybiegali i wbiegali do środka, był wśród nich ojciec, słyszała to wyraźnie, a przede wszystkim Indra. Słyszała, że są też Jaskari i Elena, rozpoznawała obecnych po głosach.

Trudno jej było natomiast zrozumieć, co mówią, wykrzykiwali bowiem coś jedno przez drugie.

Miranda otworzyła oczy, uznała, że jest już prawie całkiem wyleczona. Szklanka z wodą stała na stoliku tuż przy łóżku, chora napiła się, bo w dalszym ciągu miała sucho w ustach. Przypuszczała, że to z powodu masy lekarstw, którymi ją faszcerowano.

Nikt nie zwrócił uwagi, że Miranda nie śpi, stali w gromadzie pośrodku pokoju i dyskutowali, wszyscy byli bardzo poważni.

– Nie gduczcie tak – rzekła Miranda ochryple. – Jestem już zdrowa, nie ma się o co martwić.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.

– To nie o ciebie się martwimy, zarozumiałcze – powiedziała Indra. – Ty już sobie poradzisz. Nie, w czasie, kiedy leżałaś tutaj i dawałaś się rozpieszczać oszałamiająco przystojnym lekarzom, przytrafiły się dużo gorsze rzeczy.

– O co chodzi, co się stało?

– Jori. Jori zniknął.

– Zniknął?

– Bez śladu!

2

– Czy człowiek nie ma prawa skupić na sobie uwagi, żeby mu inni zaraz nie zaczęli zazdrościć? – próbowała żartować Miranda. – Co ten szaleniec wymyślił tym razem?

– Nie wiemy. Wyszedł z domu dwa dni temu. I wszelki słuch po nim zaginął.

Miranda natychmiast wychwyciła to, co dla niej było najbardziej interesujące.

– Przed dwoma dniami? A jak długo ja tutaj leżę?

– Trzy doby.

– O, nie!

Trzy razy dwanaście? Trzydzieści sześć dni! Od trzydziestu sześciu dni i nocy Gondagil czeka na nią i dotychczas nie otrzymał żadnego znaku życia. Co sobie pomyśli?

– Jori jest w Królestwie Światła bezpieczny – mruknęła.

– Istnieje tylko jeden problem, Mirando – oświadczył Jaskari spokojnie. – Ten mianowicie, że wygląda na to, iż Joriego nie ma w Królestwie Światła.

– Opowiedzcie mi wszystko ze szczegółami!

– Nie znamy żadnych szczegółów. W każdym razie bardzo niewiele. Oko Nocy szedł po jego śladach aż do łąk za miastem Saga. I tam się one po prostu urwały. Nagle i nieoczekiwanie.

– A jego powietrzna gondola?

– Jest w domu. My z początku myśleliśmy tak jak ty, że z łąk odleciał gondolą. Nikt go jednak stamtąd nie zabierał.

– Czy pytaliście wszystkie duchy, elfy i tym podobne?

Tym podobne? Kto mógłby się kryć pod tego rodzaju określeniem?

– Oczywiście – odparł Jaskari. – Nikt go nie widział. Taran odchodzi od zmysłów, a Uriel z czarnoksiężnikami i z Markiem próbują za pomocą sił psychicznych ustalić, gdzie się Jori znajduje.

Miranda kiwała głową, ale myślami była gdzie indziej. Zastanawiała się, próbowała rozumować jasno, choć to chyba zbyt wielkie wymaganie dla kogoś znajdującego się w takim stanie jak ona. Zwróciła się do sympatycznego lekarza i zapytała:

– Czy to prawda, co powiedziałeś o pijawce?

– Co takiego? Ach, to! Nie, oczywiście, że nie, ale straciłaś niewiarygodnie dużo krwi. Żaden zwykły człowiek nie przeżyłby czegoś takiego.

W takim razie jestem niezwykła, uznała Miranda.

Rozejrzała się wokół. W chwilach przytomności stwierdziła obecność większości członków rodziny i przyjaciół przy swoim posłaniu. Odniosła wrażenie, że czuwają przy niej grupami, na zmiany. Pewnego razu były tu najmłodsze dziewczynki, Siska, Sassa i Berengaria w towarzystwie Oka Nocy, Indianina. Często przychodziła Elena z Jaskarim. Indra i ojciec, oczywiście, i różni przedstawiciele starszego pokolenia. Armas, tak, we wspomnieniach majaczyła jej również wizyta Dolga i Marca...

– Gdzie jest Tsi? – rzuciła, patrząc w sufit,

W pokoju zaległa cisza. Obecni zwrócili się w jej stronę.

– Tsi-Tsungga? – odezwał się w końcu Armas. – No właśnie, gdzie on jest?

– Czy nikt go nie zapytał o Joriego? – zdziwiła się Miranda.

– Niech to diabli! – zawołała Indra. – Zapomnieliśmy o Tsi-Tsundze!

– Jak, na Boga, można o nim zapomnieć? – mruknęła Miranda. – Nie ucieszyłby się, gdyby o tym wiedział.

Jaskari wezwał Rama, najważniejszego wśród Strażników. Rozmawiali ze sobą krótko przez wideotelefon, Miranda dostrzegła na twarzy Rama wyraz zaniepokojenia.

Nie, nie, nie mogli zapomnieć Tsi-Tsunggi, myślała zgnębiona. Nie mogli zapomnieć tego najbardziej wrażliwego stworzenia, choć nie wszyscy to dokładnie rozumieją. Oni myślą, że dla Tsi istnieje tylko życie wypełnione zabawą, śmiechem i beztroską.

A to nieprawda! Nikt nie został obdarzony taką uczuciowością jak on i właśnie to czyni go bezbronnym.

Przypominała sobie spotkania, kiedy rozmawiali tylko we dwoje. Jak on się cieszył, że Miranda znajduje dla niego czas, że chce siedzieć z nim i słuchać jego opowiadań!

Ta jego samotność. Może właśnie dlatego, że potrafił być taki wesoły, wszyscy uważają, że ma mnóstwo przyjaciół. Tak, oczywiście, cała grupa młodzieży jest z nim

zaprzyjaźniona, z wyjątkiem może Siski, która uważa, że jego wiewiórka, Czik, jest zbyt dzika, nie nadaje się do towarzystwa.

Tsi nie jest dziki. Jest obdarzony ogromną zmysłowością, prawdę powiedziawszy Miranda stwierdzała to wielokrotnie, ale właśnie tę stronę jego osobowości uważała za bardzo interesującą. To on sprawił, że po raz pierwszy mogła poczuć się kobietą. Do niczego między nimi nie doszło, ale to Tsi spowodował, że dostrzegła pewien aspekt życia, którego do tej pory w ogóle nie przyjmowała do wiadomości.

Widziała go przed sobą, jego działającą na jej wyobraźnię sylwetkę, skórę, brunatną z zielonymi plamami, niczym las, w którym żył, podobną do oblicza fauna twarz o żywych zielonych oczach i wydatne usta, spoza których błyskały ostre zęby. Elf ziemi, który nigdzie nie był u siebie. Nikt nie chciał go uznać za swego krewnego. Elfy, z którymi mieszkał, kiedy trzeba było przyjąć go do rodziny, mówiły, że ma w sobie również obce geny. Jego krewniacy, istoty natury ze Starej Twierdzy, byli do szpiku kości przeniknięci złem i przegonili go ze swojej osady, Lemurowie stali wysoko ponad nim, choć przecież był w połowie jednym z nich.

Do ludzi też się nie zaliczał. Tylko ta grupa młodzieży, do której należała również Miranda, zaakceptowała go, ale, jak widać, nader łatwo o nim zapomniała.

Jaskari ponownie zwrócił się do przyjaciół.

– Tsi najczęściej przebywa sam – rzekł krótko. – Dlatego nikt go o nic nie pytał, szczerze mówiąc, po prostu o nim nie pomyśleliśmy. Ram wysłał zaraz swoich ludzi, by go odszukali. Ale, o ile wiem, nie widziano go już od kilku dni.

Miranda uniosła się i wsparła na łokciu. Lekarz jej w tym nie przeszkadzał, uznała więc, że jest już zdrowa. Tak się w każdym razie czuła.

– Tsi to mój najlepszy przyjaciel w Królestwie Światła. Łączy nas miłość do natury i świetnie się nawzajem rozumiemy. Dlatego zdziwiło mnie, że się tutaj nie pokazał. Jest jednak coś dużo bardziej alarmującego: pamiętacie, co miał dostać w Sadze?

Zebrani spojrzeli po sobie.

– Gondole! – wykrzyknął Jaskari. – Dostał ją?

– Musimy o to zapytać kierownika magazynu – stwierdził lekarz.

Jaskari zadzwonił znowu do Rama i przekazał nowe wiadomości. Strażnik obiecał zbadać sprawę.

Odpowiedział już po chwili. Owszem, Tsi-Tsungga dostał swoją gondolę. Trzy dni temu.

W pokoju zaległo długie milczenie, wszyscy się zastanawiali.

W końcu Indra wypowiedziała brzemiennie słowa:

– Tsi nigdy by nie uprowadził Joriego.

– Naturalnie, że nie – odparł Jaskari. – Oni razem wyruszyli na poszukiwanie przygód.

– I zniknęli – uzupełniła Miranda. – Tak więc mamy teraz dwóch uciekinierów!

– W porządku, nic im nie grozi – rzekł Jaskari z większą pewnością siebie, niż w istocie odczuwał. – Ram powiada, że teraz, kiedy wyjaśniło się, iż należy szukać gondoli, wszystko się zmieni. Uważa, że wkrótce ich znajdziemy.

– Nie mogli się przedostać przez żadną bramę w murze, ty, Mirando, dobrze o tym wiesz. Bramy są zbyt wąskie dla gondoli Ram jest też pewien, że nie pojechali do Starej Twierdzy.

- No, a na południu? – wtrąciła Indra ostrożnie.
- Wykluczone, Ram mówił to już wczoraj. Nikt się tam nie wędruje. W częściach północnych też ich nie ma, sprawdził to Armas. Nie, oni z całą pewnością znajdują się w dostępnej wszystkim części Królestwa Światła, tutaj, gdzie my jesteśmy. Tylko gdzie dokładnie?
- Może krążą w powietrzu? – zastanawiała się Indra.
- Tsi był oszołomiony myślą o nowej zabawce, sądzę, że od chwili, gdy ją dostał, nie wypuścił kierownicy z rąk.
- Wstaję – oznajmiła Miranda i zaczęła się podnosić. Lekarz popchnął ją delikatnie z powrotem na posłanie.
- Ale przecież muszę poszukać moich przyjaciół – oświadczyła stanowczo. – I muszę przesłać wiadomość do Gondagila, że ja...
- Wszyscy zaczęli protestować. Miranda się uspokoiła.
- Macie nade mną sporą przewagę – zauważyła trzeźwo. – Wiecie o wiele więcej niż ja. Starajmy się jednak myśleć logicznie. Co robił Jori ostatniego dnia, kiedy go widzieliście? Co mówił?
- Wrócił do domu rodziców – wyjaśnił Jaskari.
- No i co?
- Elena wzruszyła ramionami.
- Taran twierdzi, że zachowywał się jak zawsze. Martwił się tylko o ciebie, Mirando.
- To miło z jego strony! Czy on wiedział, że ja... że znowu wyszłam na zewnątrz?
- Myślę, że wszyscy się tego domyślali.
- Miranda zastanawiała się. Jori obdarzony był gorącym sercem, zawsze wszystkim chciał pomagać. Tsi też był taki. A poza tym obaj ją lubią...
- Jaskari uśmiechnął się i potrząsnął głową.
- Wiem, o czym myślisz, Mirando. Ale przecież nie wyjdiesz do Królestwa Ciemności. To niemożliwe. Ram wszystko przewidział.
- Miranda posmutniała.
- Nawet gdyby jakimś cudem udało im się wydostać do Królestwa Ciemności, to i tak nie mają pojęcia, jak skontaktować się z Gondagilem. Nie wiedzą, jak on wygląda.
- Nie powinnaś tak mówić – roześmiał się Jaskari. – Tyle o nim opowiadałaś...
- Otrzymaliśmy dokładny opis jego wyglądu, jego sposobu życia i jego rodzinnych stron.
- Naprawdę taka byłam gadatliwa? – jęknęła Miranda. – Z pewnością wydałam się wam nieznośna!
- Oczywiście! – oznajmiła jej ukochana siostra. – Pierwsza miłość jest zawsze męcząca dla innych, którzy muszą o niej wysłuchiwać.
- Ale on jest naprawdę wspaniały – upierała się pacjentka.
- Indra pogłaskała ją po głowie.
- Tak mówią wszyscy, którzy z tobą byli. Zbyt dobry dla ciebie i twojego reformatorskiego usposobienia. Ale nas zaraz stąd wypędzą, powinnaś odpoczywać.
- Odpoczywać? A jak myślisz, co ja robiłam przez ostatnie dni?

Jej protesty jednak na nic się nie zdały. Wszyscy opuścili pokój, a Miranda dostała kolejną porcję środka nasennego. Tym razem lekarze uciekli się do podstępu, żeby go zażyła, gdyż dziewczynę ożywiało pragnienie walki.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Mirandy jeszcze tego samego wieczora odwiedzili ją niezwykle szacowni goście.

W progu pokoju stanęli Ram, Armas i Dolgo, wszyscy z bardzo poważnymi minami.

Ram zwrócił się do chorej stanowczym tonem:

– Odkąd dowiedzieliśmy się, że chłopcy mieli gondolę, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Najpewniej dostali się gdzieś, gdzie nie powinni

– Nie brzmi to zbyt dobrze – rzekła Miranda przestraszona. Czuła, że to ona znowu jest wszystkim winna. Głośno dawała wyraz zmartwieniu.

– Trudno – westchnął cicho potężnie zbudowany, wysoki Strażnik. – Ponieważ nie znaleźliśmy ich nigdzie w Królestwie Światła, to trzeba przyjąć, że musieli wyjść na zewnątrz.

– Ale tego nie można zrobić!

Dolgo, niezwykle syn czarnoksiężnika, wyjaśnił:

– Ojciec, Marco i ja wzywaliśmy ich dzisiaj telepatycznie. Nie nawiązaliśmy jednak żadnego kontaktu. Ale teraz, jakąś godzinę temu, odebraliśmy słabe sygnały wysyłane przez przerażone dusze. Sygnały bez wątpienia pochodzą z Ciemności. Mur przeszkadza, więc nie zdołaliśmy się z nimi porozumieć.

A więc to mimo wszystko jej wina. To przez ten bezsensowny pomysł, żeby wydostać się na zewnątrz na własną rękę.

– Ale jakim sposobem zdołali wyjść?

Tym razem odezwał się Armas, syn Obcego, który sam wkrótce miał zostać w pełni wykształconym Strażnikiem:

– Nie istnieje inne wyjaśnienie niż to, że wzniesli się bardzo wysoko. Znaleźli się w samym centrum blasku Słońca.

– Jak Ikar?

– Można tak powiedzieć – odparł Ram. – Tam w górze, w słonecznym świetle, gdzie sklepienie jest najwyższe, znajduje się kilka wąskich szpar, coś w rodzaju wentylów, które zrobiliśmy, by trochę ciepła przenikało do nieszczęsnych mieszkańców Ciemności. Można się wydostać na drugą stronę w niewielkiej gondoli, a gondola Tsi nie jest przecież duża. Zapomnieliśmy po prostu o tym wyjściu, ponieważ wieki minęły od czasu, kiedy wentyle zostały zrobione. Od dawna nikt nie sprawdzał, czy jeszcze funkcjonują.

– Ale czy oni się nie spalili? Albo nie zostali oślepieni?

– To ostatnie jest możliwe, ale spalić się... Nie, wiesz przecież, że Święte Słońce niczego nigdy nie spaliło. Jego ciepło jest łagodne.

Miranda próbowała stłumić rozrastającą się w niej nadzieję, że chłopcy zdołali nawiązać kontakt z Gondagilem. Teraz przecież chodzi o ich bezpieczeństwo, a nie o jej marzenia.

– Ale gdyby wydostali się na zewnątrz, to co by się z nimi stało później? Nie mogą przecież po prostu wlecieć z powrotem do środka?

Ram skulił się, patrzył na nią z wyrazem troski i powagi.

– Powinni byli tak zrobić. Ale po pierwsze, gondole nie są stworzone do Ciemności, tylko do Królestwa Światła, a po drugie, Dolgo mówi, że znajdują się w bardzo złej sytuacji. Wyczuł śmiertelny strach.

– Boimy się, że zostali zaatakowani przez dzikie bestie – wtrącił Armas. – Gondola mogła spaść, a...

Miranda uniosła dłoń, by go powstrzymać. Okropne podejrzenie narastało w niej niczym krzyk przerażenia.

– Nie – szepnęła cicho ze wzrokiem utkwionym w okno. – Ocknęłam się pewnego razu tutaj, nie pamiętam kiedy, ale to musiało być podczas którejś z pierwszych nocy. Obudził mnie dźwięk...

Ram i Dolgo popatrzyli po sobie.

– Ty także? – zapytał Ram. – Nie tylko ty jedna to słyszałaś, wielu obudził ten krzyk. Straszne, przeciągłe wycie, prawda?

Głos Mirandy był teraz ledwie dosłyszalny.

– Tak. Straszny, złowieszczy krzyk, jakby dochodził z...

– Właśnie tak – potwierdził Ram, stojący pośrodku szpitalnej sali. – Z czarnych Gór Śmierci.

Informacje Mirandy pozwoliły Dolgowi odtworzyć ostatni fragment układanki.

Patrzył teraz na nią, ale jego oczy widziały coś innego. Przebywał w swoim wyjątkowym świecie, w świecie jasnowidza. Teraz widział chłopców wyraźniej, dostrzegał otaczającą ich ponurą ciemność i ciała w lekkiej odzieży, szarpane lodowatym wichrem, słyszał raz po raz porywy sztormu, ryczące niczym oszalałe duchy otchłani.

Ale te okropne, przenikliwe wycia ustały.

Dlaczego?

Dolgo nie mógł dokładnie stwierdzić, gdzie chłopcy się znajdują, wyczuwał jednak coraz silniej ich przerażenie, ba, śmiertelny strach przed tym, co czaiło się w ciemności.

Ogarniało go trudne do zniesienia uczucie bezsiły, z jakiegoś powodu, którego nie umiał określić, ale który przejmował go lękiem, wyczuwał, że czas nagli. Nie rozpoznawał rodzaju tego lęku ani przyczyny, dla której należało się śpieszyć.

Bał się potwornie, że los Joriego i Tsi-Tsunggi się dopełnia, że są straceni. Ram obiecał pomóc, ale na to trzeba czasu. A oni czasu nie mieli.

Był pewien, że chłopcy zdają sobie sprawę z sytuacji, docierało do niego przerażenie Joriego, gdy tymczasem Tsi-Tsungga zachowywał jeszcze spokój. Ten elf ziemi nie miał jednak psychicznej odporności, panika mogła go w każdej chwili sparaliżować.

Dolgo przymknął oczy.

– Śpieszcie się, Ram! Śpieszcie się, czas nagli, tu chodzi o życie chłopców!

Wargi Rama zacisnęły się mocno. Zrobił już wszystko, co mógł zrobić. Niezależnie od tego jednak wciąż potrzeba czasu. Zbyt wiele czasu.

3

Miranda się myliła.

Gondagil wcale nie myślał, że ona go zawiodła. Odczuwał fizyczny ból ze zmartwienia o nią. Była przecież umierająca, kiedy ją zabrali od niego, by przenieść nieprzytomną do Królestwa Światła. Będzie musiała dostać mnóstwo świeżej krwi, powiedzieli. Co to

oznacza? Gondagil orientował się, że tam, w obrębie murów, wiedzą bardzo wiele, że stworzyli inną kulturę, dużo bardziej rozwiniętą niż kultura ludu Timona. Spotkanie z Mirandą przekonało go o tym. Świadczyło też o tym wszystko, co ze sobą przyniosła, wszystko, co umiała. Czasami czuł się w jej obecności niemal jak niedorozwinięty, ona jednak nigdy nie okazała, że mogłaby go traktować jako kogoś gorszego. Wprost przeciwnie, wybrała go, podziwiała, czasami prosiła o pomoc. Ta świadomość napełniała serce Gondagila nie znanym dotąd ciepłem.

Nie, potwornie się bał, że dziewczyna już nie żyje. Mężczyźni z Królestwa Światła zapewniali, że jest nadzieja, iż Miranda może z tego wyjść, trzeba tylko, by znalazła się w obrębie murów. Dlatego pozwolił ją zabrać, choć wszystko w nim przeciwko temu protestowało. Ale na jakiej podstawie tamci mogli coś takiego powiedzieć? Gondagil widział ludzi, którzy stracili mniej krwi niż Miranda, ale żaden z nich tego nie przeżył. Stał na skalnym występie, tak jak to zwykł czynić ostatnimi czasy, i patrzył w kierunku muru, za którym zniknęła ukochana. Stał tak nie wiedząc, że droga została nieodwołalnie zamknięta. Bardzo wychudł, ponieważ często zapominał o jedzeniu. Mimo wszystko wyglądał wspaniale, taki silny, prawie dziki, z potarganymi jasnymi włosami, z przenikliwym spojrzeniem bystrych oczu, wysoki, zwinny, ubrany w spodnie i kurtkę z cienkich zwierzęcych skór. Specjalnie urodziwy nigdy nie był, ale jego surowa, męska twarz była bardzo pociągająca. Dziewczyny z plemienia wiedziały, że utraciły go ostatecznie. Wielokrotnie próbowały go złowić, wiele z nich o nim marzyło, żadnej jednak nie dopisało szczęście. Teraz on dokonał wyboru, choć wybranka nie należała do ich szczepu, wybrał całkiem obcą dziewczynę z Królestwa Światła. No cóż, żadną z nich by się nie zadowolił, zawsze przecież czuł się lepszy niż inni w osadzie, myślały rozgoryczone dziewczyny. Niespecjalnie przepadały za Mirandą!

Gondagil od dawna pragnął znaleźć się w Królestwie Światła. Głównie po to, by zdobyć tam światło dla swojego ludu. Teraz trawiła go pałaca tęsknota. Teraz musiał dostać się do środka, ponieważ tam była Miranda.

Dwukrotnie w ciągu ostatnich dni podejmował próbę sforsowania bramy. Za pierwszym razem bestie odkryły jego obecność zbyt wcześnie i musiał ratować się ucieczką na skały, ścigany przez co najmniej sto potworów. Nie należały do takich, którym mógłby się przeciwstawić samotny mężczyzna, on i Haram wielokrotnie mogli się o tym przekonać. Ach, Haram. Przyjaciel z dzieciństwa, którego charakter ukształtował się zupełnie inaczej niż charakter Gondagila, Haram był złym, pozbawionym szacunku dla innych człowiekiem i był... głupi. Wiele razy narażał życie ich obu na śmiertelne niebezpieczeństwo. Haram źle rozumiał życzliwość i przyjaźń, jaką okazywała mu Miranda, wyobrażał sobie nie wiadomo co. Był przekonany, że żadna kobieta mu się nie oprze, wyglądał przecież wspaniale. Aż doszło do nieszczęścia. Gondagil zdołał mu co prawda przeszkodzić, Haram nie zdążył zgwałcić dziewczyny, ale wściekły na przyjaciela rzucił się na niego z nożem. Miranda stanęła pomiędzy nimi i cios trafił ją w szyję. Po tym wszystkim Gondagil, oszalały z gniewu i rozpacz, zabił Harama.

Teraz nie był w stanie o nim myśleć. Sprawiało to zbyt wielki ból jego sercu pogrążonemu w rozpacz po utracie Mirandy. Musiał koncentrować się na myślach o niej, by w ogóle móc żyć. Ani na moment nie obarczał jej winą za to, że jedyny przyjaciel zginął z jego

ręki. To stało się momentalnie, w ciągu kilku sekund, właściwie tylko raz ugodził Harama nożem w pierś i za chwilę przyjaciel już nie żył. Wszystko wydarzyło się jakby w jednym jedynym okamgnieniu.

Nie, to zbyt bolesne. Gondagil starał się skupić na obmyślaniu, w jaki sposób wejść do Królestwa Światła.

Kiedy podjął próbę po raz drugi, udało mu się dotrzeć aż do muru. Ale chociaż wiedział, że trafił we właściwe miejsce i że powinny się tam znajdować znaki, dzięki którym mógłby otworzyć niewidzialne drzwi, to jednak nie odnalazł niczego, ani tych drzwi, ani znaków.

Co się stało? Nie miał czasu, by długo szukać, ponieważ słyszał w pobliżu bestie i wiedział, że zrobią wszystko, by dostać swoją zdobycz, a zdobyczą w tym przypadku był on. Ostrożnie więc wycofał się z powrotem na bezpieczne skały, gdzie bestie właściwie nigdy nie odważyły się wejść.

Widział je teraz wyraźnie na dole, pod sobą. Niczym małe pełzające robaki biegały tam i z powrotem wzdłuż skały, wokół swoich prymitywnych siedzib, wydając charczące dźwięki, które miały stanowić jakiś język. Straszni barbarzyńcy, stworzenia plasujące się gdzieś pomiędzy ludźmi a zwierzętami, przypominały jednak tylko to, czym w istocie były: bestie.

Waregowie, Timonowy lud, przez wszystkie czasy podejmowali próby unicestwienia tych małych bestii, by móc zająć pożądane tereny w pobliżu muru i dzięki temu może kiedyś przedostać się do środka. Ale jak unicestwić te potworki? To po prostu niemożliwe.

Mnożą się szybciej niż robactwo. Poza tym poruszały się zawsze w grupach liczących około stu sztuk, tak że nieliczni potomkowie Timona nie mieli najmniejszych szans.

Obrona własnego terytorium i jego mieszkańców przed potworami, które były kanibalami i nie lękały się niczego, wyczerpywała wszystkie ich siły.

Gondagil myślał o tym, czego Miranda zdołała dokonać podczas swoich dwóch wizyt tutaj, w Ciemności. Została nawiązana przyjaźń pomiędzy Waregami z Doliny Mgieł i mówiącym po niemiecku ludem ze średniowiecznej osady ulokowanej wysoko na zboczach gór. Oba te plemiona podjęły współpracę z Królestwem Światła, ich celem było przeniesienie światła do Królestwa Ciemności. Teraz jednak nie można liczyć na powodzenie. Nie można tego dokonać, dopóki w Ciemności panuje tyle zła. Święte Słońce potęguje dobro we wszystkich żywych, przyjaźnie usposobionych istotach w takim samym stopniu, jak potęguje zło w duszach tych, którzy już i tak mają, łagodnie mówiąc, wątpliwe charaktery. Bestie nie mogą się znaleźć w blasku Słońca. To by oznaczało katastrofę dla wszystkich. Poza tym są jeszcze źli Svilowie, wysłannicy Gór Czarnych, Gór Śmierci. Ale na tym nie koniec, w oddalonych regionach Królestwa Ciemności żyją inne, nieznanne plemiona...

I same niebezpieczne góry. Nikt nie wie, co się tam ukrywa. Mają wiele nazw. Góry Śmierci, Góry Czarne, Góry Umarłych... istnieją różne warianty. Jedyne, co wiadomo, to to, że nieszczęsne dusze krzyczą tam tak, iż ich wołanie odbija się echem w całym tym wewnętrznym świecie. Żalose krzyki docierają również do Królestwa Światła, mogą każdego przyprawić o strach mieszający zmysły.

Miranda odkryła, co znajduje się w tych przerażających Górach Czarnych. W każdym razie część tego, co się tam ukrywa. I sam Gondagil sprawił, że natrafiła na właściwy ślad. Opowiedział jej baśń o źródłach. Ona zaś stwierdziła, że w jej rodzie, w rodzie Ludzi Lodu, także istnieje legenda o tych źródłach i nawet coś więcej niż tylko legenda. Jeden z przodków Mirandy w świecie na powierzchni Ziemi odszukał kiedyś źródło zła. A inna przedstawicielka rodziny, młoda dziewczyna, odnalazła źródło jasnej wody. Teraz przywódcy Królestwa Światła chcieliby dotrzeć do owego źródła czystej wody, by dzięki niej wyrzucić zło z ludzkich serc, zarówno tutaj, jak i w świecie zewnętrznym. Mężczyźni, którzy przybyli po Mirandę, oświadczyli bowiem, że ludzie mieszkający na powierzchni Ziemi są na najlepszej drodze do unicestwienia wszelkiego życia.

To akurat specjalnie Gondagila nie obchodziło. Dla niego ważne było to, że gdyby zdołał usunąć wszelkie zło z Królestwa Ciemności, to mógłby przynieść tutaj Światło.

I mógłby połączyć się z Mirandą.

Musi ją odzyskać. Miranda musi żyć. Tylko bowiem w jej obecności Gondagil czuje, że jest mężczyzną, a ona kobietą. Oni oboje myślą tak samo, w ten sam sposób odbierają wszystko, co ich otacza. Gondagil wiedział, że Miranda jest jedyną kobietą, która mogłaby zostać jego towarzyszką życia.

A może ona już umarła? Nie, tak nie wolno mu myśleć. Przynajmniej dopóty, dopóki nie otrzyma wiadomości.

Myśli Gondagila błądziły dalej. Zastanawiał się, rozważał.

Jakiś czas temu, nie pamiętał już, ile dni minęło, widział na niebie jakieś dziwne zjawisko. Czy też, dokładniej mówiąc, nie na niebie, lecz w powietrzu, trudno mówić o niebie tutaj, w tym ukrytym świecie.

Był wtedy w swoim domostwie, wysoko w górach. Właśnie miał zamiar wyruszyć na ulubione skały, kiedy usłyszał jakiś nieznany dźwięk.

Z początku nie potrafił go zlokalizować. Minęła dłuższa chwila, zanim odkrył, skąd dźwięk pochodzi. Płynął sponad jego głowy, skądś z wysoka.

Kiedy spojrzał w górę, w oddali zobaczył coś dziwnego. To coś się przybliżało. Jakieś... światło?

Tak, można to było porównać do tych dwóch małych lampek, które Miranda miała przy sobie, kiedy tutaj przyszła. Nazywała je kieszonkowymi latarkami, on i Haram otrzymali po jednej. Gondagil wciąż swoją przechowywał, kochał ten przedmiot dlatego, że dawał mu światło, a poprzez to również władzę, lecz także dlatego, że była to pamiątka po niej. Niekiedy pieścił lampkę i myślał wtedy o Mirandzie i o jej małych dłoniach, które podały mu latarkę, przypominał sobie, że dotknęła go wtedy, a on zobaczył, jak różnią się od siebie ich ręce. Wtedy właśnie poczuł, że coś obudziło się w jego sercu. Może to czułość? Pragnienie, by móc poznać ją lepiej, chociaż zarówno Haram, jak i on byli wobec niej nieprzyjemni, a nawet po prostu źli.

Gondagil niecierpliwie potrząsnął głową. Myśli tej nocy miał niespokojne. Gdzie ja jestem? Ach, tak, to dziwne zjawisko w górze...

Światła nie były większe niż blask jego latarki. Kiedy jednak to coś nieznanego zbliżyło się, mimo woli ukrył się za dużym kamieniem. Wtedy coś usłyszał. Głosy? Nie, jeden głos. To drugie to było... Jakby to określić? Coś jakby cichy trzask? Gondagil przypominał

sobie, że był zły sam na siebie za to, iż nie użył aparatu, dzięki któremu mógłby zrozumieć, co ci na górze mówią. Ale pojazd, bo to był jakiś pojazd, przeleciał nad nim w oszałamiającym pędzie i zanim Gondagil zdążył cokolwiek zrobić, był już daleko. Jedyne co słyszał, to pełen przejęcia śmiech. Przypominał, zdaniem Gondagila, śmiech młodego chłopca.

Odwrócił głowę i przerażony patrzył w ślad za nimi. Nie, nie, powtarzał w myślach. Uważajcie, lećcie prosto na górską ścianę!

W następnym momencie doszło do nieszczęścia. Zderzyli się ze skałą, ale nie tak gwałtownie, jak Gondagil się obawiał. Najwyraźniej zdołali w ostatnim momencie skierować pojazd nieco w bok, tak że tylko otarli się bokiem o wysoką, jasną górę, dzielącą na dwoje Królestwo Ciemności. Potem w tym samym tempie pomknęli dalej na prawo od górskich zboczy. Pędzili jak uskrzydleni.

Gondagil podniósł się i zamyślony patrzył, co się dzieje.

Tamci znaleźli się teraz na niebezpiecznym terenie! To się nigdy nie kończy dobrze. Jeśli dalej będą się posuwać w tym samym kierunku, wkrótce znajdą się w Górach Czarnych. Zdawało mu się, że słyszy spłoszone okrzyki.

Chociaż to ostatnie musiało być przywidzeniem, znajdowali się już za daleko.

Przepytywał w osadzie, kiedy przechodził obok, czy inni również dostrzegli owo niezwykle zjawisko. Ale nie, nocny stróż opowiadał, że wszyscy spali, on sam zresztą także nie zwrócił na nic szczególnego uwagi.

Nie, pojazd nie przelatywał nad osadą. Widział go więc tylko Gondagil ze swojego samotnego domostwa.

Ale kiedy tej nocy wspiął się wysoko na swoje skały, znowu przeżył chwile grozy.

Wołania z Gór Umarłych przenikały Królestwo Ciemności ze straszłą siłą. Gondagil usłyszał wrzask radości najgorszego rodzaju, tak przepełniony złością i triumfem, że musiał zatkać sobie uszy.

Nie miał już najmniejszych wątpliwości: tamci biedacy znaleźli się w Górach Czarnych.

Teraz, po kilku dniach, był o tym przekonany.

Kim oni są i skąd się tutaj wzięli?

Miranda opowiadała mu o pojazdach, unoszących się w powietrzu. Jak to ona je nazywała? Gondole, czy jakoś tak. Przypominał sobie to słowo, ponieważ było podobne do jego imienia. Ale co takie urządzenie robiło tutaj? Zgodnie z tym, co mówiła Miranda, gondola nie może się przedostać przez bramy w murze.

Chwileczkę, te jakieś dziwne dźwięki...

Czy Miranda nie wspominała o swoim najlepszym przyjacielu, o którego zresztą Gondagil był trochę zazdrosny, i o tym, że nie posiada on zdolności mowy? Że wydaje tylko jakieś przypominające mlaskanie dźwięki. Czy to możliwe, że właśnie jej przyjaciel, Tsi-Tsungga, znajduje się tutaj? I że to on został teraz uwięziony w złych górach?

Wstrząśnięty i bezradny Gondagil wrócił do swojego domostwa na zboczu, które teraz oczyścił i pięknie przyozdobił, żeby ładnie wyglądało, kiedy Miranda wróci.

Jeśli wróci. Najwyraźniej wszystko sprzysięgło się przeciwko nim.

Usiadł przygnębiony przed chatą na pieńku, który służył mu jako stółek. Nie miał pojęcia, co dalej, nie wiedział, co począć ani do kogo mógłby się zwrócić. Mur do Królestwa

Światła został nieodwracalnie zamknięty, jakim sposobem więc mógłby przesłać wiadomość do środka? Musiałby mieć pomoc, ale przecież żadnej nie miał.

Gdzieś w pobliżu trzasnęła gałązka. Przywykły do obrony przed bestiami, Gondagil drgnął i błyskawicznie zwrócił się w stronę, z której mogło mu coś zagrażać.

Niczego nie widział. Wszędzie panowała cisza.

Z wyjątkiem może...

Jakiś szelest? Dość donośny, podobny do mlaskania... Ale nie taki jak ten, który docierał do niego z pojazdu, ten był inny.

Coś zeskoczyło na ziemię i cichutko siedziało kawałek od niego. Para lśniących czarnych oczek przyglądała mu się z lękiem.

To jakaś ogromna wiewiórka!

Sprawia wrażenie zupełnie zagubionej. Jakby szukała u niego pomocy. Serce Gondagila zabiło mocniej. Miranda wspomniała kiedyś, że Tsi-Tsungga ma oswojoną ogromną wiewiórkę. Jak się to zwierzątko nazywa? Cziki?

Gondagil uświadomił sobie, że wypowiedział imię głośno.

Wiewiórka podeszła bliżej.

A jeśli go zaatakuje?

Nie, zwierzątko wyglądało tak żałośnie, było takie bezradne, może głodne... Gondagil wyciągnął rękę po jagody, które wyłożył do suszenia. Potem podał je wiewiórcę.

Wykonała parę podskoków i podeszła aż do jego dłoni. Ostrożnie zaczęła zbierać owoce.

Gondagil uśmiechał się sam do siebie, w sercu czuł dziwne ciepło. Domyślał się, że wiewiórka wypadła z gondoli, kiedy ta zderzyła się z górską ścianą. A teraz szuka ludzi.

– Chodź – szepnął głosem tak łagodnym, że Haram by go nie rozpoznał. – Chodź, zobaczymy, może w chacie znajdziemy jakieś orzechy.

Wiewiórka bez protestu weszła za nim do prymitywnego domostwa pod skalną półką.

Gondagil usiłował odegnać od siebie natrętne myśli. Czynił to nie po raz pierwszy.

A jeśli w tej gondoli znajdowała się też Miranda? Jeśli w ten sposób próbowała wydostać się z Królestwa Światła i wrócić do niego? Gondola zdawała się kierować według jego znaków...

Głosu Mirandy jednak nie słyszał. Tylko te dwa, należące do młodych chłopców, z których zresztą jeden wcale nie posługiwał się głosem, tylko jakimś bezdźwięcznym mlaskaniem. To jednak nie dowodzi, że w gondoli nie było więcej pasażerów. Ani że Miranda z nimi nie leciała.

Po prawdzie nie był tak całkiem pewien, że gondola zmierzała ku jego terytorium. Mogła się tu znaleźć zupełnie przypadkowo. Wykonywała zresztą dziwne manewry, jakby z jakiegoś powodu wytracała szybkość, a wtedy w głosie tego młodego chłopca słyhać było podniecenie, mówił ostro, wyraźnie przestraszony. Jakby nie panował nad pojazdem.

I wtedy gondola wpadła na górską ścianę.

Dziwne to wszystko. Gondagil nie rozumiał, co się stało, ale też trudno tego od niego wymagać, nie miał przecież żadnego doświadczenia z pojazdami szybszymi niż zwyczajna furka.

Spojrzał w dół na wiewiórkę, która beztrudnie zajadała jego zapasy. Zachowywała się teraz spokojnie, nie rzucała już nerwowych spojrzeń na wszystkie strony. Musiała być bardzo głodna, kiedy tutaj przyszła.

Gondagil należał do tych nielicznych żyjących obecnie ludzi, którzy znali drogę do Gór Czarnych. Tyle tylko że nikogo, kto się wybrał tą drogą, nigdy już potem nie widziano.

– A gdybyśmy tak spróbowali znaleźć naszych najbliższych, ty i ja? – szepnął do Czika. Błyszczące oczka spojrzały na niego z nowym zainteresowaniem. Gondagil nie przyzwyczał się jeszcze do myśli, że to małe stworzenie może go rozumieć.

Czik wskoczył na ramię człowieka, gotowy do drogi.

Gondagil był wzruszony okazanym mu zaufaniem i wyraźną tęsknotą zwierzątka za ukochanym właścicielem, Tsi-Tsunggą.

– No dobrze! Nie ma się nad czym dłużej zastanawiać. Ruszamy!

Była to bardzo niebezpieczna wyprawa, nigdy jeszcze nikt, kto odważył się ją podjąć, nie powrócił żywy. Ale jeśli Miranda się tam znajduje, w szponach nieznanomych mieszkańców złych gór, Gondagil niczego nie może się lękać.

4

Zbliżała się noc sobótkowa.

Za murami, w Królestwie Ciemności, potrwa ona krótko, w obrębie murów zaś, w Królestwie Światła, odpowiadać będzie dwunastu nocom w Ciemności.

Nadchodząca pora wywoływała intensywny niepokój w świecie istot natury. To była ich noc, przygotowywały się więc, miały płonące spojrzenia i gorączkowe rumieńce na policzkach.

Mimo wszystko w ich oczach czaił się też lęk.

Odsuwały go jednak od siebie, dawały się ponieść ożywieniu i radości. Polerowano skrzydła, prano ubrania w źródłach albo na liściach przywrotnika, zależnie od wielkości piorącej istoty. Gotowano tyle, że para unosiła się nad łąkami i bagnami, przygotowywano wszystkie możliwe rodzaje jedzenia, tłoczono nektar, a także nieco mocniejsze napoje dla starszyny elfich rodów, młodzieńcze panienki elfów rozwieszały girlandy z kwiatów nad placem, gdzie miała się odbywać uroczystość.

Nikt nie chciał opuścić ceremonii obchodów środka lata.

A w ukryciu poruszało się po okolicy niczym cień dziwne stworzenie. Wąskie, niewidzialne oczka patrzyły i rejestrowały, uszy, których nikt się nawet nie domyślał, słuchały i przesyłały wiadomości do pamięci. Dziwne szepty docierały do uszu śpiących istot natury, cieniutkie firanki z pajęczyn falowały, kiedy to straszne stworzenie przesuwało się obok.

Zły element? W Królestwie Światła? Niewidzialna postać?

Nikt niczego nie zauważał.

Nikt, z jednym wyjątkiem.

Żółte niebo nad miastem Saga zaczęło przybierać swój szczególny nocny blask, a Ram i najwyższy rangą w gronie Obcych, Talornin, wciąż siedzieli w przepięknym pałacu Marca i dyskutowali.

Ram westchnął ciężko.

– Tyle mamy problemów z tą grupą młodych, chyba więcej niż z innymi mieszkańcami królestwa razem wziętymi. Mimo wszystko młodzi należą do elity. To znaczy do elity ludzi – dodał pośpiesznie, istnieli bowiem w Królestwie Światła dużo wyżej postawieni obywatele niż zwyczajne dzieci człowiecze. Na przykład Obcy. A także Madragowie, Lemurowie oraz duchy najrozmaitszego rodzaju.

Marco kiwał głową.

– Ci szaleńcy stanowią silną i bardzo zwartą grupę. Jaskari i Elena, Jori, Miranda i Indra, Oko Nocy, Armas, Berengaria, Siska i Sassa oraz Tsi-Tsungga. Wspaniała młodzież. Ale, ale...

– Obiecujemy sobie po nich bardzo wiele, dokładnie tak jak po tobie i po Dolgu. I po wielu z pokolenia rodziców naszej młodzieży. Zanim jednak tym szaleńcom przytrą się trochę rogi, przeżyjemy jeszcze niejedno zmartwienie, możecie mi wierzyć. Złamali już wszystkie tabu. To, co zakazane, działa na nich niczym czerwona płachta na byka. I właśnie teraz znajdujemy się w naprawdę poważnej sytuacji.

W tej sprawie wszyscy trzej mieli takie samo zdanie. Powtórzyli to, co już zostało powiedziane:

– Nie możemy po prostu machnąć ręką na Joriego i Tsi-Tsunggę, musimy ich przecież ratować. Ale jak? – zastanawiał się Ram. – Nie mogę wysłać moich Strażników na niechybną śmierć w Góry Czarne, nie zdołamy też wyprawić tam większej ekspedycji. Zresztą i tak nie znaleźlibyśmy drogi..

– Gondagil ją znał – wtrącił Marco w zamyśleniu.

– Owszem, ale zamknęliśmy już to wyjście w murze. Potrzeba długiego czasu, by otworzyć nowe.

– Młodzi zdołali to uczynić w ciągu kilku sekund – przypomniał im Marco.

– Dziękuję – odparł Ram cierpko. – Wolałbym uniknąć robienia tego rodzaju otworów. To zbyt ryzykowne. Nie, musimy znaleźć nowe kody, nowe rytuały, by stworzyć bramę, której nikt poza nami nie mógłby używać.

– A może pójść tą samą drogą, co Jori i Tsi?

– Nie, teraz ja dziękuję! W Królestwie Ciemności w powietrzu jest się bardziej narażonym. Góry Czarne zdają się wsysać gondole. Bo przecież nie pierwszy raz coś takiego się przytrafiło, chociaż ostatnio mieliśmy z tym do czynienia naprawdę bardzo dawno temu – rzekł władczy Talornin. – W ten sposób traciliśmy zarówno mężczyzn, jak i gondole. Jest zresztą tak, jak zawsze podkreślaliśmy: nasze gondole nie zostały zbudowane dla Ciemności Nie wyposażono ich na przykład w system oświetlenia, a myślę także, iż źle znoszą tamtejsze warunki.

Młoda kobieta pracująca w pałacu zaanonsowała Mirandę.

– O Boże – jęknął Marco. – Czy ona nie mogłaby jeszcze trochę poleżeć w łóżku? Ta dziewczyna wywołuje katastrofę, jak tylko się ruszy.

– Ale jest bardzo ładna – uśmiechnął się Ram.

– Rzeczywiście! Zwłaszcza w obcisłym sweterku.

Miranda pośpiesznie weszła do sali. Kiedy zobaczyła szacowne zgromadzenie, zawahała się na chwilę, ukloniła się uprzejmie, a potem szybko wyłożyła swoją sprawę:

– Szanowni wodzowie Królestwa Światła. Wiem, że to wszystko moja wina, ale zgłaszam się dobrowolnie, by pomagać wam na zewnątrz, w Ciemnościach, kiedy wyruszyacie na poszukiwanie Joriego i Tsi.

Zagłuszył ją chór protestujących głosów, który odebrałby odwagę najbardziej zdecydowanej osobie.

– Oszczędź nam swojej pomocy, Mirando – poprosił Ram z naciskiem.

– Jeśli planujesz wymknąć się w ten sposób na kolejne spotkanie z Gondagilem, to możesz o tym zapomnieć – oświadczył Talornin nie mniej stanowczo. – Teraz jednak możesz tutaj zostać i pomóc nam w planowaniu – dodał bardziej przyjaznym głosem. – Nikt przecież nie zna Ciemności lepiej niż ty.

– Dziękuję, chętnie pomogę – odparła. – Czy długo to potrwa? To znaczy przygotowania do wyjścia.

Marco, który wiedział, jak bardzo jej się śpieszy, rzekł uspokajająco:

– Ze względu na nieszczęsny pomysł obu chłopców musimy przyśpieszyć akcję. Ale trzeba liczyć się z tym, że zajmie nam to parę tygodni.

– Dni – powiedziała błagalnie Miranda.

Ram przyjrzał jej się uważnie.

– Przypuśćmy tydzień. Zresztą na dłużej nie możemy sobie pozwolić.

Miranda liczyła pośpieszenie w myśli. Minęły już cztery dni. Razem będzie to jedenaście... to znaczy sto trzydzieści dwa dni na zewnątrz, w Królestwie Ciemności. Ponad cztery miesiące. Tyle Gondagil może chyba poczekać. Taką przynajmniej miała nadzieję.

– W porządku – skinęła głową.

Kiedy Miranda wyszła z pałacu, świeciło piękne wieczorne słońce. Saga, najnowsze miasto w Królestwie Światła, zaczynała nabierać kształtów. Wszędzie pomiędzy białymi domami kwitło mnóstwo kwiatów, tak że odnosiło się wrażenie, iż jest to raczej piękna wieś. Wszystko było takie harmonijne, starannie zbudowane, trudno opisać radość, jakiej się doznawało na myśl, że człowiek mieszka w takim miejscu.

Chciała to pokazać Gondagilowi. Chciała sprowadzić go tutaj, dopiero wtedy jej życie byłoby pełne. Pragnęła, by w tylu sprawach uczestniczył razem z nią, on, który całe swoje życie spędził poza murami, w ponurym Królestwie Ciemności. Tutaj, w Królestwie Światła, wszystko było takie proste i wygodne, i nieskończenie, niemal boleśnie piękne. Mogliby mieć własny dom i...

Nie, nie wolno aż tak bardzo oddawać się marzeniom! Zanim będą mogli ponownie się spotkać, muszą usunąć ze swej drogi tysiące przeszkód. Także największą ze wszystkich, która trwała w oddali. Ten niemal niewidzialny mur wokół bajecznego Królestwa Światła.

Najwyższy przywódca Strażników, Ram, nie miał łatwego życia.

Był teraz wystawiony na nieludzką presję ze strony Taran, ba, ze strony całej rodziny czarnoksiężnika, ale najbardziej gnębiła go jednak Taran. Była przecież matką Joriego i nie ukrywała lęku o swe jedyne dziecko.

Chciała natychmiast wyruszyć na poszukiwania. Kiedy jej tego zabroniono, nie dawała spokoju Ramowi, żeby jak najszybciej zorganizował ekspedycję, nie ma przecież ani minuty do stracenia.

Ram odnosił wrażenie, że słyszał to już wielokrotnie, zwłaszcza od Mirandy. Uporczywie jednak trwał przy swoim: żadnych gondoli do Królestwa Ciemności nie wyśle, one nie znoszą tamtejszego powietrza, zawsze znikają wszystkie razem z załogami i w ogóle. Owszem, może wysłać na poszukiwania swoich ludzi, w tej sprawie nie ma żadnych przeszkód, ale musi się to dokonać bez użycia gondoli, tyle wiadomo na pewno. Wygląda na to, że pojazdy stanowią śmiertelną pułapkę, kiedy znajdują się w Królestwie Ciemności. Czyha tam na nie jakieś szczególne niebezpieczeństwo.

Nie chciał przez to powiedzieć, że łatwo jest oddziałom Strażników posuwać się na własnych nogach, ale wtedy przynajmniej mogą się bronić. Gondola zaś wiedzie wprost do nieszczęścia.

Nie, nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Wie tylko, że nigdy żadna gondola nie wróciła do Królestwa Światła, nie ma też nikogo, kto mógłby powiedzieć, co się stało z pojazdami. Taran nie ustępowała. Próbowwała nawet ukraść gondolę, by wyruszyć na własną rękę, na szczęście jednak w porę ją odkryto. Zadręczała Uriela swoim lękiem o życie syna. Uriel jako ojciec Joriego też się przecież niepokoił, ale próbował tego nie okazywać, co nie było łatwe.

Tymczasem Strażnicy, Lemurowie i Madragowie pracowali nieprzerwanie nad przygotowaniem nowego, zakodowanego i absolutnie pewnego otworu w murze. Rodzina czarnoksiężnika zaoferowała swoją pomoc, lecz ją odrzucono. Jeśli brama ma być tajemnicą, to nikt nie może o niej wiedzieć! Zdobyto już bardzo złe doświadczenia z innymi...

Tak jak na przykład z wyjściem Mirandy.

Jori. Wszyscy chcieli odnaleźć Joriego.

Ale kto pytał o Tsi-Tsunggę? Czy tylko Miranda niepokoiła się losem niezwykłego elfa ziemi?

5

Kilka mrocznych dni wcześniej Gondagil był gotów do drogi.

Wyjął swoją broń i dokładnie przejrzał. Czika najadł się do syta, a teraz siedział, lizał łapy i czyścił sobie uszka. Ponieważ Gondagil miał tym razem aparacik językowy Madragów, mógł się bez problemu komunikować z wiewiórką, dokładnie tak, jak robił to Tsi.

Rozumieli się nawzajem znakomicie. Gondagil pojmował lęk zwierzątka, pozostawionego samemu sobie w ciemnym i obcym, niebezpiecznym świecie, w którym zniknął jego właściciel i w którym wszystko było takie nieprzyjemne. Teraz wiewiórcze serce Czika biło spokojniej. Spotkał życzliwą duszę, kogoś, kto dawał mu jedzenie i potrafił z nim rozmawiać.

Gondagil obiecał, że odnajdą Tsi-Tsunggę, i pytał, jak doszło do tego, że Czika się tutaj znalazł. Mężczyzna przejmował obrazy z mózgu wiewiórki, w jego głowie pojawiło się najpierw oślepiająco silne światło, potem wjazd do Królestwa Ciemności. Gondagil odczuwał przerażenie Czika, później usłyszał rozmowę chłopców, a w każdym razie jej fragmenty.

Najpierw byli zdumieni, szybko jednak zaczęli się martwić. Gondola najwyraźniej nie chciała ich słuchać, wytracała szybkość. Coś w maszynierii funkcjonowało nie tak jak trzeba. Gondagil nie pojmował słowa „maszynieria”, ale przecież sam widział, jak gondola zwalniała i opadała, obserwował różne dziwne manewry. W pamięci odcisnęło mu się zderzenie pojazdu z górską ścianą, właśnie podczas tego uderzenia Czik został wyrzucony na zewnątrz. Słyszał krzyk Tsi, wywołany rozpaczą nad utratą przyjaciela i lękiem o niego.

Upadek... Wiewiórka jest zwinna i przywykła do długich skoków z wysokości, ale oczywiście Czik się potłukł. Tak jest, Gondagil już wcześniej zwrócił uwagę, że zwierzątko utyka na przednią nogę, i dokładnie ją obejrzał.

Wiedział, jak Czik się tutaj dostał, mógł się jednak tylko domyślać, co działo się z wiewiórką w czasie, zanim znalazła się w jego domostwie. Biedactwo głodowało i musiało się bać. To małe stworzenie było z pewnością okropnie smutne i samotne, nawet gruboskórny Gondagil rozumiał, jakie ciężkie chwile przeżyło.

Czik chętnie poddawał się zabiegom. Wyglądało na to, że rana wkrótce zagoi się sama. Gondagil przewiązał ją tylko opatrunkiem z długich liści, które przymocował źdźbłem wysuszonej trawy.

Postanowił, że dla pewności będzie Czika niósł przez pierwszy odcinek drogi.

Był czas snu i wiewiórka sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej długą wędrówką i przykrymi przeżyciami, więc Gondagil zdecydował, że zaczekają do brzasku.

Poinformował o tym Czika. Zwierzątko patrzyło na niego spłoszone, ale też i wdzięczne. Gondagil obiecał Czikowi, że wyruszą na długo przed końcem czasu snu. Obok swojego legowiska urządził małe poślanie i Czik natychmiast się tam ułożył.

Nie spali długo, Gondagil obudził swego nowego przyjaciela bardzo ostrożnie.

Zaskakiwało go, jak szybko wiewiórka się u niego zadomowiła, z własnej woli wspinała się na jego ramiona. Widocznie Tsi tak ją nosił.

Gondagil zabrał ze sobą wszystkie te dziwne rzeczy, jakie podarowała mu Miranda.

Kiedy spotkali się po raz drugi, dała mu parę przedmiotów, ale, niestety, ich zastosowanie wyjaśniła tylko z grubsza.

Na przykład owo tajemnicze urządzenie z dwiema rurkami, czy jak to się nazywa. Nie odważył się aż do tej pory zajrzeć do przyrządu, dla wszelkiej pewności jednak zabrał go na tę pełną niebezpieczeństw wyprawę. Miranda powiedziała, że to służy do patrzenia w dal, ale że on na razie nie powinien korzystać z urządzenia. Czy teraz może się odważyć?

Znajdowali się właśnie na wzgórzach, poza Doliną Mgieł. Poprzez spotkanego po drodze młodego pasterza Gondagil przesłał do osady wiadomość, że idzie do Gór Czarnych i chyba długo go nie będzie. Tak więc lud Timona dowie się, dokąd poszedł.

Teraz był już wysoko ponad rodzinną krainą. W oddali lśniła ogromna kopuła wzniesiona nad Królestwem Światła. Gondagil zawrócił i przyglądał się dziwnemu przedmiotowi, który trzymał w ręce. Była do niego dołączona jakaś płytka. „Tego używaj w ciemności” – szepnęła mu Miranda, ale nie zdążyła niczego dokładnie wytłumaczyć, bo otaczało ich mnóstwo ludzi.

Odłożył płytkę na bok. Stwierdził teraz, że „przedmiot” pasuje do jego oczu, i trochę przestraszony popatrzył przez okrągłe otwory.

Widział bardzo niejasno. Wszystko było rozproszone. Co Miranda miała na myśli, dając mu to urządzenie, co miałby przez nie zobaczyć? „Pokręć trochę, aż będziesz widział wyraźnie” – tak mówiła. Wtedy nie zrozumiał, ale teraz...

Kierując się właściwym mężczyznom wyczuciem w obsłudze urządzeń technicznych, Gondagil postępował słusznie, chociaż przesunął pokrętło nie w tę stronę i wszystko przed jego oczyma zrobiło się szare. Natychmiast zrozumiał, że należy kręcić odwrotnie, i oto otworzył się przed nim zupełnie nowy świat! Błąd polegał jedynie na tym, że nie skierował lornetki na żaden określony punkt, wobec czego w okularze ukazało się wpatrzone w niego ogromne oko. Stłumił okrzyk przerażenia i odsunął lornetkę od Czika. Teraz widział lepiej. Patrzył w dół na swoją rodzinną osadę, widział dach domu høvdinga z tak bliska, jakby mógł go dotknąć. Krzyknął zdumiony. Fantastyczne! Przez podwórze szła żona wodza, drapiąc się po karku. Naturalnie obraz był dość niejasny, w jego świecie panowała bowiem wieczna ciemność...

„Używaj tego w ciemności”.

Płytką!

Gondagil znalazł szparę w swoim tajemniczym aparacie i wsunął tam płytkę. Potem znowu popatrzył.

Ooo!

Teraz widział wyraźniej niż kiedykolwiek w Królestwie Ciemności Wszystko tonęło wprawdzie w niebieskozielonej poświacie, ale to nic nie szkodzi Mógł zajrzeć do izby høvdinga przez małe okienko, mógł w ten sposób oglądać wszystkie domy po kolei, w jednym stał pośrodku izby jakiś mężczyzna całkiem nagi.. Nie, Gondagil nie chciał robić czegoś takiego, miał wrodzone poczucie dyskrecji. Haram cieszyłby się pewnie, że może podglądać ludzi w intymnych sytuacjach. Ale nie Gondagil.

Skierował teraz lornetkę ku Królestwu Światła. Widok przesłaniał mur, choć sam był niewidoczny. Przenikało przez niego tylko trochę światła, nic więcej.

A może obejrzeć zbocze góry, tej wysokiej, jasnej?

Gondagil skierował lornetkę w tamtą stronę. Oj! Każda najmniejsza szpara w górskiej ścianie ukazywała mu się jasno i wyraźnie. Odnalazł miejsce, o które uderzyła gondola, zostawiając długie pęknięcia.

Przez chwilę stał w takiej pozycji, że nie mógł widzieć Gór Czarnych, tylko nieduży kawałek skały daleko po prawej stronie. Obiecał sobie jednak, że obejrzy wszystko dokładnie, gdy tylko wejdzie wyżej.

Jeśli to zrobi. Czy powinien się odważyć na coś takiego? Co właściwie tam zobaczy?

Odłożył dar Mirandy, głaszcząc go pieszczotliwie. Uważał się teraz za niemal niepokonanego. Początkowo myślał, że lornetka to jakiś rodzaj broni, podobnie jak ten laserowy pistolet, który miała Miranda. Był więc trochę niepewny, jak posługiwać się darem.

Lornetka przypominała jednak bardziej tamten aparat, którego Miranda używała podczas poszukiwania wielkich jeleni. Dlatego nietrudno było się domyślić, w jaki sposób urządzenie funkcjonuje.

Zresztą, niech to licha, czy nie mogła mu dać również takiego pistoletu? I o mało do tego nie doszło, z pewnością dostałby pistolet, gdyby ten przeklęty Haram im nie przeszkodził. O, Gondagil bardzo by chciał posiadać taką broń! Wtedy naprawdę byłby nie do pokonania. Łuk i długi nóż to przecież bardzo niewiele jak dla kogoś, kto musi pójść do Gór Czarnych.

Próbował odtworzyć w pamięci drogę w góry, tak jak mu o niej opowiadali starzy członkowie plemienia.

A może nie starzy? Dziwne, ale nie mógł sobie teraz przypomnieć, kto mu o niej mówił. Czy to nie dziadek? Tylko że to było całkiem niedawno, a dziadek nie żyje od wielu, wielu lat, chociaż, z drugiej strony, Gondagil zawsze myślał, że słyszał o bezpiecznej drodze do Gór Umarłych jeszcze w dzieciństwie. Teraz zresztą nie był już niczego pewien... No trudno, wszystko jedno, najważniejsze, że zna tę drogę. I rzeczywiście, wybierał właściwą, przynajmniej na razie. Później będzie z pewnością trudniej.

– Chodź, Czik, idziemy dalej – rzekł przyjaźnie. – Nasi ukochani czekają. Potrzebują nas. Wiewiórka parsknęła w odpowiedzi.

W Królestwie Światła babcia Theresa uniosła w górę ramiona, jakby chciała się przed czymś bronić.

Zbliża się noc środka lata, myślała. W dawnym świecie na powierzchni Ziemi to piękny czas. Mimo że noc świętojańska, ta najjaśniejsza i najkrótsza w roku, jest tam również najbardziej niebezpieczna. Tutaj, w Królestwie Światła, nic mi nie grozi. Czy jednak nigdy nie pozbędę się lęku przed tą nocą, podczas której natura budzi się do życia?

A w tym roku będzie gorzej niż kiedykolwiek. Jeden z ukochanych wnuków zaginął, znajduje się gdzieś w nieznannej Ciemności.

Żeby mu się tylko nic nie stało podczas tej nocy. Musimy go odnaleźć, zanim ona nadejdzie!

6

Wyprawa Joriego i Tsi-Tsunggi!

Zaczynała się w atmosferze radości i pragnienia przygód, a skończyła straszną katastrofą.

Jori chodził zły po drogach wokół miasta Saga. Dlaczego zawsze to inni przeżywają coś ekscytującego, a on nigdy? Miranda już dwa razy była na zewnątrz, w Królestwie Ciemności. To niesprawiedliwe!

Ale teraz było mu jej żal. Leży w szpitalu, być może śmiertelnie ranna. I Marco opowiadał, że bardzo rozpacza z powodu swojego nowego przyjaciela, Gondagila, którego już więcej nie zobaczy. Mur został definitywnie zamknięty, a różnica w upływie czasu sprawia, że nigdy nie zdołają się połączyć.

Jori nie mógł pojąć, dlaczego członkowie wyprawy do Królestwa Ciemności nie zabrali ze sobą Gondagila do Królestwa Światła. Przeprowadzenie go przez mur byłoby przecież zupełnie prostą sprawą. Tylko z powodu prestiżu jakiegoś głupiego wodza dwoje zakochanych w sobie ludzi musiało się rozłączyć!

Gdyby ktoś powiedział Joriemu, że jest romantyczną duszą, to by się pewnie obraził. Ale tak było naprawdę. Chociaż on sam nie zdawał sobie z tego sprawy.

Tak bardzo chciałby pomóc nieszczęsnej Mirandzie. Nie wiedział tylko jak. Kiedy wracał do osady, zobaczył zbliżającą się z niezwykłym szumem i w zupełnie wariackim stylu gondolę. Kierowała się wprost na niego i wylądowała, wykonując przedtem z niebywałą precyzją wyszukane zwroty.

– Tsi! – zawołał Jori zachwycony. – Nareszcie dostałeś swoją gondolę? Jaka piękna! A jaki z ciebie zdolny kierowca!

– Mam to wrodzone – oświadczył Tsi-Tsungga z nonszalancją i wysiadł. – No, i jak ci się podoba? Nie jest z tych największych, ale tym łatwiej dociera do trudnych miejsc.

– Wspaniała! Kto ci ją wybrał?

– Ja sam. Pozwolono mi wejść do magazynu i po prostu wybrać. Chciałem właśnie tę, dlatego że jest tak cudownie zielona. Świetnie pasuje do koloru mojej skóry, prawda? No i te żółte siedzenia, ta złota kierownica...

– Jest naprawdę super, Tsi. Czy możemy...

– Myślałem, że już nigdy o to nie zapytasz. Wskakuj! Zaraz zobaczysz, pokażę ci, jak się robi...

I tak dalej. Tsi demonstrował wszystkie niezwykle możliwości swojego pojazdu, płynącego ponad łąkami i wioskami. Jori był pełen podziwu. Nigdy przedtem nie widział swego przyjaciela takim szczęśliwym.

– Wyżej, Tsi! Zobaczmy, co ona naprawdę potrafi!

Tsi bez wahania dawał się wciągać w awanturę.

Wznosili się coraz wyżej i wyżej, krążyli niczym orły pod wysokim sklepieniem muru, uradowani i roześmiani.

– Jezu, tak wysoko chyba nikt jeszcze nie był – rzekł Jori zdyszany.

– Nie – przyznał Tsi. Był taki dumny, taki dumny! – Ale tutaj robi się okropnie jasno.

– Zobaczmy więc, co się kryje w tej świetłości! Z pewnością samo jądro blasku! – zawołał Jori, mimo że był już niemal kompletnie oślepiiony.

– To na pewno Świąte Słońce – odparł Tsi nieco bardziej ostrożnie. – Ale z drugiej strony, jeśli podejmiemy do niego bardzo blisko, staniemy się nieśmiertelni. I strasznie szczęśliwi, tak mówią ci, którzy wiedzą. Słońce daje wszystko, trzeba tylko być dobrym.

– Właśnie, no a my przecież jesteśmy – roześmiał się Jori. – Spójrz, co to jest? Tam wysoko w murze, widzisz? Uff, oczy mnie boją od światła!

Tsi spojrzał. Jakież szczeliny, przez które wydostaje się światło? Podlecieli bliżej.

– Przecież tędy można by wyjść na zewnątrz! – zawołał Jori zaszokowany. – Spójrz sam! Porównaj to z szerokością gondoli. Jeśli skulimy się i pochylimy głowy, wydostaniemy się na pewno.

– Ty chyba nie masz dobrze w głowie, co mamy do roboty w Królestwie Ciemności?

– To podniecające, Tsi! Przygoda. I... Tsi, przecież możemy pomóc Mirandzie!

Zielonobrunatna istota natury ożywiła się na te słowa.

– Naprawdę? W jaki sposób?

– Sprowadzimy jej ukochanego Gondagila.

– Ooo! – Na ruchliwej twarzy Tsi pojawił się zapał. – Oczywiście. Masz rację. Jeśli to zrobimy, Miranda będzie uszczęśliwiona, a wtedy polubi nas jeszcze bardziej, prawda?

– Absolutnie! To co, lecimy?

– W drogę!

Śmiali się, pełni oczekiwań. Po chwili ucichli i w napięciu obserwowali, jak pojazd przeciska się przez wąski otwór.

Ciemność łagodziła ból zmęczonych oczu.

– O, uff, gdzie jesteśmy? – szepnął Tsi.

– Bardzo wysoko. Musimy zejść w dół.

– Przecież niczego nie widzimy.

– Oczywiście, ale poczekaj chwilkę, zaraz się wszystko trochę rozjaśni. Spójrz tam! Widzisz tę dolinę, nad którą unosi się mgła? To musi być kraina Timona.

– Nie widzę nic. Chociaż, owszem, dostrzegam coś, co prawdopodobnie jest mgłą, ale tam jest przecież cholernie ciemno!

– Rzeczywiście. Chodź, zejdziemy trochę w dół.

Okrażenie potężnego sklepienia zabrało im sporo czasu, ale wkrótce znaleźli się na tyle nisko, że dostrzegali grunt. A przynajmniej domyślali się, że on się tam znajduje. Jedyne, co wyróżniało się w ciemnościach w tym strasznym świecie, to właśnie skłębiona, nieco jaśniejsza mgła, która musiała skrywać Dolinę Mgieł, Timonowy kraj. Tsi wykonał śmiały manewr i pojazd poleciał w dół.

– Uważaj, to może być niebezpieczne! – ostrzegł Jori – Nie wiemy, gdzie się kończy mgła, a gdzie zaczyna grunt.

Tsi ponownie uniósł pojazd i roześmiał się zadowolony, to właśnie ten jego śmiech usłyszał Gondagil. Wkrótce potem rozbawienie obu pasażerów gondoli zgasło. Wciąż jednak nie opuszczała ich odwaga.

– Jesteśmy niepokonani, Jori!

– Oczywiście, że jesteśmy niepokonani! Powinni to widzieć nasi przyjaciele.

Unosili się ponad krajobrazem, który słabo majaczył w mroku, widzieli niewiele, wciąż jeszcze oślepieni niedawną bliskością Świętego Słońca. Potrzeba czasu, by oczy przyzwyczyły się do mroku.

Nagle zeszywnieli i przerażeni spoglądali po sobie.

– Co to jest, Jori? Coś się dzieje z gondolą, wytraca szybkość i opada!

Jori przysunął się bliżej, by mu pomóc. Naciskali różne guziki, pociągali za drążki, obchodzili się z maszyną tak, jak to potrafią tylko młodzi chłopcy.

W przestkach zapomnieli o Cziku, który siedział za nimi.

– Cokolwiek robimy, nic nie pomaga – rzekł Jori bliski paniki. – Gondola leci coraz wolniej. I nieustannie opada w dół. Boże drogi, nie możemy tu wylądować!

Tsi był bliski płaczu. Jego nowa, ukochana gondola, co się z nią dzieje?

Słyszeli, oczywiście, że gondole zostały zbudowane dla Królestwa Światła i że nie wiadomo, jaki może być wpływ warunków panujących w Królestwie Ciemności na wrażliwy mechanizm. Zapomnieli jednak o wszystkich przestrożach, przepełnieni pragnieniem niesienia pomocy Mirandzie i sprowadzenia do niej Gondagila.

Właściwie teraz dużo łatwiej dało się manewrować pojazdem, trzeba jednak się na tym znać. Na pierwszy rzut oka tablica rozdzielcza wydawała się prosta, niewiele było na niej niezrozumiałych przycisków. Kiedy się jednak zaczęły kłopoty, wszystko okazuje się zaraz skomplikowane. Elektronika, która przestaje działać, to prawdziwy problem.

– Teraz! Teraz znowu się wznosimy! – zawołał Tsi.

– Tak! Hura! – wrzasnął Jori.

Ale radość trwała krótko. Silnik nie reagował na ich poczynania. Działo się coś zupełnie innego. Gondola zmieniała kierunek, raz bardziej w lewo, raz w prawo, jakby coś nią sterowało, choć oni nie wiedzieli co.

– Zrobiło się trochę jaśniej! – wykrzyknął Jori. – Spróbuj jeszcze raz, może uda się nad nią zapanować!

W jakiś dziwny sposób rzeczywiście zdołali pokierować pojazdem.

Dopiero jednak kiedy znaleźli się w pobliżu tego jaśniejszego miejsca, uświadomili sobie, że to potwornie stroma górską ścianą koloru piasku. Gondola mknęła prosto na nią. Obaj zaczęli krzyczeć, Tsi wykonywał jakieś gwałtowne manewry, by uniknąć katastrofy.

Udało im się to tylko częściowo. Bok gondoli otarł się o skałę, szorował po niej z okropnym zgrzytem i złowieszczym trzaskiem. Czika stracił oparcie i wypadł z pojazdu. Tsi wrzeszczał jeszcze bardziej i chciał zawrócić, by ratować wiewiórkę.

Ale wtedy stało się coś, czego nie pojmowali.

Gondola szarpnęła gwałtownie i mimo wysiłków Tsi kontynuowała lot wzdłuż górskiej ściany, jakby przyciągana przez ogromny magnes.

– Tsi! – wołał Jori, trzymając się desperacko oparcia – Tutaj wieje! Coś mi się nie zgadza, przecież w głębi Ziemi, w samym jej centrum nie ma wiatru, nic nie może wiać!

– Nie jestem w stanie kierować! – krzyczał Tsi-Tsungga zrozpaczony. - Gondola leci sama z siebie, jakby unosiło ją powietrze. Powinienem ratować Czika, ale nie mogę! Zewsząd słychać było wycie. Pewnie, przynajmniej częściowo, sprawiała to niesamowita szybkość pojazdu, po części było to wycie szarpiącego nimi wiatru, najbardziej przerażające znajdowało się jednak przed nimi.

Były to Góry Czarne. Majaczyły im teraz w oddali niczym smoliste cienie w szarym mroku. To stamtąd docierały te straszliwe wycia, które przerażały ich tak bardzo w Królestwie Światła. Tutaj rozchodziły się bez żadnej osłony, potężne, przejmująco wysokie, i tym silniejsze, im bardziej zbliżali się do nieznanego.

Nagle wokół pociemniało. Sinoczarna ciemność wciągała ich pomiędzy potwornie wysokie i ostro zakończone, poszarpane góry. Jednocześnie krzyki narastały, słychać w nich było pełen złości triumf. Dwie żywe istoty wpadły w pułapkę!

W Królestwie Światła rozpoczynała się długa doba środka lata. Ta, która kończy się nocą świętojańską.

Tutaj, w Królestwie Ciemności, musi upłynąć dwanaście dób, by wypełnić czas tego najdłuższego dnia i najkrótszej nocy.

7

Jori uznał, że nie mogą się tak po prostu dać unosić zgodnie z wolą duchów. Trzeba coś zrobić, by się zatrzymać.

Tak, nazywał duchami te niewidzialne istoty, które się z nimi w ten okrutny sposób zabawiały. Czyż nie tak mówiono w Królestwie Światła? Czyż nie powtarzano, że Góry Czarne są zamieszkane przez duchy umarłych i że to właśnie ich żalosne wołania

stamtąd docierają? Tutaj jednak nie było słycać żadnej skargi. Nie, raczej oszołomienie zwycięstwem, złą radość!

Rozumiał, że obaj z Tsi znaleźli się w prawdziwych opałach. Kto im teraz pomoże? Nikt, wprost przeciwnie, to oni przyczynią prawdziwych zmartwień mieszkańcom Królestwa Światła. Sprowadzą na nich żalobę.

Poczuł ukłucie w sercu. Kto będzie tęsknił za Tsi-Tsunggą, samotną istotą? Minie dużo czasu, zanim ktoś w ogóle się zorientuje, że Tsi zniknął.

– Musimy przerwać ten lot! – krzyczał ponad sztormem, szarpiącym gondolą na wszystkie strony. – Czy gotów jesteś poświęcić swój pojazd?

W oczach Tsi-Tsunggi pojawiła się prawdziwa rozpacz, ale z niezwykłą odwagą skinął głową. Joriemu serce się krajało na ten widok.

– Dostaniesz nową, mogę przysiąc – obiecał Jori trochę może na wyrost. – Pędzimy wciąż dalej w góry. Nie wolno nam do tego dopuścić, musimy się zatrzymać, dopóki nie jest za późno. Widzisz tę ścianę na prawo?

Mimo że broda mu drżała, Tsi odkrzyknął, że owszem, widzi.

– Widzisz też pewnie, że jest tam długi skalny występ, który wygląda jak droga. Kiedy następnym razem gondola przybliży się do góry, chwycimy się obaj krawędzi półki.

– I pozwolimy, żeby gondola leciała dalej?

– Niech sobie leci w górskie rejony. Może uda nam się ich oszukać.

Nie zamierzali się zastanawiać, kim są ci „oni”.

– A jeśli gondola nie zbliży się już do górskiej ściany?

– Wtedy trzeba będzie wymyślić coś nowego.

– Możemy przecież zderzyć się ze ścianą ponad albo poniżej półki.

– Czy ty zawsze musisz wszystko widzieć w czarnych barwach?

Tsi umilkł. Wpatrywał się tępo w skalę, jego zielone oczy były pełne łez. Gondola to najwspanialszy prezent, jaki w życiu dostał. I los pozwolił mu ją zachować zaledwie kilka godzin. Jori rozumiał go bardzo dobrze, teraz jednak musieli przede wszystkim ratować życie. Obaj wiedzieli, że nikt nigdy nie wrócił żywy z Gór Umarłych.

Oni muszą być pierwszymi.

– Teraz! – wrzasnął Jori.

Gondola mknęła w oszalamiającym pędzie ku skalnej ścianie. Troszeczkę zbyt nisko. Katastrofalnie nisko, ale wiadomo przecież, że jeśli naprawdę trzeba, człowiek bierze skądś niewiarygodne siły. Tsi-Tsungga natomiast miał tę przewagę, że jako istota natury był zwinny i silny, potrafił wykonać bardzo długi skok. Gorzej przedstawiała się sprawa z Jorim. Niewysoki, ważył niewiele, wprawdzie on również trenował i był fizycznie sprawny, ale czy tutaj to wystarczy? Tsi-Tsungga domyślał się zagrożenia i zawołał, by Jori chwycił się jego pasa. Tuż przed tym, zanim gondola otarła się o skalę, obaj rzucili się w stronę półki. Tsi skoczył lekko na krawędź półki i zdołał się jej uchwycić. Jori wisiał pod nim, desperacko szukając jakiegoś oparcia.

– Nie miotaj się! – zawołał Tsi. Sytuacja nie wyglądała dobrze, ponieważ skórzany pas, którego uczepił się Jori, zsuwał się z wąskich bioder Tsi. Kiedy jednak nabrał pewności, że lewą ręką trzyma się mocno, prawą wciągnął Joriego na górę, chwytając go za kołnierz z taką siłą, że chłopak o mało się nie udusił. Jori natychmiast złapał krawędź

półki i obaj z bólem w sercach patrzyli, jak gondola znika w ciemnościach, mknąc dalej nie wiadomo dokąd.

Obaj mieli bardzo silne ręce, więc wspięcie się w bezpieczne miejsce nie stanowiło problemu. Akurat tutaj skalna półka była przerażająco wąska, ale nieco wyżej rozszerzała się, więc podczołgali się w tamtą stronę, a wicher wył im w uszach. Znaleźli taki odcinek, w którym „ścieżka” tworzyła zagłębienie osłonięte występem, nie musieli więc nieustannie spoglądać wprost w ziejącą otchłań. Tam właśnie popełzli, wstrzymując oddech z wysiłku, przemarznięci do szpiku kości. Nie przywykli jeszcze do chłodu panującego w Królestwie Ciemności. Dygotali śmiertelnie przerażeni. Tsi-Tsungga pociągał nosem.

– Najpierw Cziki. Teraz gondola. Co będzie następane?

Jori już chciał prychnąć: „Myślałem, że jesteś weselszym facetem”, sam jednak nie czuł się w tej chwili specjalnie ubawiony. Poza tym wiedział, że Tsi nie zawsze jest tylko radosny. To niewiarygodnie wrażliwe stworzenie, wielokrotnie mieli okazję się o tym przekonać.

Powiedział więc:

– Tak, to wszystko nie jest zbyt zabawne.

– Nie. Czy sądzisz, że zdołaliśmy ich oszukać? Tym manewrem z gondolą?

– Nie wiem. Gdzie my właściwie jesteśmy?

Tsi chciał odpowiedzieć „nigdzie”, uznał jednak, że to głupie. Ostrożnie wystawili głowy ponad krawędź półki.

– Żeby tylko nie było tak strasznie ciemno – narzekał Jori.

Z tego, co widzieli, rozciągał się przed nimi ponury świat. Niebieskoczarny mrok, przecinany słabymi konturami ostrych, jeszcze czarniejszych górskich szczytów. Wyjące wichry. Bezdenna otchłań tuż pod nimi.

A sama skalna półka, na której się znajdują? Widzieli, że z jednej strony robi się coraz węższa i wznosi w górę ku niebezpiecznemu, magicznemu światu, który nazywali Górą Czarnymi. Z drugiej strony półka schodziła w dół, nie widzieli jej końca, wydawało im się, że nie jest długa, pewni jednak nie byli.

– Myślę, że będziemy czekać tutaj – oznajmił Jori. – Wygląda na to, że tu jesteśmy stosunkowo bezpieczni.

– Będziemy czekać na co?

– Aż nasze oczy przyzwyczają się do ciemności. Już teraz widzimy dużo lepiej niż w chwili, kiedyśmy się tutaj znaleźli.

– Tak. Masz rację. Ale nie możemy czekać zbyt długo.

– Nie, oczywiście, że nie. Podejmowanie jednak jakichś działań już teraz nie miałoby sensu.

Kulili się, drżąc, przysunęli się do siebie, próbowali! obejmować ramionami przemarznięte ciała, starali się dodawać sobie nawzajem odwagi, której żaden z nich nie miał w nadmiarze.

Jori patrzył na Tsi-Tsunggę, który siedział kawałek od niego, oparty plecami o skałę. Dlaczego ja to zrobiłem własnemu przyjacielowi? zastanawiał się. To przecież ja wyciągnąłem go z Królestwa Światła. Ile on musiał stracić! Teraz może nawet straci

życie. Albo, co jeszcze gorsze, wolność, Zostaniemy uwięzieni na wieki w tym strasznym świecie. Nie wiemy o nim przecież nic, absolutnie nic!

Nie miał pojęcia, że Tsi dręczą podobne myśli. Że wyrzucił sobie, iż namówił Joriego na wyprawę gondolą. Trzeba było tego nie robić. Teraz tkwili w sytuacji bez wyjścia. Uwięźli na dobre!

Spojrzał w górę, przesunął wzrokiem po rozmazanych, poszarpanych skalnych szczytach.

– Jori... czy nie uważasz, że czegoś nam tu brakuje?

– Mnóstwa rzeczy nam brakuje. Nie ma słońca, ciepła, bezpieczeństwa, jedzenia...

– Tak, tak, ale czegoś, co przedtem było.

– Czyli czego?

– Tych błyskawic, szybkich mgnień światła.

Jori po chwili milczenia odrzekł:

– Masz rację, leśna istoto! Nie widzieliśmy ich ani razu od chwili, gdy zostaliśmy porwani i rozpoczęliśmy tę szaloną jazdę. Nie słyszeliśmy też śmiertelnego zawodzenia

– Myślisz, że to coś znaczy? – zapytał Tsi, szarpiąc nerwowo pas. Nie był w stanie zwrócić Joriemu uwagi, że jest istotą ziemi, a nie lasu. Akurat w tej chwili nie miało to znaczenia.

– Myślisz, że ten brak błyskawic coś znaczy?

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odparł Jori. Przez chwilę milczeli.

– Jori, czy myślisz, że jeszcze kiedyś zobaczymy Królestwo Światła?

Nie męcz mnie, pomyślał Jori ze złością, odpowiedział jednak radośniej, niż sam to odczuwał:

– Oczywiście, że zobaczymy!

– Jori... Dlaczego my widzimy Królestwo Światła prawie z góry? Nie całkiem, ale jednak. Tsi miał rację. Kolosalna kopuła wyglądała teraz, jakby znajdowała się nieco poniżej.

Jori wiedział dlaczego.

– Ponieważ jesteśmy daleko, bardzo daleko od domu. A wewnątrz Ziemi ma kształt muszli, prawda? Znajdujemy się dość wysoko na jednej z jej ścian, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Tsi w zadumie kiwał głową i próbował sprawiać wrażenie, że rozumie. Potworny strach dławił go w piersiach, ale starał się tego nie okazywać. Chciał być równie dzielny jak jego towarzysz.

Ach, ach! Jedyne, czego Jori w tej chwili nie odczuwał, to właśnie dzielność.

Skalna ściana miała mnóstwo nierówności, uwierała ich boleśnie w plecy. Trudno też było znaleźć miejsce do siedzenia. Po chwili wszędzie robiło się niewygodnie, wszystko sprawiało ból. Strasznie też marzli w swoich cienkich ubraniach obliczonych na stałe, znakomicie dopasowane do potrzeb żywych istot ciepło panujące w Królestwie Światła, z czasem też obaj coraz dotkliwiej odczuwali, że już pora kolacji, na którą, niestety, nie mogli liczyć, a także pora snu.

Jak mieliby tutaj spać?

Jori zamyślił się.

– Tsi, my w Sadze, a także we wszystkich miasteczkach i wsiach, zawsze nosimy ze sobą tabletki nasenne, na wypadek gdyby nasz rytm dobowy został zakłócony. Wiesz przecież, jakie to ważne w Królestwie Światła.

Tsi skinął głową.

– My, młodzi, dostajemy te proszki dlatego, że mamy brzydki zwyczaj wychodzić nocą z domu. W każdym razie zabrałem ich kilka. Gdybyśmy mogli je teraz zażyć i pospać... powiedzmy siedem godzin... to obudzimy się wypoczęci, z jasnymi umysłami.

Tsi-Tsungga był zmęczony. Spoglądał poza krawędź, by zobaczyć, czy nie czai się tam jakieś niebezpieczeństwo, ale widział jedynie głęboką ciemność. Akurat teraz życzyłby sobie, żeby jedna z takich strasznych, przewalających się z grzmiotem błyskawic rozjaśniła górski świat, ale błyskawice ustały widocznie dlatego, że oni się tutaj zjawili. Że on i Jori tutaj są, a nie mają prawa niczego zobaczyć.

Patrzył też w górę, rozglądał się we wszystkich kierunkach, ale zewsząd dochodził tylko ten ryczący wicher, a poza tym nic. Żadnych krzyków, skarg, niczego. Bardziej wymarłego miejsca nie można sobie wyobrazić, myślał.

Skulił się.

– Tak. Trzeba się przespać – powiedział z uczuciem, że jest najmniejszą i najbardziej bezradną istotą na świecie.

Musieli połykać tabletki bez odrobiny płynu do popicia, zajęło im to więc sporo czasu. Tsi pogryzł swoje lekarstwo na kawałki i krzywił się, bo było gorzkie. W końcu jednak każdy okrucuch znalazł się tam, gdzie powinien.

Dla zachowania chociaż odrobiny ciepła przytulili się mocno do siebie, leżeli z otwartymi szeroko oczyma i wsłuchiwali się w ryk złych sztormów szalejących ponad ich obolałymi głowami.

Jori stwierdził, że Tsi-Tsungga robi coś za jego plecami.

– O co chodzi?

– Przywiązuję swój pas do twojego. Zdarza mi się wstawać we śnie. Bardzo bym nie chciał znaleźć się po tamtej stronie krawędzi. Schody są troszkę za wysokie, można powiedzieć.

– Postanowiłeś więc zabrać mnie na te swoje nocne wędrówki? – uśmiechnął się Jori. – Serdeczne dzięki! Ale dobrze zrobiłeś, w ten sposób będziemy bardziej bezpieczni, związani na dobre i na złe.

– Mhm.

Tsi-Tsungga leżał i rozmyślał o tym, co utracił. O ukochanym Cziku, który zniknął i któremu nikt nie pomoże. Łzy płynęły mu z oczu. Myślał o dziewczynach z ich grupy. O Elenie, z którą kiedyś mógłby się kochać, ponieważ oboje byli bardzo podnieceni.

Uważał jednak, że byłoby to w stosunku do niej nie w porządku, że zrobiłby jej krzywdę. Teraz żałował. Będzie musiał umrzeć, nie zaznawszy rozkoszy miłości

Miranda... Odczuwał dla Mirandy wielką słabość, ale ona myślała teraz wyłącznie o Gondagilu. Tsi-Tsungga powinien był się pośpieszyć, zdobyć ją, zanim znalazła w Królestwie Ciemności tego dzikusa. Teraz z pewnością tamten będzie się kochał z Mirandą. Tsi-Tsungga rozmawiał z nią o tym. Powiedziała mu, że Gondagil bardzo ją

pociąga, że jest pod jego urokiem do tego stopnia, iż odczuwa mrowienie w całym ciele, kiedy Gondagil jej dotyka.

Jakby Tsi-Tsungga nie wiedział, co się w takich momentach czuje. Miranda nie domyślała się nawet, że wielokrotnie miał ochotę wziąć ją gwałtem, ponieważ jej obecność działała na niego tak strasznie podniecająco. Nigdy jednak tego nie zrobił. Miranda to wspaniała dziewczyna, za nic nie wyrządziłby jej krzywdy. A widocznie dla dziewcząt z rodu ludzkiego to ważne, by zachować czystość dla tego, za którego wyjdą za mąż.

Elfy nie myślą w ten sposób. Do nich jednak nie miał przystępu, ponieważ pochodził z innej rasy.

Niech to licho, teraz leży tu okropnie podniecony! Żeby tylko Jori niczego nie zauważył! Nie, Jori najwyraźniej śpi, niech losowi będą dzięki. Nie mógł nic zrobić z tym swoim podnieceniem, bo towarzysz leżał zbyt blisko niego. Nie było też wody, by ugasić pożar. Pomyśl o czymś smutnym, Tsi, zapomnij o Mirandzie, zapomnij o jej nagich udach, zapomnij, co czułeś w jeziorze, kiedy podpłynęła do ciebie i oplótła cię ramionami. Nie, nie powinieneś o niej myśleć! Najlepszym sposobem ugaznienia namiętności było, rzecz jasna, rozważanie sytuacji, w której się znaleźli. Chłód przenikał go do szpiku kości. Wiatr szarpał cienkim ubraniem, ze wszystkich stron czaił się strach.

Był pewien, że nigdy więcej nie zobaczy Królestwa Światła.

Czika też nie.

Czika, którego zawiódł. Choć przecież tego nie chciał.

Na szczęście, kiedy wylewał łzy nad swoim losem, wzburzone zmysły się uspokoiły.

Tsi-Tsungga starał się odprężyć.

Udało mu się. W końcu powieki zaczęły opadać. Ale...

Istniało jedno wielkie ale, które ujawniło się teraz, podczas snu. Dobrze, że tak się stało, ponieważ potrzebowali wypoczynku.

Nabrała znaczenia różnica czasu. Jori nastawił swój zegarek tak, by małe budzik zadzwonił po siedmiu godzinach.

Tak się też stało.

Ale zegarek to mechanizm. Różne rytmy dobowe nie mają na niego wpływu. Zegarek chodził według reguł obowiązujących w Królestwie Światła. Zadzwonił po siedmiu godzinach w tamtym królestwie.

W chwili kiedy Jori próbował wyłączyć piszczący automat, ponieważ sygnał działał mu na nerwy, a nie mógł tego zrobić, bo Tsi-Tsungga przyciskał jego rękę, w Królestwie Ciemności mijają właśnie nie siedem, lecz osiemdziesiąt cztery godziny.

Chłopcy spali trzy i pół doby!

8

Ocknęli się prawie równocześnie.

Jori usiadł, dzwoniąc zębami. Ciało zeszywniało mu z zimna i niewygody. Usta popękały z pragnienia.

Tsi-Tsungga czuł się niewiele lepiej. Dygotał i otrząsał się niczym koń, Jori bał się, żeby nie wypadł poza krawędź półki.

– My nnnig... dy... sssię... nnnie rozgrzejemy – jękał Tsi.

– Oczywiście, że się rozgrzejemy. Wiesz, teraz widzę lepiej.

– Ja też. Ciemność nie jest już taka czarna.

– Nie, jest jasnoczarna – chichotał Jori. – Nasze oczy przywykły do ciemności. Widzę teraz mnóstwo okropnych szczytów. Stoją bardzo blisko siebie, a my znaleźliśmy się w wąskim przejściu. W naprawdę okropnym przejściu!

– Łagodnie mówiąc! Ruszamy do domu. Nie, przecież nie mamy gondoli! O rany, co teraz zrobimy?

Jori spojrzał na datę na swoim zegarku. Nie mógł sobie jeszcze uświadomić, że zgodnie z miarą czasu w Królestwie Ciemności upłynęło trzy i pół doby. Stwierdzał tylko, że zaczął się nowy dzień.

– Noc Johanna – rzekł i w rozmarzeniu spoglądał przed siebie, a na jego wargach pojawił się delikatny uśmiech. – Prababcia Theresa nazywa tę noc, która się zbliża, nocą Johanna. My mówimy o niej „noc środka lata”, „noc sobótkowa”, „noc świętojańska”. Ale kochana, wspaniała Theresa, którą wszyscy uwielbiamy, pochodzi przecież z Austrii i nazywa tę noc tak, jak ją nazywała w dzieciństwie. Johannisabend. Albo Johannisnacht. Podobno mogą się wtedy dziać bardzo dziwne rzeczy. Natura budzi się do życia. Również to, co nie powinno. Dobre siły, to prawda, ale również złe. My żyjemy jednak zawsze obok duchów i różnego rodzaju sił natury, więc dla nas to nic dziwnego. Nawet teraz siedzę obok kogoś takiego, pomyślał. Obok sympatycznego i przyjaznego małego elfa ziemi (zresztą nie tak znowu małego), który jest śmiertelnie przerażony tym, co nas otacza.

Prababka Theresa. Na myśl o jej łagodnym, ciepłym uśmiechu i serdeczności, którą okazuje nawet wówczas, gdy upomina swoje szalone prawnuki, w oczach Joriego pojawiły się łzy. Zatręsknił rozpaczliwie, by znowu ją zobaczyć. Ale akurat w tej chwili widoki na to miał jak najgorsze. Odwrócił się, udawał kaszel, by otrzeć łzy i zachować męską godność.

Na Boga, w jaką to straszną awanturę się wplątali?

Niestety, miało być jeszcze gorzej!

Spojrzał na Tsi-Tsunggę i stwierdził, że ten za chwilę straci wszelką odwagę oraz kontrolę nad sobą, postanowił więc porozmawiać z towarzyszem o czym innym, tak by myśli obu nie krążyły wyłącznie wokół strasznej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

– Tsi – zaczął. – Czy ty czujesz to samo co ja?

– Pragnienie? Głód, strach? Czy czuję, że natychmiast muszę zrobić siusiu, że jestem kompletnie opuszczony?

– Nie, nie, nie! To wszystko jest oczywiste, ale czy nie dostrzegasz czegoś innego? Czegoś przyjemniejszego? Nie?

– Nie. O co ci chodzi?

Jori wyciągnął w górę ramiona.

– Ja czuję się taki łagodny, taki dobry! I silny. Stałem się dobrym człowiekiem, pod każdym względem. Jestem niezwykły z powodu tej dobroci i wewnętrznej siły. Kocham wszystkie stworzenia na świecie, wszystko, co kiełkuje i rośnie, wszystkie kamienie, skały, każdą najmniejszą grudkę ziemi, płynącą wodę, powietrze, którym oddychamy...

– Ja też, ale przecież zawsze tak było – powiedział Tsi-Tsungga ufnie. – Zawsze kochałem wszystko w naturze. Miranda także.

– W porządku, czy jednak zawsze czułeś, że jesteś dobry? I łagodny?

Tsi zamyślił się.

– Nigdy nie jestem na nikogo zły. Najwyżej robi mi się smutno.

Jori skinął głową.

– To prawda. Taki jesteś.

A my nigdy tego naprawdę nie ceniliśmy, pomyślał z poczuciem winy, elf ziemi natomiast wstał.

Tsi zaczął się głębiej zastanawiać nad słowami przyjaciela.

– Nie, oczywiście, że to nieprawda. Potrafię być zły. Od czasu do czasu bardzo rozkosznie jest oddać, jeśli ktoś jest wobec ciebie niedobry. To pewnie mało szlachetne?

– Rzeczywiście – zachichota! Jori. – Ale bardzo ludzkie. I myślę, że niekiedy również słuszne. Człowiek nie powinien pozwolić, by po nim deptano, bo wtedy nie budzi się w innych ani sympatii, ani dobrej woli. Tylko niechęć. Nie, ale czy wiesz, co ja myślę? Ja nie zawsze jestem równie miły i dobry jak ty. Natomiast teraz czuję się jakiś rozjaśniony. Sądzę, że to dlatego, iż znajdowaliśmy się tak blisko Świętego Słońca i jego siła mogła na nas podziałać. W każdym razie na mnie, jestem teraz jak nowy. Ty żyjesz tutaj dłużej niż ja.

– W Starej Twierdzy tak – odparł Tsi z goryczą. – Tylko czy to mogłoby stanowić przewagę? Dobroczyńne światło Słońca aż tam nie dociera.

– Masz rację. Cóż, jesteś po prostu dobry sam z siebie.

– Tak – odparł Tsi z tą niezwykłą naturalnością, która go zawsze charakteryzowała. – Ale gdyby się tak zastanowić, to przecież żyłem w tym świecie nie tak znowu dużo dłużej niż ty. Byliśmy prawie rówieśnikami, kiedyś się spotkali.

– Tak, rzeczywiście.

Tsi filozofował, wciąż stojąc, i skrobał paznokciami w skalnej szczelinie w nadziei, że znajdzie choćby parę kropel wody do zwilżenia warg. Na próżno, wszędzie tylko sucha skała.

– Wiesz, istoty natury w Starej Twierdzy nie są chyba aż tak miłe, ale stanowią część tamtejszych lasów i pól. A natura sama w sobie nie jest zła. I oni też nie zawsze byli tacy. Musisz pamiętać, że zostali podporządkowani tym strasznym ludziom-jaszczurom... kiedyś w przeszłości...

– O, tak. Silinom, uff! Ojciec i mama opowiadali o tym. Prawdopodobnie twoi przodkowie, istoty natury, są z nimi spokrewnieni i przejęli część ich zła.

– Właśnie tak – potwierdził Tsi z zapalem. – Ale wiesz, nie wszyscy w moim plemienu mają w żyłach ich krew. Moja mama na przykład nie miała, pochodziła z czystej rasy, uważana była za lepszą od pozostałych.

– Poza tym jesteś na pół Lemurem – przytaknął Jori. – A oni zostali wyniesieni! Tak, mój przyjacielu, ty jesteś dobrą istotą, taki się po prostu urodziłeś. Ty nie potrzebujesz światła Słońca. W każdym razie nie do tego stopnia co ja, pechowiec Jori, który wciąż wpada w tarapaty.

Tsi-Tsungga poczuł ciepło w sercu, słysząc, że Jori zwrócił się do niego per „mój przyjacielu”. Wciąż odczuwał rozpaczliwą potrzebę słuchania takich słów. On, bastard, który nigdzie nie miał swego domu, którego wszyscy akceptowali, ale nikt naprawdę nie chciał dzielić z nim życia. Bali się, zarówno istoty natury, jak Lemurowie, elfy, Obcy, a także ludzie, że któregoś dnia zechce wejść z nimi w związki krwi i zniszczy ich geny. Był wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju, po prostu Tsi-Tsungga. Sympatyczny, miły i spontaniczny, nikt jednak nie pragnął mieć w swojej rodzinie potomka z brunatnozieloną skórą, przenikliwie zielonymi oczyma i połyskującymi zielenią włosami.

Niepokój jak najbardziej uzasadniony, Tsi-Tsungga bowiem obdarzony został niezwykle zmysłowością, był szalenie pociągającym młodzieńcem, zwłaszcza dla niemądrych istot rodzaju żeńskiego.

Falę współczucia Joriego dla samotnego Tsi gwałtownie powstrzymało oświadczenie towarzysza:

– Nie, teraz już dłużej nie wytrzymam! Tylko gdzie mam to zrobić?

– Na drugą stronę krawędzi oczywiście – odparł Jori.

– A może ten nocniczek wydaje ci się za mały?

Tsi roześmiał się, bez skrępowania odsłonił swoją imponującą męskość i skierował ją ku otchłani.

– Zdaje mi się, że na dole widzę jakieś postaci – rzekł z udaną powagą. – Mogę na nie nasikać?

– Postaci, aleś wymyślił! Zapewniam cię, że nikogo tuj nie ma – syknął Jori, siedząc wciąż oparty o skałę. – Skąd wzięłyby się tu jakieś postaci?

– Nie, oczywiście nie, nawet ja to rozumiem, pod nami nie ma absolutnie niczego – odparł Tsi, wrócił i usiadł obok przyjaciela. – Och, jakaż ulga! Żeby tylko jeszcze zdobyć coś do picia. Język zamienił mi się w ścierny papier, a żołądek jest jak pusta dziura.

– Mój także. To znaczy język. Nie mogę nim poruszać. A poza tym chcę ci powiedzieć, że dziura jest na ogół pusta, ale nie będę małostkowy. Trochę jedzenia rzeczywiście by się przydało. Albo trochę ciepła. Albo jakiś ratunek.

– Jesteś piekielnie wymagający – krzywił się Tsi-Tsungga. – Ja proszę o dużo mniej, wystarczyłby mi niewielki cud. Jakaś droga, którą moglibyśmy stąd wyjść. Ale nie wygląda na to, żeby coś takiego się tu znajdowało. Ani z jednej, ani z drugiej strony. – Nie.

Przez dłuższy czas siedzieli pogrążeni w ponurych myślach.

Jori zastanawiał się nad swoim życiem. Ojciec i mama mieli w związku z nim wielkie ambicje, a on często klócił się, że sam potrafi decydować o swoim życiu.

Teraz żałował, że nigdy im nie okazywał, jak bardzo ich kocha. Tata Uriel, który, jak mówią, był niegdyś prawie aniołem, gotowym do wstąpienia w wymiar przeznaczony dla tych bezcielesnych istot, wybrał życie na ziemi z miłości do szalonej matki Joriego, Taran. Och, jakież to romantyczne!

Ciekawe, czy ojciec kiedyś tego żałował? Jori uważał, że nie. Jeśli istniała na świecie jakaś zakochana para, to byli to jego rodzice.

I czyż Królestwo Światła nie jest więcej warte niż krążenie po nieboskłonie, wykrzykiwanie „alleluja” i sławienie Boga, który po prostu śpi, kompletnie obojętny na to, co się dzieje na Ziemi?

Nie, nie wolno tak myśleć, to bluźnierstwo, ojciec tego nie lubi. Mimo wszystkich niezwyklej zmian w swoim życiu, ojciec zachował wiarę. Jori szanował to, chociaż on sam bardziej wierzył w oddziaływanie Świętego Słońca.

Jori miał zostać Strażnikiem, to jedna z najwyższych godności w Królestwie Światła. Strażnik to nie tylko policjant, to dużo, dużo więcej. Dotychczas Jori zdołał zostać jedynie strażnikiem przez małe s, ale jego czas nadejdzie.

Miał nadejść.

Teraz jednak on sam pozbawił się wszelkiej przyszłości. Wyprawił się w tę szaloną podróż, pociągając za sobą niewinnego Tsi, napelniając smutkiem i strachem serca najbliższych. Ojca i mamy, dziadka i babci, Theresy...

Tsi-Tsungga drgnął. Nerwowo uderzył przyjaciela w ramię.

– Jori, Jori – szepnął gorączkowo. – Czy słyszysz to samo co ja?

Nasłuchiwali. Spoglądali po sobie, wytrzeszczając oczy.

– Uff – jęknął Tsi bezdźwięcznie.

Poprzez wycie wichru docierało do nich coś, co mroziło im krew w żyłach.

Jakieś groteskowe, szumiące, parskające dźwięki, jakby je wydawał cały tłum piekielnych istot.

– A jednak ktoś tutaj jest – mruknął Jori. – Na tych gładkich górskich ścianach? Ktoś, kto wyłonił się z otchłani?

Oczy Tsi zrobiły się okrągłe ze strachu.

– Odważymy się spojrzeć poprzez krawędź, Jori?

Jego towarzysz przełknął ślinę. Chodzi o to, by uchronić odwagę nas obu, pomyślał. Jak jednak uchronią odwagę, której nie ma? Przynajmniej we mnie.

Pochylili się do przodu i spojrzeli w dół.

– Och, nie – szepnął Jori. – O, nie, nie.

Zdjęci grozą spoglądali na to, co ukazało się ich oczom.

Jak widać, nikogo nie oszukali pustą gondolą. Przynajmniej nie na długo.

9

Samotny Gondagil dobrze się czuł w towarzystwie Czika. Wiewiórka to podskakując biegła u jego boku, to siedziała na jego ramieniu. Podążali szybko naprzód, Gondagil wiedział bowiem dobrze, że nie mają czasu do stracenia.

Wziął jedzenia na wiele dni, zabrał też wszystko, co, jak sądził, mogło mu się przydać. Wszystko, co Miranda dała mu, zanim wydarzyła się katastrofa i dziewczyna została od niego zabrana. Zbadał dary dokładnie, z wyjątkiem tej lornetki, którą odważył się wyjąć dopiero teraz, wiedział, że jest w posiadaniu wielu cennych przedmiotów, które z pewnością pomogą mu nie raz. Niczego nie pokazał żadnemu Waregowi. Strzegł swojej własności, jakby to było złoto.

Właściwie chyba jeszcze bardziej, bo na co by mu się tutaj zdało złoto? Wysoko cenił sobie na przykład linę, którą Miranda nazywała sznurem elfów. Dostała kawałek od Dolga, wyjaśniła Gondagilowi.

Lina nie była długa, Miranda zdążyła mu ją jednak zademonstrować. Otóż sznur mógł się rozciągać zgodnie z życzeniem właściciela. Czyż człowiek poruszający się po pustkowiach mógł otrzymać cenniejszy dar?

Obaj z Czikiem gnali do przodu, jakby ich ktoś gonił. Szybciej nie można się chyba poruszać po tych kamienistych przestrzeniach. Dawno temu opuścili wszystko, co mogło przypominać siedziby i osiedla, a także wszelkie ukryte nory zwierząt. Znajdowali się teraz w głębi przerażającego obszaru, na którym żadne rozsądne stworzenie nie chciałoby postawić stopy.

Gondagil jednak musiał. Bo może gdzieś tutaj, w tych niebieskoczarnych górach, które otaczały go ze wszystkich stron, znajdowała się Miranda.

Gondagil dużo lepiej widział w ciemnościach niż ludzie z Królestwa Światła. Wiedział również, jak należy się chronić przed ewentualnymi obserwatorami, wypatrującymi z wysoka. Patrzył, jak gondola była wciągana pomiędzy szczyty, słyszał o ludziach, którzy podejmowali próbę wejścia na ten teren, zawsze jednak natychmiast porywały ich złe triumfujące duchy i żaden ze śmiałków nigdy nie powrócił.

Gondagil znał właściwą drogę. Przed wieloma laty opowiadał mu o niej dziadek. Chłopiec zapamiętał wszystkie szczegóły, ponieważ w tamtych czasach, kiedy był dzieckiem, uważał, iż zbadanie Gór Czarnych mogłoby być pełną napięcia przygodą. Kiedy był dzieckiem...? Czy to naprawdę tak dawno temu? Miał wrażenie, że dopiero co.

Teraz jednak wyprawa nie wydawała mu się przygodą. Widział ją jako absolutną konieczność, zdawał sobie też sprawę, że najpewniej przyplaci ją życiem. Jednak świadomość, że być może Miranda znajduje się tutaj w strasznym niebezpieczeństwie, dawała mu niezbędną odwagę.

Nie chciał nawet pomyśleć, że dziewczyna prawdopodobnie straciła już życie.

Szli przez wiele dni i nocy, on i Czik. Zatrzymywali się na odpoczynek tylko wtedy, kiedy nogi nie chciały ich już nieść. Przesypiali parę godzin i spieszyli dalej.

Czik wiedział, o co chodzi, Gondagil mógł bez problemów komunikować się z wiewiórką. Czik tęsknił za swoim panem tak samo, jak mężczyzna pragnął odzyskać swoją kobietę. W tych rzadkich przypadkach, kiedy zatrzymywali się na odpoczynek, zdążył przemyśleć własny stosunek do Mirandy.

Tyle się w nim zmieniło od czasu, kiedy ją spotkał. Ona wydobyła z niego najlepsze cechy. Sam był trochę zdumiony tym, jak bardzo począł się różnić od prymitywnego Harama. Dawniej się tym nie przejmował. Miranda postawiła wszystko w jaśniejszym świetle. Tak cudownie było się przekonać, że on sam stał się dużo bardziej wartościowy, że mógł mierzyć się z nią pod względem intelektualnym, on, który w kraju Timona nigdy nie miałby takich możliwości. Teraz wiedział, że jest równy najmądrzejszym.

No i inne uczucia, które wzbudziła w nim Miranda. Czułość, pragnienie, by się nią opiekować, chronić ją.

I jeszcze więcej... Teraz, kiedy siedział w najdzikszym pustkowi, przypominał sobie dokładnie, co przeżywał kiedy trzymał ją w ramionach.

Zaczął być świadomy swego ciała w zupełnie inny sposób niż dotychczas. Kiedy przesuwiał ręką po barkach, mięśnie grały mu pod skórą. Jego uda były twarde i silne, wyćwiczone podczas licznych wędrówek po lesie, brzuch płaski i jakby podzielony

twardymi mięśniami. Miranda wzbudziła w nim także bardziej mroczne instynkty. Teraz, kiedy o niej myślał, odczuwał rozkoszne mrowienie w ciele, mrowienie, które koncentrowało się w jednym punkcie. Dawniej także od czasu do czasu przeżywał coś podobnego nad ranem, nigdy jednak w taki sposób jak teraz. Teraz było to silniejsze, bardziej podniecające, krew pulsowała w nim boleśnie i oczyma duszy widział Mirandę, przypominał sobie, jak bluzka napina się jej na piersiach. Albo wtedy, kiedy leżała przy nim na skale tak blisko, tak blisko...

– Chodź, Cziki, musimy iść dalej – rzekł krótko.

Kiedy mężczyzna jest kompletnie sam, myślenie o swojej kobiecie, której nie może dotknąć, sprawia wielki ból.

Zresztą czy Gondagil ma prawo nazywać Mirandę „swoją kobietą”? Akurat teraz nie był tego taki pewien. Do niczego jeszcze między nimi nie doszło. Kilkakrotnie trzymał ją w ramionach, dotykał policzkiem jej policzka, ale nic więcej; wiedział, że ona odczuwa to samo co on: oddanie, zrozumienie i... Owszem, wierzył, że jej miłość jest równie silna jak jego. W tej chwili jednak nie był tego taki pewien. Ludzie z niemieckiego plemienia zamieszkującego sąsiednią krainę opowiadali sporo o Górach Czarnych tamtego dnia, kiedy odwiedzili ich Waregowie i wysłannicy z Królestwa Światła. Pewien człowiek, mówili, dawno temu wyruszył do Gór Umarłych, dokładnie tą samą drogą, którą teraz szedł Gondagil. Tamten mężczyzna nie odważył się zejść zbyt daleko, opowiadał jednak o silnych prądach powietrznych, o niemal nieznośnym przyciąganiu ze strony górskiego świata. Słyszał dzwoniące głośnie śmiechy pomiędzy szczytami i widział owe błyski światła rozrywające mrok wokół niego. Nagle został jakby wessany w zupełnie nieprzeniknioną ciemność. Był to jednak człowiek bardzo silny, zdołał się mocno uchwycić najpierw kamienia, a potem otoczył ramieniem ostatnie drzewo, które rosło przy „ścieżce”. Nie była to żadna ścieżka ani droga, po prostu lekkie zagłębienie w skale wiodące do siedziby tego czegoś przerażającego. Kiedy włożył się z powrotem krok za krokiem, słyszał żalosne, płaczliwe wołania, wydawało mu się, że to męski głos zawodzi, słów jednak nie zdołał zrozumieć. W końcu udało mu się jakoś wydostać z niebezpiecznej strefy i dotrzeć do miejsca, do którego ta wsysająca siła już nie sięgała. Stamtąd, jak tylko mógł najszybciej, popędził do rodzinnej osady. Całe to wydarzenie jednak bardzo go wyczerpało i nadszarpaneło jego zdrowie, ledwie pół roku po swojej niefortunnej wyprawie zmarł.

Ale kto w takim razie mógł być opowiedzieć legendę o dwóch źródłach? Legendę, o której Ludzie Lodu twierdzą, że jest prawdziwa? Kto dostał się tak daleko w góry i wrócił stamtąd, by móc ją opowiedzieć?

Zagadki, zagadki. Góry Czarne pełne były zagadek.

Wokół Gondagila pociemniało. Cziki skulił się na jego ramieniu, mężczyzna czuł łaskotanie miękkiego futerka na policzku. Wiewiórka bała się i szukała opieki u człowieka, który ją uratował i mógł doprowadzić do przyjaciela, Tsi-Tsunggi.

A właśnie, błyski światła...

Gondagil zastanawiał się. W ciągu ostatnich dni pojawiały się zdumiewająco rzadko. Normalnie, kiedy obserwował je z domu, z Doliny Mgieł, rozplomieniały się wielokrotnie w ciągu dnia. Odkąd jednak zobaczył gondolę znikającą w Górach Czarnych, błyski mógł

policzyć na palcach jednej ręki. Jeśli w ogóle jakieś zauważył. Po tym ohydny, triumfującym wyciu śmierci prawie ustały.

Dlaczego?

Myśl, która przysłała mu do głowy, poraziła go. A może to dobry znak? Może „oni”, kimkolwiek są, chcieli, żeby ofiary, które znalazły się w górach, czegoś nie zobaczyły? A może chcieli, żeby było kompletnie ciemno, wtedy łatwiej im będzie zwabić zdobyczą do pułapki?

Jeśli tak było, jeśli Gondagil rozumował prawidłowo... To by oznaczało, że ofiary nie zostały jeszcze pojmane?

Uczepił się mocno tej szalonej myśli, ponieważ dawała nadzieję, że nie przyjdzie za późno. Że Tsi-Tsungga, którego głos naprawdę słyszał, i jego młody towarzysz oraz ewentualnie Miranda wciąż jeszcze żyją. A może po prostu nie zaszli jeszcze wystarczająco daleko?

Mężczyzna z niemieckiej osady wspominał o jakichś błyskawicach, które ustały, kiedy on się zbliżał. Gondagil przypominał sobie jak przez mgłę, że coś takiego zostało powiedziane, ale może to z jego strony tak zwane życzeniowe myślenie?

– Cziki – powiedział. – Uważam, że ty powinieneś tutaj zostać i czekać.

Wiewiórka wczepiła się mocniej w jego ramię.

– Nie, Cziki, nie powinienem brać cię ze sobą tam, bo być może nie będę mógł się tobą odpowiednio opiekować. Chciałbym, żebyś został tutaj, gdzie jest trochę bezpieczniej. A ja pójdę i spróbuję przyprowadzić ci twojego przyjaciela.

Wiedział, że Cziki uważa Tsi-Tsunggę za swego przyjaciela, a nie pana i właściciela.

Ale wiewiórka gwałtownie protestowała. Parskała przestraszona i zdenerwowana, wreszcie Gondagil pojął jej myśli: „Ja jestem mniejsza i bardziej zwinna niż ty. Łatwiej mi się schować. I wejdę tam, gdzie ty się nie dostaniesz”.

Gondagil zastanawiał się. Dla małej wiewiórki on, wysoki, potężny człowiek z dzikich pustkowi, był uosobieniem bezpieczeństwa.

– Masz rację – rzekł w końcu. – Rozumiem, że cię nie przekonam. I, oczywiście, potrzebuję cię! Zarówno jako towarzysza, jak i pomocnika w chwili konieczności. W takim razie idziemy dalej.

Cziki był bardzo zadowolony. Ruszyli przed siebie w tę wciąż gęstniejącą ciemność.

Nagle Gondagil rzucił się na ziemię.

– Cziki, tam w mroku coś jest, ale nie mogę zobaczyć co.

Leżeli bez ruchu, przywierając do podłoża. W oddali słyszeli szumiące, zawodzące dźwięki, obce dla nich obu.

Cziki dał znać, że chce zbadać to, co zdziwiło człowieka.

– Tak, ale ostrożnie – upomniał Gondagil. – Nie może ci się tutaj nic stać, wiesz o tym!

Samotna, zabląkana wiewiórcza dusza przyjęła jego słowa z wdzięcznością.

Cziki ruszył przed siebie w krótkich, jakby niepewnych podskokach. To, do czego zmierzał, leżało troszkę w bok od ich szlaku. Pośrodku gęstych, kłujących zarośli.

Wiewiórka podchodziła ostrożnie, a potem nagle zawróciła i bardzo szybko przybiegła do Gondagila. Nie doszła do samego celu. Parskała podniecona.

– Cicho, cicho – szeptał Gondagil. – Mogę przecież czytać w twoich myślach, wiesz o tym, nie powinniśmy niepotrzebnie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Czik umilkł i Gondagil powoli przyjmował do wiadomości jego meldunek:

– Co ty mówisz, nie, nie myślisz tak naprawdę! „Tam leży ta nowa, piękna gondola Tsi. Ta, w której tutaj przylecieliśmy i z której wypadłem. Leży, ale nikogo w niej nie ma”.

Chodź, Cziki, musimy to obejrzeć! Jesteś naprawdę zdolny, dziękuję ci bardzo!

Gondagil podczołgał się na brzuchu do pojazdu, ostrożnie obserwując, czy gdzieś tutaj nie zastawiono pułapki. Przezorności nigdy za wiele.

Kierował swoje myśli do Czika, starając się jednocześnie uważnie oglądać ten dziwny pojazd, coś, o czym Miranda mu opowiadała i co widział niedawno. Teraz, kiedy znalazł się bardzo blisko, zrozumiał, że to imponujące urządzenie.

„Cziki, dlaczego, u licha, to tutaj leży? Czy oni z tego wyszli właśnie tu, czy też wypadli wcześniej, jak ty? Nie, w to nie wierzę. Spójrz na te rysy po otarciu o twardą skałę.

Pojazd narażony był na wiele uderzeń. Patrz, powyginane po obu stronach, musiało nim rzucać w tę i z powrotem...”

Gondagil uniósł głowę i patrzył na wysokie ściany, zamykające dolinę przed nimi. „Sądzę, że pasażerowie znajdowali się w środku, Cziki. Wydaje mi się, że pojazd doleciał tam i...

Wiesz, mam uczucie, jakby został z powrotem... wypłuty. Rozumiesz, o co mi chodzi?”

Teraz zamknął swoje myśli przed Czikiem. Nie chciał mu przekazywać, czego się obawiał: że ci, którzy znajdują się w górach, przyciągnęli do siebie gondolę z ludźmi, a potem odrzucili ją jako... niestrawną.

Nie, to zbyt makabryczne, to się nie mogło stać!

„Ukryjemy gondolę, Cziki, pomożesz mi? Mam wrażenie, że pojazd wyszedł z tego wszystkiego w stosunkowo dobrym stanie. Różne pęknięcia i załamania, ale nie wygląda to groźnie. I wszystkie te dziwne rzeczy (miał na myśli instrumenty) są chyba nie uszkodzone”.

Gondagil z tęsknotą gładził pojazd, przykrywając go gałęziami i ziemią. Bardzo by chciał coś takiego mieć. Naprawdę bardzo. Pomyśleć, jakie wielkie oczy zrobiliby ludzie w Dolinie Mgieł! I czego z czymś takim można dokonać! Mógłby oglądać z góry całe Królestwo Ciemności, widzieć, którędy chodzą zwierzęta, wiedzieć, gdzie ukrywają się wrogowie...

Mógłby ich atakować z powietrza. Mógłby...

Wyprostował się.

Nie wiedział przecież jednak, jak się z tym obchodzić.

Jedyne co widział, to to, że pojazd jest bardzo kolorowy, chociaż w mroku niedokładnie odróżniał barwy. Polubił to urządzenie i trudno mu było się od niego oddalić.

Gondagil był szlachetnym stworzeniem. To jasne, że pragnął posiadać pojazd, ale nawet przez moment nie przyszło mu do głowy, że lepiej byłoby dla niego, gdyby właściciele nigdy się nie znaleźli.

Nie, całym sercem pragnął odszukać i uratować nieszczęsnych. Razem z nimi mogła być Miranda, ale nawet gdyby jej nie było, pragnął nieść pomoc. Jeden z zaginionych to jej przyjaciel i towarzysz Czika i chociaż sprawiała mu ból myśl, że Miranda ma oprócz

niego jeszcze innych przyjaciół, godził się z tym. Przecież znała ich, zanim spotkała jego, zanim w ogóle dowiedziała się, że Gondagil istnieje.

O tym drugim nie wiedział nic, nic ponad to, że ma młody i radosny głos.

Zresztą mogło ich lecieć więcej w tym dziwnym, obcym pojeździe.

Kiedy gondola została starannie ukryta, wyruszyli dalej ku przerażającej, gęstej ciemności.

Nigdy nie znajdował się w aż tak upiornej części Królestwa Ciemności. Tu i tam napotykał drzewa, ale wszystkie były martwe, miały tylko szare, nagie, połamane gałęzie. Wszędzie leżało mnóstwo wielkich kamieni i głazów, miał wrażenie, że ukrywają się za nimi straszne, złowieszcze istoty. Czające się, gotowe rzucić się na każdego, kto wejdzie im w drogę.

Nie, to przecież tylko okropne historie, które słyszał w dzieciństwie! Nie może się ośmieszać!

Ale w tej okolicy nie było nic śmiesznego. Wszystko, co widział, budziło w nim grozę, wymagało całej odwagi, jaką potrafił z siebie wykrzesać.

Zmuszał się, by iść dalej.

– Czik, tu wieje – mruknął do towarzysza i mocniej przytulił do siebie wiewiórkę. – A myślałem, że w naszym świecie nie ma wiatrów. Chociaż człowiek z niemieckiej wsi wspominał o czymś takim...

W następnym momencie poczuł, że jakaś potężna siła ciągnie go naprzód.

10

Trzy najmłodsze przedstawicielki dużej rodziny, Berengaria, Sassa i Siska, siedziały z Theresą, niegdyś księżniczką z rodu Habsburgów, a teraz po prostu „babcią Theresą”.

Dziwnie było nazywać ją prababcią, skoro wyglądała na osobę trzydziestopięcioletnią.

– Kochana babciu Thereso, opowiedz nam o nocy świętojańskiej – prosiła Berengaria, wnuczka Theresy. Dwie pozostałe dziewczynki nie były w ogóle z księżną spokrewnione, ale czuły się również jej wnuczkami.

Przez twarz Theresy przemknął cień.

– Ależ kochane dzieci, dzisiaj nie jestem w stanie niczego opowiedzieć! Przecież Jori zniknął!

– I Tsi-Tsungga – dodała Berengaria. – Wiemy o tym i bardzo się o nich martwimy.

Musimy jednak się czymś zająć, skoro nie pozwolono nam iść szukać zaginionych.

Theresa zadrżała na myśl o tym, że te trzy delikatne stworzenia miałyby wyruszyć na poszukiwania do Królestwa Ciemności. Wiedziała, że bardzo chętnie by się tego Pojęły, Matko Boska, chroń je od wszelkiego złego!

Może więc lepiej spróbować odwrócić ich uwagę od tej sprawy? Rozejrzała się po pokoju, który umeblowała w starym stylu, na wzór dworu Theresenhof. Był to jedyny pokój w tym domu urządzone meblami barokowymi, z epoki jej rodziców. Tu i tam znajdował się jakiś przedmiot w stylu rokoko, ale było ich niewiele. Nie mogli przecież zabrać ze sobą w drogę wyposażenia domu. Na szczęście w stolicy mieszkali artyści, którzy zrobili co trzeba według wskazówek Theresy.

Pokój prezentował się naprawdę bardzo pięknie, Theresa go kochała. Zwykle jednak przebywała w supernowoczesnych pomieszczeniach w innych częściach domu.

Westchnęła cicho. Jej córka, Tiril, oraz zięć Móri przeżywali za młodu wiele bardzo niebezpiecznych przygód. Wtedy jednak często ona sama i przyjaciel Erling im towarzyszyli. Potem Theresa wyszła za Erlinga za mąż i razem zaopiekowali się dwojgiem dzieci, Rafaelem i Danielle, rówieśnikami jej własnych wnuków: Dolga, Villemanna i Taran. Boże, cóż to była za młodzież i w jakie wdawała się awantury! Teraz wszyscy przebywali w krainie spokoju, w Królestwie Światła, i Theresa miała nadzieję na trochę wytchnienia. Ale nic z tego! Kolejne pokolenie okazało się najbardziej szalone ze wszystkich.

Przed kilkoma dniami rodzinę dotknęło straszne nieszczęście. Jori, ukochany i niezwykle żywotny syn Taran i Uriela, zaginął. A razem z nim Tsi-Tsungga, istota natury, którego Theresa dobrze znała i bardzo lubiła, wiedziała jednak, że nie będzie dla Joriego wsparciem. Raczej wręcz przeciwnie.

Nagle uświadomiła sobie, że trzy dziewczynki siedzą i czekają na opowieści o świętojańskiej nocy.

Theresa i Erling prowadzili w Królestwie Światła bardzo szczęśliwe życie. Jedynym zmartwieniem były niepohamowane wyczyny wnuków i prawników. Ledwo zdołano sprowadzić z zewnętrznego świata Móriego oraz Dolga, a piątka młodych zwiastunów nieszczęścia zaczęła łamać wszelkie zakazy. Potem Elena wdała się w jakąś straszną historię z mieszkańcami miasta nieprzystosowanych, a teraz, kiedy trzeba było naprawiać szkody, jakie ściągnęła na siebie Miranda na zewnątrz, w Królestwie Ciemności, powstało nowe zamieszanie. No i wreszcie Jori...

Czy nigdy nie będzie temu końca?

Błądząc myślami gdzie indziej, Theresa zaczęła opowiadać o dziwnych ludowych wierzeniach ze świata swojej młodości.

– Jest w roku kilka takich dni, kiedy ludzie uważają, że powinni być szczególnie ostrożni. Bo w te właśnie dni, a zwłaszcza w następujące po nich noce wszelkie złe siły wychodzą z ukrycia.

– Złe? – zapytała Sassa z Ludzi Lodu. – Jak to?

Och, jak zdołam jej wytłumaczyć coś takiego? zastanawiała się Theresa. Te dzieci przecież dorastają w otoczeniu duchów i traktują je jak przyjaciół.

– Dawniej ludzie byli bardzo przesądni – rzekła wymijająco. – Wszystkiego się obawiali. Wierzyli, że w ciemnościach kryją się okropne stworzenia, że trzeba się mieć na baczności i robić wszystko, by nie zetknąć się z mieszkańcami podziemi. No cóż, z tych tak zwanych niebezpiecznych dni trzeba wymienić wieczór Valborgi, czyli po niemiecku Walpurgisnacht, noc Walpurgi, trzydziestego kwietnia. Wtedy wychodzą na świat istoty zajmujące się czarami, tak ludzie opowiadali. Wiedźmy i inne takie stworzenia. Gorzej jest jednak w noc środka lata, tę noc, do której się właśnie zbliżamy. Po norwesku nazywano ją Jonsoknatt, w innych krajach nocą sobótkową albo nocą świętojańską. Ja znam ją jako Johannisnacht. Ludzie wierzyli, że wtedy wszystko w naturze budzi się do życia, również to, co nie powinno. A ten, kto tej nocy przebywa poza domem, musi chronić się amuletami i zaklęciami, by nie wpaść we władzę niewidzialnych sił.

– Ależ ludzie byli głupi – stwierdziła Berengaria.

– Oczywiście! W Skanii, w Szwecji, znajdował się na przykład wielki kamień, zwany Maglehen. Wierzono, że niekiedy nocą unosi się on w górę, a pod nim tańczą elfy. Tego rodzaju kamienne bloki znajdują się również na Islandii. W niektórych krajach za najbardziej niebezpieczną noc w roku uważana jest noc Wszystkich Świętych, następująca po pierwszym dniu listopada. Poza tym obchodzona bywa noc świętej Łucji, która wypada trzynastego grudnia. Wtedy po świecie błądzą gromadami różne duchy. Rzecz jasna, taką wyjątkową porą jest również noc wigilijna, dawniej wierzono, że zmarli odprawiają wtedy nabożeństwa po kościołach. No i jeszcze dzień, w którym wszystkie czarownice wyruszają na sabat na górze zwanej Blokksberg. I tak dalej. Wracając jednak do nocy świętojańskiej, to wiąże się z nią piękna tradycja. Młode dziewczyny wychodzą wieczorem, by zebrać siedem rodzajów kwiatów, najlepiej u rozstaju dróg. Kładą je sobie potem pod poduszkę. Nikomu nie należy mówić, że się te kwiaty zebrało. Ludzie powiadają, że w nocy przyśni się takiej pannie kawaler, za którego wyjdzie za mąż.

– To ja tak zrobię! – zawołała Sassa pospiesznie.

– I ja też – przyłączyła się Siska, czarująca mała księżniczka z Królestwa Ciemności.

Siedziała przytulona do Theresy, którą uwielbiała, i wpatrywała się w nią swoimi ogromnymi szarymi oczyma. Theresa zawsze na widok Siski odczuwała tliwość w sercu. Co mogłabym uczynić dla tego dziecka? zastanawiała się. Wiem, że znakomicie jej się powodzi u Sassy i jej dziadków, Ellen i Nataniela. Wiem też, że Berengaria jest jej „starszą siostrą” i idolem, ale człowiekowi robi się smutno na myśl o tym, co musiała w życiu przejść! Mała córeczka wodza, która miała zostać zhańbiona i zamordowana przez owdągniętych żądzą mężczyzn z własnego plemienia, a potem złożona w ofierze. Po tym wszystkim nigdy chyba nie będzie mogła wrócić do kraju dzieciństwa.

Zresztą do tej pory mała nie okazywała najmniejszej tęsknoty za rodzinnym krajem.

Zapomniała o swoich manierach księżniczki, rzadko już wspominała, że w rodzinnej osadzie była boginią. Mimo to człowiek chciałby coś dla niej uczynić.

Berengaria rzekła wyniośle:

– Ja też tak zrobię. Dobrze byłoby wiedzieć.

O, ty zawsze dasz sobie radę, pomyślała Theresa. Chłopcy w mieście Saga już dawno kręcą się koło twojego domu. Siska znajdzie wielbicieli za parę lat, mogą to zagwarantować. Jest przecież taka śliczna.

Gorzej ma się sprawa z Sassa, najmłodszą. Marco dokonał cudu, usuwając brzydkie blizny z jej twarzy, ale dziewczynka pozostała nieśmiała, więc głupi młodzi chłopcy pewnie nie zauważą, jaka jest ładna.

Ale ona ma jeszcze dość czasu. Być może z latami nabierze pewności siebie. Już teraz jest dużo lepiej niż wtedy, kiedy razem z Mórím, Dolgiem i członkami Ludzi Lodu przybyła do Królestwa Światła. Uff, nigdy nie nauczę się, że Dolg nazywa się teraz Dolgo, to imię na zawsze pozostanie dla mnie obce. Zresztą wiem, że inni też się na to jego nowe imię zżymają. Czy nie mogą Włosi nazywać go sobie Dolgo, a my pozostać przy swoim przyzwyczajeniu i zwracać się do niego per Dolg? Muszę porozmawiać o tym z Ramem. I oczywiście również z Dolgiem.

Dziewczęta miały tysiące pytań w sprawie niewidzialnych istot. Theresa musiała siedzieć i opowiadać im o huldrach i wiedźmach, o gnomach, trollach i innych takich, ale jej myśli krążyły zupełnie gdzie indziej.

Bardzo się martwiła o Mirandę. Wiedziała, że dziewczyna rozmawia teraz z Ramem na temat możliwości podjęcia nowej podróży na zewnątrz. Ona się nigdy nie podda. Czy świadomość, że w pośpiechu pracują nad nowym otworem w murze, nie może jej wystarczyć?

Ale dla Mirandy liczyła się każda minuta. Theresa wiedziała zresztą dlaczego. Jeden dzień tutaj to w Królestwie Ciemności dwanaście dni. Dla młodej dziewczyny zakochanej w mężczyźnie stamtąd różnica czasu musiała być udręką.

Na dawnym, zewnętrznym świecie opowiadanie o istotach natury nie było żadną sztuką. Ale co można mówić komuś, kto wie, że takie istoty naprawdę istnieją? Przecież te dziewczynki spotykają się z duchami i innymi stworzeniami jako z czymś zupełnie oczywistym.

Theresa westchnęła i odpowiedziała Berengarii:

– Nie, to głupia historia. Przecież ktoś, kto zetknął się z elfami, doświadczył jedynie życzliwości. Popatrz tylko na Dolga, który żył wśród elfów przez dwieście pięćdziesiąt lat i któremu one nie zrobiły nic złego, wprost przeciwnie!

Ach, Święta Maryjo, Matko Boża, to nie jest wcale łatwe! Zwłaszcza dla mnie, która zachowałam gorącą katolicką wiarę. Powinnam przecież powiedzieć dziewczynkom, że żadne czary nie istnieją, a jeśli są, to należą do szatana. Ale jak mam im to wyjaśnić? Przecież na przykład teraz poszukujemy również Tsi-Tsunggi. Mam tego radosnego, wrażliwego, obdarzonego gorącym sercem chłopca nazwać pomiotem szatana, którego powinny się wystrzegać?

To by było bezlitosne. Nie mogę też prosić, by trzymały się z daleka od duchów Móriego czy duchów Ludzi Lodu. Albo żeby omijały Madragów, chociaż oni należą do innej klasy, nie są duchami, są istotami stworzonymi przez Boga bardzo, bardzo dawno temu. W Królestwie Światła znajduje się mnóstwo różnych istot, a wszystkie są naszymi przyjaciółmi. Czy mam mówić, że to potępieńcy? Duchy odepchnięte łagodną ręką Pana? Święta Panienko, przecież nie mogę tego zrobić. Wchodzę w konflikt z tym, co ustalili ojcowie Kościoła, twierdząc, że wszystko, co niewidzialne dla zwykłych ludzi, jest złe, i tym, co czytamy w Biblii o dobroci Boga wobec wszelkiego stworzenia na tej Ziemi. Wybacz mi, jeśli popełniam błąd. Uważam jednak, że to ostatnie, iż należy być dobrym dla wszystkiego, co istnieje na Ziemi, jest właściwe i najbardziej godne Ciebie oraz Pana Naszego.

Pożegnała się z dziewczynkami, które pobiegły zbierać kwiaty. Usłyszała jeszcze słowa Berengarii:

– Nie chce mi się chodzić daleko. Czy myślicie, że jeśli włożę pod poduszkę kwiaty z ogrodu, to wróżba będzie ważna? A dwie krzyżujące się zwirowane alejki chyba mogą uchodzić za rozstajne drogi?

Theresa uśmiechnęła się. Cała Berengaria! Ze wszystkiego próbuje się wywinąć tanim kosztem.

Rozejrzała się po swoim pięknym pokoju i jak zwykle doznała wyrzutów sumienia.

Czy ja mam do tego wszystkiego prawo? Co właściwie mówi nasz Pan na temat tego życia poza czasem i przestrzenią? Czy oszukaliśmy Boga i Śmierć oraz wszystko to, co naturalne?

Czy mamy prawo być tacy szczęśliwi?

Theresa została wychowana w lęku przed piekłem. Dekalog zabraniał jej uznawać innych bogów poza tym jednym. Wiara w Chrystusa i kult Dziewicy Maryi, i święci oczywiście też, bo oni są pośrednikami pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Mogą więc wstawiać się u niego za grzesznymi ludźmi.

Mieszkańcy Królestwa Światła jednak przekroczyli wszystkie granice. Piekło, jak można się bać piekła po śmierci, skoro człowiek może żyć wiecznie? Jak wierzyć w karzące archanioły, które odróżniają zło od dobra? W Królestwie Światła nie istnieje przecież żadne zło, tylko ci z miasta nieprzystosowanych nie pogodzili się z panującymi tutaj warunkami i tęsknią do zewnętrznego świata. Zresztą oni też nie są źli, chociaż czasami przychodzą im do głowy niewłaściwe pomysły.

Wiara i poglądy Theresy doznawały wstrząsów, od kiedy się tutaj znalazła. Mimo wszystko nadal miała w domu ołtarzyk, a Erling towarzyszył jej w modlitwach.

Bardzo by chciała wiedzieć, co Bóg o tym wszystkim sądzi.

Ale Pan zachowywał milczenie.

Może to dobry znak? Theresa wolała przyjąć, że tak właśnie jest. Wtedy jej życie byłoby pełne.

Gdyby tylko chłopcy...

Nie, nie była w stanie myśleć, co mogło się z nimi stać. Tak długo się o nich martwiła, że teraz musi zacząć myśleć o czym innym albo zwariuje.

Chciała tylko patrzeć na swój fantastyczny ogród, zagłębić się w jego urodzie i czuć, że w Królestwie Światła nie istnieje żadne zło.

Theresa nie wiedziała jeszcze o strachu i gorączkowym niepokoju elfów.

Trudno im się było skoncentrować na przygotowaniach do nadchodzącej nocy.

Zapowiadało się, że najbardziej czarodziejska noc w roku może się przemienić w koszmar trudny do pojęcia.

Duchy Ludzi Lodu i Móriego nic o tym wszystkim nie wiedziały, one żyły swoim życiem w innej części królestwa. Natomiast elfy i pozostałe istoty natury ogarniał niepokój, chociaż złe przecucia miały nie tylko one. Daleko na bagnach i mokradłach małe istotki zastanawiały się nad tym nowym, co wdarło się do ich bezpiecznego świata, ale nie miały odwagi rozmawiać z karłami ani leśnymi krasnoludkami, ani z elfami, nie wiedziały, że oni wszyscy mają te same zmartwienia.

Był jednak ktoś, kto martwił się bardziej, wiedział bowiem więcej o tym strasznym, nie miał tylko odwagi nikomu tego powiedzieć.

A noc świętojańska się zbliżała.

11

W świecie zewnętrznym wysoko ponad Ziemią wisiał księżyc. Nie miał akurat teraz wielkiej siły, ponieważ była noc świętojańska, najkrótsza noc w roku.

Z letniskowego domku w wyludnionych okolicach Skandynawii wyszła kobieta. Zatrzymała się, wchłaniając w siebie niezwykle zapachy nocy, ciszę, tajemniczość, wpatrywała się w zaczarowany krajobraz.

Była całkiem sama. Inne domki stały puste, ich właściciele przyjeżdżali tutaj tylko na polowania i na Wielkanoc.

Tej nocy wszystko było jak odmienione. Krzewy łyzy wokół działki kołysały się lekko, poruszane niemal niedostrzegalnym wiatrem. Kobiecie zdawało się, że ukrywają się pod nimi małe podziemne istotki, które ją obserwują. Zadrżała.

Nikt już w tych czasach nie wierzył w istnienie tego rodzaju stworzeń. Dawno minął rok dwutysięczny. Ziemia została zrujnowana przez niczego nie rozumiejących ludzi. Jeszcze nadawała się do zamieszkania, jeszcze można było oddychać, jeszcze produkowano trochę jedzenia. Ale zasoby topniały błyskawicznie w miarę przybywania ludzi

W Skandynawii na razie panował względny spokój. Księżyc świecił nad rozległymi pustkowiami, nie zamieszkanymi lasami i górami, daleko od stłoczonych miast, budowanych tak blisko siebie, że się ze sobą zlewały. Kobieta liczyła sobie dwadzieścia siedem lat, nazywano ją Paula. Teraz była dosyć dziwnie ubrana. Miała na sobie tylko długi, niebiesko-czarny kaftan i sandały zrobione z kilku rzemieni, przeciągniętych pomiędzy palcami stóp. Nie przywykła do takiego obuwia, właściwie nigdy w czymś takim nie chodziła, kupiła je wyłącznie na tę chwilę i teraz z trudem utrzymywała je na nogach.

Na szyi zawiesiła „alraunę”, to znaczy nie prawdziwą, nigdzie nie zdołała takiej znaleźć, ale korzeń imbiru przypominał do złudzenia magiczny korzeń. Pospolitej barwy popielatoblond włosy umalowała kruczoczną farbą, twarz pokryła wrzaskliwym makijażem. W tajemniczym woreczku trzymała różne czarodziejskie rekwizyty.

Ponieważ nie udało jej się znaleźć prawdziwej księgi czarów, zebrała wszystko, co jej zdaniem mogło pasować do takiej sytuacji. Garść różnego rodzaju kamieni, kupionych w sklepiku z kryształami, które nabyła, nie wiedząc, do czego mogłyby zostać użyte. Miała też mały woreczek z prawie cmentarną ziemią. Prawie, bo nie odważyła się wejść za bramę, zebrała ziemię na zewnątrz spod muru. Z pewnością w dawnych czasach pochowano tu kilku grzeszników, myślała napełniając woreczek. Pozostałe przedmioty były jeszcze bardziej dziwaczne.

W jej środowisku od dawna wszyscy chichotali, gdy twierdziła, że jest prawdziwą wiedźmą. Nie wiedzieli jednak, co mówią. Wierzenia w wiedźmy i czary, podobnie jak okres new age, minęły dawno temu. W dalszym ciągu jednak spotykano takie oryginalne postaci jak ona, które pociągała wszelka tajemnica.

Chociaż w przypadku Pauli to raczej znajomym należałoby przyznać rację. Jej ponadnaturalne zdolności sprowadzały się do tego, że wydawało jej się czasami, iż dostrzega jakieś dziwne zjawiska kątem oka, miewała przeżycia typu déjà vu, ale kto ich nie miewa, i kilkakrotnie w życiu zdarzyło jej się, że dokładnie wiedziała, co ktoś powie, zanim się odezwał.

Z pewnością więc jestem czarownicą, myślała.

Oczekiwała, że tej nocy otrzyma potwierdzenie.

Potykając się w tych swoich spadających sandałach i długim kaftanie, brnęła przez trawę w stronę małego cypla, który przypominał przyrośniętą do stałego lądu wysepkę,

przesmyk ziemi był bardzo wąski. Cypel stanowiło wzniesienie pozbawione drzew, chociaż dalej wzdłuż brzegu rosły i brzozy, i zarośla łożyny.

Kiedy Paula stanęła w końcu na szczycie wzniesienia, poczuła, że to bardzo uroczysta chwila. Księżyc przeglądał się w wodzie, wszystko było spokojne, mroczne i niesamowite. Naprawdę odpowiedni nastrój.

Niech to licha, za dnia te eksperymenty wydawały jej się niesłychanie podniecające!

Teraz wstrząsnął nią zimny dreszcz strachu. Była tu przecież całkiem sama. A gdyby jej się tak naprawdę udało?

Udało się, co?

Tego, szczerze mówiąc, sama właściwie nie wiedziała. Zamierzała przywołać do siebie ponadnaturalnego kochanka, oszałamiająco zmysłową istotę z tamtego świata, ale teraz wydawało jej się to zbyt ponure. Zawsze była pewna, że to wzniesienie nad wodą już w pogańskich czasach musiało być wyjątkowym miejscem, być może przed setkami lat znajdowała się tu świątynia. Wybrała je właśnie dlatego.

Dlaczego, do diabła, to zrobiła? Co się stanie, jeśli wywoła jakiegoś upióra? Jakąś straszną postać z zamierzchłych epok? O zgrozo!

Paula, niestety, nie cieszyła się specjalnym powodzeniem wśród młodych mężczyzn.

Była na to trochę zbyt ekscentryczna. Panowie uważali, że to dość męczące ciągle rozmawiać o magii, alternatywnej medycynie i duchach. Paula próbowała w ten sposób wyróżnić się w towarzystwie, uważała, że to jej jedyna szansa na zdobycie zainteresowania mężczyzn, ale niestety jej mistyczne opowieści i relacje o dziwnych przeżyciach w sferze duchowej odnosiły odwrotny skutek. Po prostu odstraszała ich od siebie. Chociaż sympatyczna, nie odznaczała się szczególną urodą i wdziękiem. Gdyby przestała rozprawiać o tych swoich tajemnicach, byłaby normalną dziewczyną. Ona jednak nigdy nie miała dość.

Coś zaszeleściło w zaroślach na brzegu. Paula odwróciła się błyskawicznie, a serce podeszło jej do gardła. Niczego tam jednak nie było. W każdym razie niczego, co można zobaczyć.

Noc weszła w swoją najciemniejszą fazę. Półmrok, wszystko było zmienione, zaczarowane, nie do pojęcia piękne i straszne. Moc księżyca została dodatkowo ograniczona, ponieważ przesłoniła go przepływająca chmura. Delikatne, spokojne, ledwie dosłyszalne uderzanie fal o brzeg odczuwało się jako pociechę w samotności. Jakby jakieś żywe małe istoty przemawiały do niej szeptem. Spontanicznie szepnęła „hej” i drgnęła na dźwięk własnego głosu.

Nie, teraz trzeba się skoncentrować. Pora zaczynać. Spojrzała na dziewiczą trawę porastającą wzniesienie, na której teraz było widać ślady jej stóp. To świętokradztwo naruszać coś takiego, ale skoro powiedziało się A, to należy powiedzieć B.

Drżącymi ze zdenerwowania rękami wydobyla z worka niedużą narzutę ze skóry i rozłożyła ją na trawie. Na tym posłaniu ułożyła wzór z kamieni. Nawet prosta, niewykształcona czarownica skręcałaby się ze śmiechu, widząc coś tak patetycznego, a zarazem amatorskiego, ale Paula oddawała się temu seansowi całym sercem i duszą. Czuli się teraz w swoim żywiole i niczego już się nie bała. Potrafi, potrafi to zrobić!

Zajęta pracą zapomniała o całym świecie. Teraz trzeba wyjąć ziemię spod cementarza. A teraz imbir-alrauna, którą zdjęła z szyi i pięknie ułożyła pośrodku.

Kiedy wszystko było tak, jak powinno... to znaczy, kiedy wszystko było tak, jak Paula uważała, że powinno, nadszedł czas na najważniejsze. Na sam rytuał. Paula głęboko wciągnęła powietrze, przetarła dłonią oczy, tak że czarny tusz rozmazał się aż na policzki, ona jednak tego nie widziała, powoli zdejmowała z siebie kaftan zdecydowana, rozdygotana. Niech to licha, że też musi być tak zimno! Ogniska nie odważyła się rozpałić. Na to Paula miała zbyt wiele szacunku dla Matki Ziemi. Nie chciała się przyczynić do bezsensownego niszczenia przyrody. Chociaż w tym przypadku niewielkie ognisko na oddalonym cyplu, dokładnie otoczonym wodą, nie stanowiłoby niebezpieczeństwa, ale sama myśl o spalonej trawie przepęłniała ją zgrozą. Jeszcze jedno pośpieszne spojrzenie w stronę brzegu. Czy w zaroślach nie czają się jakieś istoty i nie obserwują jej? Nie patrzą pełnym pożądania wzrokiem? Na myśl o tym jej ciało przeniknęła fala gorąca, zaczęła badać je rękami. Ciału na razie nic złego się nie stało, wciąż jeszcze po dziewczęcemu szczupłe, może cieniutka warstewka tłuszczu pomiędzy klatką piersiową a linią bioder, ale co tam! Oni z pewnością lubią mieć za co złapać!

Jacy oni?

Ci, którzy stoją na brzegu? Ci, których ona nie widzi, ale wyczuwa ich obecność instynktem więdźmy?

Niech stoją! Niech patrzą, jestem gotowa!

Prawdę powiedziawszy, Paula przed wyjściem wypła parę małych drinków. Nie mogła postąpić inaczej, noc wydawała się taka pusta i ponura. Alkohol zaczął działać, wszelkie wątpliwości ustąpiły. Rozpostarła na ziemi kaftan i ukłękła na nim. Po kolei podnosiła kamienie kupione w sklepie z kryształami i przyciskała je do piersi, szepcząc przy tym specjalne zaklęcia.

Wzywała męskie istoty nocy, prosiła, by choć jeden z nich przyszedł tutaj i wziął ją w posiadanie, tylko na tę noc, dodała pośpiesznie, a ona ofiaruje mu całe ciepło, jakie w sobie zgromadziła. O mało nie powiedziała: „zmagazynowałam ciepło”, ale uznała, że to kojarzy się z jakąś głupią techniką, elektrycznością czy czymś takim, więc użyła innego słowa.

Oczywiście, że od dawna gromadziła w sobie erotyczne ciepło! Wiele lat minęło już od czasu, kiedy po raz ostatni trzymała w ramionach mężczyznę, a samotne chwile z podniecającą erotycznie literaturą nie były specjalnie radosne.

Paula nie chciała wiązać się z żadnym pospolitym chłopem, jak się wyrażała, byli tacy nudni. Teraz otwierała się przed nieznaną istotą z innego wymiaru. Niech przyjdzie ktokolwiek. Wodnik, duch wodospadu, król gór, król elfów, jakaś demoniczna istota – choć lepiej nie za bardzo – po prostu ktokolwiek! Chciała, żeby kochał ją gwałtownie, posiadał jej ciało i duszę!

Och, co za noc, jaka nierzeczywista, jaka magiczna i tajemnicza! Noc środka lata, Jonsoknatt, noc sobótkowa, noc świętojańska. Dziwne, że Hans i Jan to właściwie to samo imię! Oba pochodzą od Johannaesa.

Paula wiele podróżowała, podświadomie szukała mężczyzn z cieplejszych krajów, i poznała wiele języków. W każdym razie trochę słów z każdego języka. Dotykała dłonią piersi i czuła, jak bardzo się napinają, musiała zacisnąć uda, ale nie nazbyt długo, tylko na chwilę.

Ta zagadkowa noc nazywa się po angielsku „midsummer night”. No i nie ma w tym niczego niezwykłego. Po niemiecku „Johannisnacht”, znowu nazwa pochodzi od Johannesesa. Podobnie po francusku: „la Saint-Jean”. I po hiszpańsku „noche de San Juan”. Jak się to nazywa we Włoszech, nie wiedziała, domyślała się jednak, że coś w rodzaju „notte di San Giovanni”. Nie była zbyt mocna we włoskim, pojechała tam tylko raz i przeżyła na miłosnym froncie takie upokorzenie, że nie chciała więcej wracać. Musiała porządnie pociągnąć z butelki, piła gin pomieszany z sokiem pomarańczowym i wodą mineralną, wszelkie opory rozwiały się teraz zupełnie. Gładziła się po wewnętrznej stronie ud, pobudzała sama siebie, ale nie chciała doprowadzić do końca. Pochyliła się w przód tak, że ciało wygięło się niczym most, nie wytrzymała jednak długo w tej pozycji, dawał o sobie znać brak fizycznej sprawności, nogi się pod nią ugięły i upadła z głuchym łoskotem na leżący na ziemi kaftan.

Skrępowana rozejrzała się wokół, patrzyła w zarośla na brzegu, ale niczego nie widziała. Położyła się znowu, podciągnęła w górę kolana i prężyła ciało w rozkoszy.

– Chodź – szeptała. – Chodź do mnie!

Nie mogła przestać myśleć o tym, że jest noc świętojańska. Święty Jan Chrzciciel. A może to był Jan Apostoł? Nie, z pewnością Chrzciciel. Był bardziej seksowny niż Apostoł. Salome, córka Heroda, chciała zdobyć Jana Chrzciciela. Pragnęła go ze względu na jego urodę i nieprzystępność. On jednak pozostał niezłomny.

Wtedy zażądała jego głowy na tacy. I otrzymała ją. Po co jej to było? Szkoda takiego pięknego mężczyzny!

O, Paula wołałaby uwieść Jana Chrzciciela! Pragnęłaby jej od pierwszej chwili, gdyby ją tylko zobaczył.

Myśl wydała jej się oszalamiająca, ale też trochę przerażająca. Trzeba się od niej uwolnić, nie pasuje do tej atmosfery.

Dzisiaj idzie o nią i o niewidzialnych. O męską istotę z podziemnych otchłani, czy skądkolwiek, byleby tylko pochodziła ze świata istniejącego równoległe ze światem ludzi. Z tego świata, który tak niewielu zna, a jeszcze mniej ma odwagę o nim mówić. Jakieś dwadzieścia lat temu mówiono o tym dużo więcej, ale Paula była wtedy dzieckiem, opowieści fascynowały ją i trochę przerażały, pobudzały jej wyobraźnię.

Teraz pobudzenie jest znacznie bardziej konkretne. Cudownie, cudownie! Chodź do mnie, połóż się przy mnie, pieść mnie, aż będę nieprzytomna z rozkoszy i uczynię wszystko, co zechcesz! Chcę być twoją posłuszną niewolnicą, możesz robić ze mną, co ci się tylko podoba, ponieważ dłużej już tego nie zniosę, pożądanie przenika nawet moją skórę, koniuszki moich palców są z pragnienia niczym rozedrgane skrzydełka motyli, muszę poczuć na sobie ciało mężczyzny, dotykałam go tak dawno temu, że niemal całkiem zapomniałam, a poza tym moim kochankiem był nieśmiały nastolatek.

Teraz pragnę dorosłego mężczyzny, który będzie nade mną dominował, będzie ode mnie silniejszy, posiadzie mnie, a ja stanę się jego chętnym narzędziem. Chcę robić dokładnie

to, co mi każe, jeśli zechce, bym robiła rzeczy, o których tylko czytałam, zrobię je bez wahania!

Gin, czarodziejska księżycowa noc, atmosfera całkowitej beztroski wzniecały w ciele Pauli ponurą gorączkę. Kręciło jej się w głowie, nie zauważała już chłodu, gotowa przyjąć każdego, kto by do niej przyszedł.

Rozkoszne mrowienie narastało, na sekundę otworzyła oczy i napotkała zimną twarz księżycy, nic więcej.

Tak, ty też możesz na mnie patrzeć, może ty też odczuwasz to mrowienie? Myśl wydała jej się jednak zbyt frywolna, dlatego zamknęła ponownie oczy i przeciągała się rozkosznie. Zaczęła snuć marzenia. Wyobrażała sobie, że ktoś zakrada się na wzniesienie od strony łądu, czyż nie słyszała cichych kroków w trawie?

Owszem, słyszała! Pilnie uważała, by nie dotykać najbardziej wrażliwych punktów, ponieważ pragnęła zachować wszystko dla tego, który przyjdzie. Okazało się to jednak trudne, niemal nieznośne, była strasznie rozpalona.

Kto by to mógł być? Jest wysoki i przystojny, co do tego miała całkowitą pewność.

Wygląda zupełnie wyjątkowo, tak jak powinien wyglądać ktoś z innego świata, trochę demonicznie, ale tylko trochę, i jest taki pociągający, że nigdy nie byłaby w stanie mu się oprzeć...

Nagle ręce zatrzymały się, Paula przestała na kilka sekund oddychać.

Co to?

Jakiś dziwny szum?

Który... który narasta do łoskotu!

Skąd pochodzi?

Czy to jezioro się wzburzyło? Czy też głos płynie z powietrza? Paula zerwała się na równe nogi i naciągnęła na siebie kaftan szybciej i bardziej nerwowo niż kiedykolwiek w życiu. A jeśli to jakiś helikopter...? Ale dźwięk był dużo silniejszy niż odgłos silnika helikoptera.

Nie, nie pochodził też wcale z powietrza, docierał do niej z... O Panie Boże, co to jest? – Nie! – wrzasnęła przerażona.

Próbowała uciekać, ale dokąd miała się kierować? Boso, potykając się, biegła w kierunku łądu, lecz mały przesmyk został zamknięty. Paula z krzykiem zawróciła i próbowała walczyć, ale bez rezultatu.

Zimna dłoń zamknęła jej usta i uspokoiła ją szybko i skutecznie.

Paula straciła świadomość.

Księżyc gapił się w dół na krajobraz, który znowu trwał w ciszy i spokoju.

W jakiś czas potem dokonano dziwnego odkrycia. Znaleziono parę porzuconych sandałów, małą skórzaną narzutę, na której leżały jakieś kamienie i kryształy, oraz dziwny korzeń.

Nigdy jednak nie natrafiono na ślad samej Pauli.

12

Paula nie była taka samotna nad jeziorem, jak myślała. Nad małą zatoczką, kawałek od niej, chodziła niespokojnie pewna kobieta. Ona nie miała tutaj domku, chciała po prostu

znaleźć się jak najdalej od ludzi, nie wiedziała też nic o Pauli Nie orientowała się wcale, że nad jeziorem stoja jakieś domki, zbyt dobrze były ukryte w zieleni.

Kobieta nie zwracała uwagi na żadne zjawiska towarzyszące nocy środka lata, nie zauważała, że znad wody zaczyna się podnosić delikatna, jakby tańcząca mgła, nie interesował jej zdradziecki blask chłodnego księżyca.

Oriana była z pochodzenia Włoszką, ale wyszła za mąż za Skandynawa, który uległ jej ogromnym, czarnym oczom i pieniądzom jej ojca.

Teraz Oriana nie była już ani młoda, ani ładna, jej mąż, Kent, znalazł sobie inną i zdręczał Oriane komentarzami na temat każdej oznaki starości, jaką w niej dostrzegł. Poza tym był wściekły, że nie dobrał się do jej pieniędzy.

Rozwodzić się jednak nie chciał. Najpierw życzył sobie dostać po niej spadek. Tymczasem kiedy małżeńskie problemy Oriany zostały ujawnione, pieniądze złożono na zamkniętym koncie i to właśnie było jego największym problemem.

Ojciec Oriany nigdy nie ufał swemu zięciowi, ale teraz ojciec umarł, ona zaś czuła się jeszcze bardziej samotna w obcym kraju niż kiedykolwiek przedtem.

Wszystko by się pewnie dało jakoś ułożyć, mogła wrócić do Włoch, gdyby nie wizyta u lekarza jakiś czas temu.

Długo zwlekała, niepokojąc się różnymi symptomami, kiedy wreszcie wybrała się na badania, okazało się, że jest za późno. Wszelkie kuracje byłyby już tylko udręką, nie przynoszącą żadnego pożytku.

Kent nie okazał najmniejszego współczucia. Natomiast Oriana usłyszała, jak kiedyś, gdy sądził, że jest w domu sam, mówił przez telefon do kochanki: „Musimy wytrzymać jeszcze trochę. Ona nie ma oprócz mnie żadnych spadkobierców. Żeby się tylko pośpieszyła i umarła, tak mi przykro, że...”

Nad jeziorem panowała kompletna cisza. Czasami z szumem skrzydeł przeleciał w pobliżu jakiś drapieżny ptak, poza tym żadnych oznak życia.

Ale dusza Oriany była niespokojna, zrozpaczona, głęboko nieszczęśliwa.

Poprzedniego dnia chora kobieta rozmawiała ze swoim adwokatem, wydała mu nowe dyspozycje. Teraz przygotowała się już do drogi Chciała wyruszyć w swoją najdłuższą podróż.

Decyzja była ostateczna. Dlatego z pełną świadomością nie zwracała uwagi na urodę krajobrazu. Nie chciała niczego żałować. Bo co by to dało? Kilka miesięcy cierpień?

Przygotowała wszystko starannie. Tu, nad wodą, znalazła sobie miejsce pod kamieniami Tam wpełźnie, nikt jej nie znajdzie. Przynajmniej dopóki ciało nie ulegnie rozkładowi. A wtedy nic nie będzie już miało znaczenia.

Samochód schowała w lesie przy drodze, też nikt go szybko nie odkryje. Nad samotne jezioro przyszła piechotą.

Wypity koniak zaczął działać. Teraz czas najwyższy zażyć tabletki. Tyle, ile tylko można.

A niech to! W końcu jednak o czymś zapomniała. Nie wzięła nic, do popicia.

Nie chciała pić wody z jeziora, nie wyglądała bowiem na zbyt czystą.

Och, zaczyna być śmieszna! Jakie to ma znaczenie, czy woda będzie smaczna czy nie? Teraz?

Trudno jednak pić z dłoni i jednocześnie zażywać tabletki, zwłaszcza że koniak bardzo ją oszołomił. Gdzie się podziała butelka? Próbowwała sobie przypomnieć, ale głowę miała jak we mgle, nie była w stanie zebrać myśli.

Ach, tak. Pod kamieniem.

Udało jej się wydobyć zgubę z ukrycia – trzeba pamiętać, by ją potem znowu odłożyć na miejsce – butelka była ubrudzona ziemią, więc z przyzwyczajenia ją wytarła. Potem napełniła wodą z jeziora, niczego innego w pobliżu i tak by nie znalazła. Z trudem utrzymała równowagę, mało brakowało, a byłaby wpadła do wody głową w dół.

Chichotała cicho sama do siebie.

Taka pijana jak teraz jeszcze nie była, Oriana należała do kobiet eleganckich i nigdy nie wywoływała skandali.

Usiadła na ziemi w pobliżu kamieni tak, by później, kiedy połknie już wszystkie tabletki, po prostu wpełznąć do kryjówki.

Strasznie dużo tych pigułek! A wydawało jej się jeszcze o wiele więcej, kiedy patrzyła, jak piętrzą się w zagłębieniu dłoni.

Za pierwszym razem wzięła do ust zbyt dużo, zakrztusiła się, musiała kaszleć, jakoś udało jej się w końcu przełknąć, ale później uważała już, by zażywać mniejsze ilości. Czuła ból w gardle. Pojękując, przełykała kolejne porcje.

Tylko nie myśleć! Nie masz po co żyć. Nie masz dzieci, mąż cię oszukuje i pragnie się ciebie pozbyć, ale wolności ci nie zwróci. Zresztą i tak już niedługo czeka cię śmierć, więc nad czym się tu zastanawiać?

Włochy? Ten ciepły, radosny, wolny kraj...

Nie, nie należy wspominać! Skoro zdecydowałaś się to zrobić, zrób natychmiast!

Potrząsnęła głową, próbowała przetrzeć oczy, zdawało jej się, że widzi kogoś na ścieżce. Nikt nie wie, że ona tutaj jest. Nie chciała, żeby jej ktoś przeszkadzał.

List do Kenta zostawiony w domu. Jeśli on nie jest u swojej młodej pani, to z pewnością już go znalazł...

Z lasu wybiegł jakiś mężczyzna A więc jednak widziała kogoś na ścieżce. Panował taki półmrok, jaki zwykle bywa w noc środka lata, trudno było skupić wzrok i...

Kent! O, nie!

Mężczyzna był wściekły.

– Co ty do diabła wyprawiasz? Czy naprawdę chcesz mi zrobić coś takiego? Naprawdę chcesz zapisać cały majątek na badania naukowe? Jaki diabeł przejmuje się badaniami, zresztą oni i tak mają furi szmalu!

Szarpnął ją, podniósł z ziemi i nie przestawał nią potrząsać.

– Do cholery, jesteś kompletnie pijana! Czyś ty straciła rozum? Ty? Zawsze taka elegancka...

Spostrzegł resztę tabletek rozsypanych wśród kamieni na brzegu.

– A to co znowu? Ile tego zjadłaś? Przecież ty w ogóle nie możesz się utrzymać na nogach. Włóż palec do gardła! Wsadź palec do gardła, mówię, nie dam ci spokoju, dopóki nie anulujesz tego ostatniego testamentu! Zrozumiałaś?

Potrząsał nią z wściekłością. Oriana znajdowała się jednak jakby poza tym czasem i miejscem, nie była w stanie nawet podnieść ręki, by się bronić. Wyglądała niczym szmaciana lalka, kiedy szarpał ją z całych sił.

– Jak mnie odszukałeś? – wykrztusiła.

– Ślady samochodu. Nietrudno znaleźć. Samochód też odkryłem... Do diabła, Oriana... Minęła dłuższa chwila, zanim Kent usłyszał dźwięk.

Nie wiadomo, skąd dochodził, ale narastał, przybierał na sile, stawał się ogłuszający. Mężczyzna zamarł i patrzył przed siebie.

Nagle zobaczył to coś, co wydawało dźwięk. Wtedy puścił ramię Oriany, a ona jak długa runęła na ziemię.

Kent nie przejmował się nią. Teraz ważne było, by ratować własną skórę.

– Co to, do cholery, jest? – jęknął i biegiem ruszył w stronę ścieżki. – Co, do diabła...

Co to za noc, zdążył jeszcze pomyśleć.

Tu jednak jego ucieczka dobiegła końca. Nigdy nie zdołał opuścić tego brzegu.

Zimne obce dłonie zdławiły krzyk śmiertelnego przerażenia.

13

Gondagil był lepiej poinformowany niż mężczyzna z niemieckiej wsi. Przygotował się na to, co może go spotkać, chociaż nie oczekiwał tego jeszcze teraz. Ale zachowywał czujność, zdążyłby uskoczyć w bok, gdyby coś miało się stać.

Teraz, kiedy właśnie coś się stało, rzucił się do drzewa i wczepił w nie, w małą, powykrzywianą sosenkę. Gondagil wiedział, że sosnowe gałęzie łatwo się łamią, toteż trzymał się mocno pnia, wołając do Czika, żeby nie wypuścił z łapek jego pasa.

– Nie wszystkimi pazurami – jęknął w chwilę potem, gdy ogromna wiewiórka wykonała polecenie dokładniej, niżby sobie życzył. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że wiewiórka może mieć takie ostre pazury.

Kiedy znowu znaleźli się na bezpiecznym gruncie, Gondagil zsadził na ziemię przestraszonego Czika.

– To się na nic nie zda – mruknął. – Podziurawisz mnie na wylot, mimo skórzanej kurtki i w ogóle. Lepiej wsunę cię za pazuchę...

To też nie było łatwe. Czik miał przecież wzrost niedużego psa i upłynęło trochę czasu, zanim usadowił się jak trzeba. Gondagil musiał mocniej zacisnąć pas, by Czik mógł spokojnie odpoczywać pod jego kurtką i nie wypaść.

Wiewiórka zastrzegła sobie jednak prawo wyglądania pod jego brodą, jeśli oczywiście widoki nie będą zbyt przerażające.

– Jak myślisz, Czik, czy powinniśmy odważyć się tam pójść? – zapytał Gondagil, spoglądając na ponure góry. – Kiedy wejdzie się dalej w głąb, nie będzie się tam, moim zdaniem, czego trzymać. Zastanawiam się, czy...

Podniósł wzrok i przyglądał się wyższym partiom gór.

– Zastanawiam się, czy ten wiatr wieje tylko tutaj, w przejściu przed nami, czy szaleje również wysoko w górach. Bo jeśli nie...

Przypomniał sobie, że unosząca się w powietrzu gondola była w oszałamiającym pędzie wciągana przez jakąś potężną siłę, i zrozumiał, że wiatr może być w górach równie silny. Gdybym tylko widział dokładniej...

Lornetka Mirandy! Wyjął urządzenie i przystawił sobie do oczu. Pozwalało mu to wejrzeć w głąb górskiego świata, ale nie był zadowolony. Wszystko tonęło w wiecznych ciemnościach.

Gondagil odszukał więc płytkę i włożył na miejsce.

Nagle zobaczył wszystko wyraźniej niż kiedykolwiek w rodzinnym kraju. Wolno przesunął lornetkę ponad przejściem między górkami ścianami, oglądał uważnie fragment po fragmencie, ale nigdzie nie dostrzegał znaku życia.

Dopóki... Trzymał teraz lornetkę nieruchomo.

Tam, daleko w przejściu, wysoko na bardzo stromym zboczu góry, coś jednak zobaczył. Gondagil próbował lepiej ustawić soczewkę. Ponieważ nie był kompletnie głupi, szybko zrozumiał zasadę działania lornetki. Po chwili szepnął:

– Tam są, Cziki! Ci dwaj. Dwie postaci. Prawdopodobnie dwaj mężczyźni. Nie mogę dostrzec nikogo trzeciego. Więc Mirandy chyba z nimi nie ma. Jeśli się nie mylę, to jeden z nich wygląda na twojego przyjaciela Tsi-Tsunggę.

Wiewiórka parsknęła podniecona.

– Tak, to musi być on. Kolorem nie przypomina człowieka. Tamten drugi jest mniejszy i ma jaśniejszą skórę. To chyba młody chłopiec, nic więcej nie mogę rozróżnić. Cziki, oni znaleźli się w okropnej sytuacji! Co robić, jak się do nich dostaniemy?

Samotny Gondagil uważał, że to wspaniale mieć kogoś, z kim można rozmawiać, nawet jeśli to jest tylko wiewiórka. Uważał, że wiele ich łączy: obaj szukają przecież swoich ukochanych.

Ale Mirandy tam w górze najwyraźniej nie było. Nie wiedział, czy przyjąć to z ulgą, czy z rozczarowaniem. Jak pięknie byłoby uratować ją z katastrofy!

W następnym momencie ogarnęła go jednak wielka ulga, że jej tam nie widzi.

Bo przechylił lornetkę tak, by sprawdzić, jak mogliby się dostać do uwięzionych na wąskiej skalnej półce w upiornym, wymarłym i groźnym krajobrazie. Wtedy też spojrzął odrobinę niżej i mignęło mu coś jeszcze.

Odsunął lornetkę, długo ją przecierał, by lepiej widzieć, po czym znowu spojrzął w dół. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– No, Cziki – rzekł, złowieszczo przeciągając słowa, a serce tłukło mu się w piersi z przerażenia. – No to musimy wszystko postawić na jedną kartę, wykorzystać, co tylko możemy, by uratować tych dwóch, i to jak najszybciej.

Znowu odsunął lornetkę.

– Jeśli uratowanie ich jest w ogóle możliwe.

Jori i Tsi z panicznym strachem wpatrywali się w to, co pełzło i czołgało się pod górę. Do nich.

Bardzo trudno było coś dokładnie zobaczyć w tym ołowianoszarym mroku. Ale i to, co dostrzegali, było wystarczająco straszne.

Jakieś trupioblade cienie, wzdychając i jęcząc, mozolnie wspinały się ku zdobyczy na skale. Znajdowały się jeszcze dość daleko, wyglądały jednak na bardzo zdecydowane, więc nie minie wiele czasu, a dotrą do nieszczęsnej półki.

Nie mogli to być Svilowie, ich wygląd nie zgadzał się z opisami Mirandy i Marca. Te istoty były inne, wydawały się długie i zylaste. Barwą przypominały białe piaski, jakie istnieją na powierzchni Ziemi. Z ciężkimi, bezwłosymi głowami, wytrzeszczonymi oczyma i wielkimi, rozdziawionymi gębami. Miały palce, którymi wyszukiwały najmniejsze szczeliny i wczepiały się w nie mocno, długie, białe palce...

Twarzy chłopcy nie widzieli dokładnie, wszystko wydawało się jedynie czarno-białe, i na tym tle z ciemności wyłaniały się przede wszystkim oczy i gęby.

Stwory miały po sześć odnóży. Trudno jednak określić, czy ta dodatkowa para to były ręce, czy raczej nogi Zwinnie wspinały się w górę. Wszystkie trochę większe niż człowiek, a było ich mnóstwo. Jori zdążył naliczyć piętnaście sztuk.

– Nie czuję się całkiem dobrze – szepnął Tsi niepewnie.

– Ja też nie. Co robimy?

Zdążyli już przedtem odkryć, że półka kończy się kawałek pod nimi. Pozostawała więc tylko jedna droga, w górę.

Bardzo chętnie z niej skorzystali, byleby tylko uniknąć spotkania ze zbliżającym się paskudztwem!

– Nie, Tsi, nie biegnij – syknął Jori. – Uspokój się, nie chcesz chyba zlecieć w dół?

Elf zatrzymał się. Dostał czkawki ze strachu.

– Pomyśleć, że stąd nie uciekniemy! Pomyśleć, że nasze życie skończy się właśnie tutaj!

– Myśl pozytywnie, przestań widzieć świat w czarnych barwach – rzekł Jori, choć dręczyły go dokładnie te same przeczucia co przyjaciela. Zdawało mu się, że widzi, iż półka im wyżej, tym jest węższa.

Nie, to niemożliwe! Nie może tak być, nie może! Naprawdę nie może być aż tak źle! Jori skupił całą siłę ducha na czymś w rodzaju modlitwy, skierowanej do wszystkich świętości, jakie mogły przyjść mu do głowy. Do Świętego Słońca, którego tutaj przecież nie było, do jego szczęśliwych kamieni, od których też znajdował się bardzo daleko, do katolickich dziewic babci Teresy i innych jej świętych, wymieniał pospiesznie Boga protestantów i w ogóle chrześcijan, zwracał się też do Allacha i do Buddy oraz do tych religijnych władców, których potrafił sobie przypomnieć. Błagał o wybaczenie głupstw, jakie popełnił, zwłaszcza zaś tego arcyidiotycznego ostatniego pomysłu, by opuścić Królestwo Światła. Błagał swego opiekuna i pomocnika o wsparcie...

Chyba nigdy nie popłynęła w górę bardziej intensywnej modlitwa.

Od Tsi nie mógł oczekiwać wielkiej pomocy, raczej przeciwnie. Towarzysz stracił zupełnie panowanie nad sobą, wyrzucał z gardła frenetyczne, nieartykułowane dźwięki tak silne, że przypominały krzyk.

Co ja zrobię, co ja zrobię, co ja zrobię, zastanawiał się Jori gorączkowo. Błagam, niech ta półka wznosi się wyżej, dlaczego, na wszystkie świętości, nie mogłoby tak być?

Przecież my tego potrzebujemy, czy wy tam nic nie rozumiecie? zakończył wołanie do wszystkich bóstw, do których zwracał się teraz w wielkiej potrzebie, on, który nigdy nie zastanawiał się nad tym, czym jest modlitwa.

Modlitwa jest sama w sobie wielką duchową siłą, która może dokonywać cudów, zwykła mawiać babcia Theresa. Tak, oni teraz potrzebowali właśnie cudu. Dlatego błagania Joriego były bardziej natrętne niż modlitwa niejednej całej parafii.

Ale na próżno. Wkrótce desperacka ucieczka w górę po coraz węższym i bardziej stromym występie musiała się zakończyć.

Skalna półka wtapiała się po prostu w skałę. Dalej była tylko gładka ściana.

Wokół panowała ciemność i wrogie, wyjące wichry. Dygotali z zimna, z głodu i pragnienia, obaj czuli w sobie ssącą pustkę.

Pod nimi zaś, coraz bliżej, wspinała się świadoma celu, a sądząc po odgłosach, również wygłodniała horda młazszczących, żółtobladych koszmarnych potworków, które wyłoniły się wprost z otchłani.

– Ja chcę do domu – wymamrotał Tsi żałośnie.

Jori kiwał głową, zgadzał się z przyjacielem z całego serca. Oto noc świętojańska w swojej ekstremalnej postaci, pomyślał. O domu, ukochany domu!

14

Gondagil już jakiś czas temu odkrył, że wsysający, koszmarny strumień powietrza jest ograniczony. Powiedział do Czika:

– Chłopcy siedzą tam przecież na górze. Nie zostali wciągnięci w głąb górskiego świata przez straszny wicher. Musieli się chyba znaleźć poza niebezpieczną strefą.

Zastanowił się nad wszystkim, co mu wiadomo, i uznał, że największe niebezpieczeństwo stwarza właśnie owo okropne przejście. Chodząc tam i z powrotem pomiędzy nim a wyżej położonym wzgórzem, ustalił miejsce, w którym można bezpiecznie przebywać.

Wsysający ciąg zdawał się przepływać nisko, Gondagil nie wiedział, że Jori w złości stwierdził, iż to jest tak, jakby jakiś potężny odkurzacz zamiast kurzu wciągał w siebie ludzi i wszystko, co nadaje się do jedzenia. Bardzo bym chciał zobaczyć całe urządzenie. Nie, zresztą nie chcę!

– Chodź, Cziku – zwrócił się do wiewiórki. – Łańcuch szczytów, musimy na niego wejść. – Przystanął i ponownie posłużył się lornetką. – Siedzą tam całkowicie uwięzieni. A to coś niepojętego, co pełnie w górę po gładkiej górskiej ścianie, znajduje się już naprawdę bardzo blisko. Nigdy w życiu nie zdążymy przyjść im z pomocą, Cziku. Nigdy w życiu. Gdybym tylko mógł... Nie, tego zrobić nie mogę.

Mówiąc te słowa, ruszył wolno w kierunku gondoli.

Stał i przyglądał się niewielkim widocznym spod gałęzi fragmentom pojazdu.

– Nie poradzę sobie z czymś takim, co ja sobie wyobrażam? I nie będziemy mogli do nich polecieć, zostaniemy porwani przez prąd powietrza. Musimy...

Znowu mierzył wzrokiem odległość.

– Gdybyśmy ten przedmiot wyciągnęli dalej, za ten mały łańcuch gór, który widzisz... i gdybyśmy go tam uruchomili na zboczu góry... Ale co wtedy? Jak takie monstrum uruchomić? Czy ty wiesz, Cziku?

Ale wiewiórka patrzyła na niego bezradnie.

Gondagil z lękiem i szacunkiem spoglądał na to zielono-żółte cudo, które dopiero co tak starannie przykrył. Teraz zaczął odrzucać gałęzie...

Długo trwało, zanim gondola znowu leżała odsłonięta.

To jednak była najłatwiejsza część całego przedsięwzięcia.

Pełen niepokoju z wielkim respektem patrzył na deskę rozdzielczą.

Pomocy!

To urządzenie wyprzedzało jego epokę o wieleset lat. Ale mężczyźni miewają wrodzoną smykałkę do techniki

Gondagil był zainteresowany maszyną, a to bardzo dobry początek. Nie rozeznawał się w najmniejszym stopniu w tych wszystkich barwnych, okrągłych guzikach ani dziwnych przyciskach czy rączkach do pociągania, ale potrzeba łamie wszelkie opory, musiał się więc zacząć uczyć. Na własną rękę, choć był Waregiem, bez żadnego pojęcia o technologii dwudziestego wieku. Tymczasem ta technika była jeszcze o wiele, wiele bardziej zaawansowana. O tym jednak Gondagil nic nie wiedział.

Jego jedyną szansą było próbować uruchomić pojazd.

Wziął ze sobą Czika do gondoli, bo przecież nie wiadomo, jak takie urządzenie może się zachować. Gdyby nieoczekiwanie ruszyło z miejsca, to Gondagil musiałby zostawić swego przyjaciela na dole w tym wymarłym krajobrazie.

Jak to działa?

Kiedy ostrożnie wypróbowywał po kolei wszystko, co widział na desce rozdzielczej, po głowie krążyły mu kompletnie irracjonalne myśli.

Zastanawiał się nad swoim stosunkiem do Mirandy.

Och, wciąż widywał ją przy sobie w swojej małej chacie! Nieustannie marzył, by wziąć ją na pokrytym skórą posłaniu. Za każdym razem jednak przypominał sobie wstrętne zachowanie Harama wobec kobiet i wtedy marzenia gasły.

Aha, to chyba jest przycisk startowy!

W chwilę potem gondola szarpnęła, ruszyła gwałtownie i wpadła w gęste zarośla tak, że gałęzie leciały wysoko w górę i łamały się niczym zapalki.

Zawołał do Czika, wczepiającego się mocno wszystkimi pazurami w jego skórę:

– Jak się to zatrzymuje? Jak, do cholery, zastopować to urządzenie?

Rzeczywiście, ważne pytanie. Oprócz tego miał jeszcze inne, mianowicie co zrobić, by pokierować gondolą.

Wpadli na jakieś zbyt krzepkie drzewo, które się nie złamało, pojazdem szarpnęło gwałtownie i obaj pasażerowie wylecieli z gondoli na łeb na szyję, gdy tymczasem ona na pustym biegu zaryła w ziemi.

Gondagil zdołał się podnieść i ustawić pojazd jak trzeba, wciąż jednak nie potrafił zatrzymać silnika. Rozglądał się za Czikiem i nagle usłyszał histeryczne parskanie w pobliżu.

– Chodź – powiedział, jedną ręką wciąż dotykając różnych przycisków na desce rozdzielczej.

Czik wskoczył na pokład i Gondagill ponownie dodał gazu. Nie było czasu na wahania, wiedział, że budzące grozę istoty na górskiej ścianie są już przerażająco blisko.

Chyba nigdy w swoim życiu tak się nie bał. Nie tych groteskowych paskudztw, lecz maszyny. Chciał ją opanować, urządzenie jednak nie poddawało się, nie słuchało jego rozkazów, w ogóle nie rozumiało intencji, reagowało na ogół w zupełnie inny sposób, niż oczekiwał.

Gondagil przełknął ślinę, by pozbyć się ucisku w gardle, ale się nie poddawał.

Bum!

Znowu znaleźli się na ziemi. Teraz jednak rozumiał dlaczego i nacisnął właściwy przycisk.

Prawie właściwy.

Gondola niczym błyskawica uniosła się w górę, Gondagil w ostatniej sekundzie zdołał złapać Czika i...

I gondola znalazła się w pozycji właściwej dla lotu.

– A nie mówiłem, Czik – mruknął do śmiertelnie przerażonej wiewiórki. – Gondagil wszystko załatwi. Absolutnie wszystko! O, nie, co to... co to znaczy?

Tsi przestał panować nad sobą. Bełkotał coś po swojemu z językiem na brodzie ze strachu i próbował wspinać się w górę po skale.

Jori, sam śmiertelnie przestraszony, starał się uspokajać przyjaciela.

– Nigdzie nie wejdziemy, Tsi. Musimy czekać tutaj, a kiedy oni się zbliżą, będziemy ich kopać i strącać w dół. Jeśli to nie pomoże, trzeba będzie skakać. Wolę umrzeć, niż stać się świątecznym obiadem tych tam!

Elf ziemi dyszał z wysiłkiem. Łzy płynęły z jego zielonych oczu.

– Tak. Będziemy skakać. Lepsza śmierć. O Jori! Tak się boję!

– Ja też – przyznał przyjaciel, dzwoniąc zębami. – Ale nie poddamy się bez walki.

Tsi próbował się uśmiechać.

– Nie. Nie poddamy się. Będziemy kopać i spychać ich... Jori, ja się już nigdy nie będę skarżył. Jeśli tylko wyjdziemy stąd żywi, nigdy nie będę narzekał, że jestem sam i że jest mi źle. Nigdy też nie będę zazdrosny. Tak strasznie tęsknię za swoim zielonym lasem i wszystkimi przyjaciółmi. Mam ich tak wielu, zarówno wśród ludzi, jak i elfów, i... Na co ja się w ogóle skarżyłem? Tak mi teraz wstyd!

Jori chciał wrzasnąć, by tamten się zamknął, ale nie miał serca tego zrobić. Doskonale rozumiał, jak Tsi się czuje, on sam przeżywał podobne stany. Na co kiedyś w domu narzekał, czy ktoś mógł mieć lepiej niż on? A mimo to wciąż szukał przygód, występował przeciwko wszelkim zakazom i zachowywał się okropnie dziecinnie. Teraz pojmował, jak bardzo uprzywilejowani są mieszkańcy Królestwa Światła. Teraz, kiedy on i Tsi stali twarzą w twarz ze śmiercią. I to z jaką!

Bestie zbliżyły się niebezpiecznie. Jori z trudem przełknął ślinę i odważył się spojrzeć w dół. Pospiesznie cofnął się z powrotem.

– Uff – szepnął. – Te środkowe odnóża to przyssawki! Dlatego wspinają się z taką łatwością.

– Co to za jedni? – szepnął Tsi. Był zielonoblady, a z oczu wciąż płynęły mu łzy.

– Nie wiem, Tsi. To nie są zwierzęta, a ludzie też nie, są jakby czymś pośrednim, podobnie jak inne istoty, które zamieszkują złe okolice Królestwa Ciemności. Słyszałeś przecież o Svilach. Kiedyś były to po prostu szczury, które podeszły za blisko do źródła zła. Myślę, że tutaj mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem. Jakieś niewinne stworzenia, które zostały dotknięte bliskością zła. Może dzięki bestie, przebywające w pobliżu murów, również wywodzą się stąd, z Gór Czarnych? Pochodzą po prostu z niepamiętnych czasów.

Tsi zadrżał, ale kiwał głową. Nie odważył się spojrzeć w dół.

– Jak blisko już podpełzły?

– Znajdują się jakieś pięćdziesiąt metrów pod nami. Potrzebują, jak widać, sporo czasu. Jori nie chciał opowiadać, jak potwory wyglądają z bliska. Osobiście nazwałby je pożeraczami padliny, to pierwsze określenie, jakie przychodziło mu do głowy, tylko że Jori zawsze wyrażał się przesadnie dramatycznie. Pełznące po skale istoty były trupio blade, wyglądały jak wielkie, białe larwy. Ich ciała, w części smukłe, a w części dziwnie rozdęte, przywodziły na myśl właśnie larwy. Ale ręce wyglądały jak ręce, z długimi chwytnymi palcami, głowy też miały ludzkie, z oczyma, uszami, nosami i ustami. Przede wszystkim widziało się jednak czarne oczodoły i rozwarte paszcze. Teraz Jori dostrzegał również spiczaste zęby, długie i bardzo ostre.

Gdyby tylko mieli coś do obrony, jakiś nóż, coś, co można by rzucać w dół, cokolwiek, ale oni nie mieli absolutnie nic. Nie zabiera się broni, jeśli pragnie się wykonać spacerową rundę ponad pięknymi łąkami i bezpiecznymi osadami Królestwa Światła. Pozostawały im tylko własne stopy, którymi mogli kopać, na dodatek Tsi-Tsungga był bosy.

Dotychczas Jori potrafił zachowywać chłód i opanowanie, jakby patrzył na film, jakby to, co się dzieje, go nie dotyczyło. Teraz zaczynała się w jego umyśle budzić nieubłagana pewność i raz za razem ogarniały go fale przerażenia, chciał wzywać pomocy, lecz nie wiedział, kto mógłby go usłyszeć. Próbował oczywiście wzywać Marca i dziadka Móriego oraz innych, z którymi można nawiązać telepatyczny kontakt, ale mur stanowił nieprzenikloną przeszkodę. Myślał tak, jak powiedział, że raczej rzuci się w otchłań, niż pozwoli pożreć tym potworom. Czy jednak chciał umrzeć? Bał się strasznie, że będzie się rozpaczliwie trzymał życia do samego końca.

Te mrożące krew w żyłach dźwięki! Rozlegały się teraz bardzo blisko, słyszało się w nich oczekiwanie. Młaskania, siorbania, charczenia.

Pojękiwał ze strachu, a Tsi kompletnie nad sobą nie panował. Chłopcy znajdowali się tak wysoko na skalnej półce, jak tylko to było możliwe. Dalej iść już nie mogli. Ale...

Jori popatrzył pytająco na Tsi, dostrzegł zdumienie w przenikliwie zielonych oczach przyjaciela i zrozumiał, że tamten słyszy to samo.

Poprzez makabryczny zgłęb, dochodzący z dołu, usłyszeli inny dźwięk. Jakies pełne przejścia młaskające mamrotanie, płynące z jakiegoś miejsca poniżej na skalnej półce, na skos od nich.

Popatrzyli na siebie, nie będąc w stanie do końca zrozumieć.

– Czik? – zapytał Tsi-Tsungga z niedowierzaniem.

15

Spojrzeli obaj w stronę, skąd wydobywał się ten zdumiewający dźwięk, i w oddali mignął im pyszczek wiewiórki wystający zza skały. W tym akurat miejscu skała była pochylona, więc nie mogli zobaczyć więcej. Ale i tak widzieli wystarczająco dużo.

– Ach, Czik, czy to naprawdę ty? – zawołał Tsi z radością, a zarazem rozpaczą w głosie.

– Myślałem, że już nigdy więcej cię nie zobaczę, o, jak się cieszę, że żyjesz! Ale nie wolno ci tutaj przychodzić! Czy ty tego nie rozumiesz, oni mogą porwać także ciebie, uciekaj jak najszybciej, szybko, szybko, to niebez...

Jori, do którego słowa Tsi docierały dzięki aparatowi językowemu Madragów, przerwał potok okrzyków przyjaciela:

– Zamknij się! Czy nie słyszysz, że on chce coś powiedzieć?
Nerwy Joriego były napięte niczym struny. Może właśnie dlatego odezwał się tak niegrzecznie. Sytuacja była przecież nieznośnie denerwująca.
Tsi umilkł i zaczął słuchać, coraz bardziej zakłopotany.

– Możemy zostać uratowani? Jeśli zejdziemy jeszcze trochę niżej? Ale przecież to śmiertelnie niebezpieczne, wtedy oni znajdą się bliżej nas! Nie, Cziki, ty nie możesz nas uratować. Ratuj siebie, błagam cię!

Jori był wzruszony troską Tsi o wiewiórkę, ale zareagował bardziej rozsądnie.

– Mówisz poważnie, Cziki? – spytał. – Że mamy zejść w dół? I że mamy się śpieszyć, zanim oni podejną zbyt blisko? Chodź, Tsi!

Pociągnął za sobą opierającego się z całych sił towarzysza w dół skalnej półki, wprost do miejsca, gdzie zatrzymały się obrzydliwe bestie.

– Szybko! Szybko! – parsknął Cziki.

– Nie możemy, one tam przecież są, pożrą nas natychmiast! – zawodził Tsi-Tsungga.

– Milcz! – syknął Jori. Próbował zrozumieć parskanie Cziki. – „Duży, sympatyczny mężczyzna – przekazywała wiewiórka. – On życzy nam dobrze”. Dziękuję, dziękuję, Cziki!

– Nie możemy schodzić w dół, nie możemy – powtarzał rozpaczliwie Tsi.

– A czy mamy jakiś wybór? – syknął Jori. – Jak myślisz, jak długo wytrzymamy tutaj na górze?

Brutalnie szarpnął przerażonego elfa.

Tsi spojrział przez krawędź skały, by zobaczyć, czy nie lepiej skoczyć w dół, ale stwierdził, że to by oznaczało natychmiastowy koniec.

Wspinać się po skale w górę też nie mogli, już tego próbowali, aż pozdzierali sobie paznokcie, a palce i kolana broczyły krwią.

– Jaki mamy wybór? – powtórzył Jori.

O, jak to dobrze, że jest przy mnie Jori, ale czy on naprawdę uważa, że powinniśmy posuwać się ku tym potworom z otchłani? zastanawiał się Tsi.

– No, chodź już! Nie wahaj się, nie rozmyślaj!

Tsi nie odpowiedział. Wstydził się, że się tak potwornie boi, kiedy Jori jest odważny, ale on jako dziecko natury nie umiał maskować swych uczuć. Zawsze był otwarty. Okazywał radość, zapał, żal, gniew, miłość, lęk... Nigdy nie potrafił tego ukryć. Teraz był śmiertelnie przerażony, że zostanie pożarty przez te potworne stworzenia, i nie znajdował żadnej ochrony przed tym strachem. Okazywał jedynie troskę wiewiórce, swemu najlepszemu przyjacielowi

Jori bał się co najmniej tak samo. Jego jednak, jako człowieka, od dzieciństwa uczono sztuki panowania nad sobą. Nie był pewien, czy zawsze płynie z tego pożytek, tutaj jednak mógł przejąć dowodzenie i stanowić oparcie dla zupełnie zagubionego Tsi-Tsunggi.

Znaleźli się na dole na wysuniętym skalnym uskoku. Ale ohydne monstra niemal równocześnie znalazły się tuż przy nich.

Cziki zbiegł w podskokach na dół. Tsi patrzył oniemiały, nagle stwierdził, że wiewiórka jest przywiązana liną.

Nie było czasu na gadanie. Jori i Tsi odwiązali Czika, Tsi posadził go sobie na ramieniu, tymczasem Jori przewiązał siebie i Tsi końcem liny. Musieli ratować się jednocześnie, innej możliwości nie było. Tsi zobaczył wstrętą łapę, chwytającą się krawędzi skały, nie wiedział, czy to z rozpaczy, czy ze śmiertelnego strachu, ale z całych sił kopnął upiorną wychylającą się gębę. Nie pomyślał, jak wiele ryzykuje, bestia mogła go przecież złapać za nogę.

Długie pazury puściły skalną krawędź, ale przyssawki trzymały się mocno, więc chłopcy zdążyli zobaczyć długi, żółtobiały brzuch chudego stwora, zanim pazury znalazły nowe oparcie.

Wtedy jednak oni obaj i wiewiórka zostali już poderwani ze skalnej półki i dyndali w powietrzu, jeśli ich ciała nie odbijały się z głuchym łoskotem od skały. Jori obawiał się, że będą musieli wspinać się sami po takiej cienkiej i gładkiej linie, co wydało mu się prawie niemożliwe, okazało się jednak, że ktoś podnosił czy też ciągnął ich w górę. A może to lina sama z siebie się kurczyła? Na to wyglądało.

– Czyżby to sznur elfów? – krzyknął Jori. – Jakim sposobem się tutaj znaleźli?

W chwilę później uzyskał odpowiedź. Odprowadzani nieznośnym rykiem rozczarowania docierającym z dołu byli unoszeni ponad łańcuchem gór, pomiędzy ostrymi niczym igły szczytami. Lina została zamocowana wokół takiego właśnie szczytu, a obok stała wysoka, bardzo silna postać i wciągała ich z wysiłkiem. Był to milkliwy wojownik o blond włosach, prymitywnie ubrany, ale o niezwykle ujmującym wyglądzie mimo kanciastych rysów twarzy. Wkrótce Jori i Tsi z Czikiem znaleźli się na bezpiecznym gruncie.

– Czy to sznur elfów? – zapytał Jori. – W takim razie ty musisz być Gondagil.

Jakiś jasny błysk, który mógł być nieśmiałym uśmiechem, pojawił się na surowym obliczu.

– Tak właśnie myślałem! Wyglądasz dokładnie tak jak mężczyzna, w którym Miranda może się zakochać.

Brwi tamtego uniosły się w górę.

– To był komplement – wyjaśnił pospiesznie Jori. – I... Wybacz, że mówię to dopiero teraz: dziękujemy. Dziękujemy za ratunek. Nic nie mogło nam sprawić większej radości. Tsi kiwał głową, choć minę miał nieco naburmuszoną.

– Gondagil? W takim razie powinienem być o ciebie trochę zazdrosny. Ale nie jestem. Skończyłem już z taką małostkowością – oznajmił uroczyście ze śmiertelnie poważną miną.

Imponujący Wareg spojrział na Joriego, który, jego zdaniem, był z tych dwóch bardziej inteligentny.

– Miranda? Czy ona...?

– Miranda jest bezpieczna – zapewnił go Jori. – Na pewno wyzdrowieje.

Opuścili Królestwo Światła, zanim Miranda odzyskała świadomość, nie mieli pojęcia, jak się teraz czuje. Ale słowa pociechy zawsze są mile widziane, więc Jori ich nie żałował.

Ratunek nadszedł tak szybko i nieoczekiwanie, że Tsi i on jeszcze nie do końca zrozumieli, co się stało. Wszystko wydawało się takie nierzeczywiste. Jakby oglądał film. Rozwiązując linę, Gondagil popatrzył na chłopów i powiedział:

– A ty musisz być Tsi-Tsunggą? Miranda mówiła o tobie.

– Naprawdę? – rozjaśnił się Tsi. – A co mówiła?

– Że wyglądasz tak, jak wyglądasz – odparł Gondagil krótko. Nie miał teraz ochoty wdawać się w bardziej szczegółowe wyjaśnienia. Zwrócił się do drugiego chłopca. – A ty kim jesteś?

– Jori Nie słyszałeś o mnie?

Gondagil dostrzegł rozczarowanie w oczach młodzieńca, rzekł więc krótko:

– Słyszałem.

Chociaż nie był tego całkiem pewien. Miranda miała tak wielu przyjaciół, nie był w stanie spamiętać wszystkich.

– Idziemy!

Ruszyli za nim. Prowadził ich poprzez ostre, strome szczyty. Tsi spoglądał przerażonym wzrokiem na groźny, poszarpany górski krajobraz pod ciemnym, ołowianoszarym niebem. Nieskończenie daleko stąd dostrzegał cudowną poświatę nad Królestwem Światła, był bliski płaczu, gdy uświadomił sobie, jak ogromna odległość dzieli ich od domu.

Ale przecież zostali uratowani!

– Musimy stąd uciekać – rzekł Gondagil. – Tamci pewnie ciągle się wspinają. Na te słowa Tsi podskoczył wysoko i wydał z siebie pełne niepokoju gđakanie. Przyspieszył też kroku. Jeśli „oni” weszli tak wysoko na górę, to muszą pewnie bardzo szybko biegać po płaskim podłożu?

– Musimy ci jak najgoręcej podziękować, Gondagilu – powiedział Jori, a Tsi pospieszył z zapewnieniami, że on też dziękuje. Jori mówił dalej: – Uratowałeś nam życie, ty i Czik. Nie rozumiem jednak, w jaki sposób dostaliście się tutaj i nikt was nie zatrzymał, a my nie mogliśmy przejść?

Gondagil wytłumaczył im, że zły, wsysający wszystko ciąg powietrza znajduje się tylko w zagłębieniu, które właśnie opuścili.

– Aha, ten potężny odkurzacz – rzekł Jori. – Rzeczywiście sam też tak myślałem. Zastanawiam się tylko, gdzie on ma swoje źródło. Ale nie chcę tego badać. Absolutnie nie! No dobrze, powiedzcie nareszcie, w jaki sposób dostaliście się tutaj tak szybko?

Gondagil okrążył jedną z tych okropnych skał i pokazał palcem.

– Spójrz tam.

– Moja gondola! – zawołał uszczęśliwiony Tsi-Tsungga. – Najpierw Czik, mój najlepszy przyjaciel, a teraz gondola. Czy to może być prawda?

– Bardzo trudno tym kierować – rzekł Gondagil przeproszającym tonem. – Kilka razy zły prąd o mało nas nie wessał. (To dziwne, że kiedy mówię o wiewiórce i o sobie, zawsze używam słowa „my”. Ale Czik jest rzeczywiście bardzo ucłowieczony. I lepszy niż wielu ludzi, pomyślał Gondagil). Poza tym gondola raz po raz uderzała o skały. Nie wiedziałem nic o tym tutaj – dodał, wskazując na przyciski na tablicy rozdzielczej.

Chłopcy wyrazili podziw, że w ogóle potrafił uruchomić pojazd. Naprawdę im zaimponował. Gondagil wolał nie wspominać o tym, jak przeorał zarośla, ani o zderzeniu z ziemią nieco później, kiedy Czik i on sam wylądowali głowami w dół na twardych kamieniach, ani o tym, jak wypróbował aparaturę do mierzenia wysokości i

utrzymywania pojazdu w pozycji poziomej. Uznał, że nieważne są również problemy, jakie miał przy lądowaniu.

Musiał wytłumaczyć chłopcom, w jaki sposób znalazł najpierw Czika, czy też w jaki sposób Czik znalazł jego, a później gondolę, po czym wszyscy wsiedli do pojazdu.

– To wszystko z łatwością zostanie naprawione – mruknął Jori, chcąc pocieszyć Tsi, ponieważ gondola rzeczywiście nie prezentowała się najlepiej. W każdym razie z zewnątrz. Wyglądało na to, że silnik i wszystkie urządzenia lepiej zniosły tamtą podróż. Unikali siadania w najbardziej uszkodzonych miejscach. Jori stał przez chwilę i rozglądał się wokół po tym przerażającym świecie, widział teraz lepiej i dalej niż przedtem.

Dostrzegał poszarpane ostre skały o groteskowych kształtach, na które poprzednio nie zwrócił uwagi. Panujący tu mrok przeszkadzał w dokładniejszych oględzinach, ale Jori stwierdzał, że najbliższe skały przypominają jakieś istoty z nieznanego świata.

Potworne, podobne do ludzkich ręce, wydłużone twarze, szczyty, które sterczały niczym pożądlive palce...

Zadrzał.

Nigdy więcej, myślał. Jeśli wydostaniemy się stąd żywi, już nigdy więcej nie będę się wybierał do tych ponurych siedzib kamiennych istot!

16

Na chwilę zaległa pełna skrępowania cisza. Każdy z trzech mężczyzn sprawiał wrażenie, iż chciałby kierować gondolą. Kiedy jednak Gondagil spostrzegł, że Jori daje znak Tsi, by ten zajął miejsce przy kierownicy, on również się wycofał. Co prawda, to prawda, gondola należy do Tsi-Tsunggi.

Elf ziemi powierzył Czika ich opiece. Nie wolno dopuścić, by wiewiórka jeszcze raz wypadła za burtę.

– Musimy się przez cały czas trzymać lewej strony – ostrzegł Gondagil. – W przeciwnym razie prąd powietrza nas porwie. Jest niebezpieczny, nie wiemy dokładnie, którądy przebiega poza obrębem Gór Czarnych.

Jego towarzysze skinęli głowami. Spojrzeli obaj w stronę, gdzie musiał się znajdować łańcuch jaśniejszych gór, chociaż stąd nie było go widać. To tam zostali zatrzymani i mogli sobie wyobrazić, że stamtąd wiedzie szlak w głąb przekłętej doliny.

Tsi sprawdził wszystkie instrumenty, by się przekonać, czy działają, poprosił ich, by dobrze trzymali Czika, i wystartował. Początkowo trochę niepewnie i zdenerwowany, z czasem jednak styl Tsi dawał się bez trudu rozpoznać. Odważne zwroty, wykonywane z miną i stanowczością doświadczonego kierowcy rajdowego, poprzedzane głośnym, radosnym śmiechem.

Gondagil siedział w milczeniu i przyglądał się brunatno-zielonemu przyjacielowi Mirandy. Już w chwili spotkania stwierdził, że z tej istoty emanuje siła, która musi działać niczym magnes na dziewczęta. W tym dziwnym młodzieńcu było jednak jednocześnie tyle naturalności, tyle spontanicznej naturalności i witalności, że musiał go polubić.

Mimo to z bólem myślał, że Tsi jest dobrym przyjacielem Mirandy. Znali się od tak dawna. I właśnie o to Gondagil był trochę zazdrosny. Miranda zapewniała go, że nie ma między nimi niczego oprócz przyjaźni, ale i tak Gondagil odczuwał lekkie ukłucia w sercu. Chciał zachować prawo pierwszeństwa, jeśli chodzi o jej przyjaźń.

Trwało tak dopóty, dopóki nie opowiedziała mu, jak bardzo Tsi-Tsungga jest samotny. Nagle od strony Gór Umarłych dotarł do nich ryk rozpaczony. Pełen desperacji i wściekłości długo dźwięczał w powietrzu. Mówił wszystko o rozczarowaniu, ponieważ zdobycz się wymknęła. Z pewnością jednak nie wydawały go tamte pełzające potworki.

Tsi spojrzął za siebie na ponure góry.

– Tak, teraz wiem, że nigdy tu już nie przyjdę. Byłem dumny z tego, że zostałem wybrany, ale nigdy więcej, dziękuję! Nigdy, nigdy więcej!

– Możesz być pewien – powiedział Jori, który myślał dokładnie o tym samym. – Jesteś teraz pierwszym, który się stąd wydostał. Ty i ja, i Gondagil. Wiem, że wy dwaj zostaliście wybrani, ale teraz i ja mogę się do was przyłączyć. Niestety. Jesteśmy tymi, którzy wiedzą najwięcej o Górach Czarnych.

– Nieeee – rzekł Tsi-Tsungga, otwierając usta ze zdumienia.

– Nie rozumiesz tego? Oczywiście, że jesteśmy jedynymi, bo o ile wiem, to nigdy żadna żywa istota stąd nie wróciła. My, dzięki Gondagilowi, jesteśmy pierwszymi. Dziękujemy ci bardzo, pozostaniemy twoimi przyjaciółmi do końca życia, Gondagilu.

Tsi zgadzał się z nim co do joty.

– Dziękuję – rzekł Gondagil cierpko. Zawsze był dość szorstki w zachowaniu, kiedy się wzruszał.

– Co możemy zrobić, by ci się odwdziaczyć? – zapytał Jori. – Proś, o co tylko chcesz! Gondagil zastanawiał się nie dłużej niż sekundę.

– Zabierzcie mnie ze sobą do Królestwa Światła!

– To rozumie się samo przez się – odparł Jori odrobinę skrępowany.

Wareg patrzył na nich z nowym błyskiem w oczach.

– Teraz to ja zaciągam wobec was dług wdzięczności.

– Nonsens!

– Oczywiście. Istnieje jednak coś, czego nie rozumiem. Jest wiele takich spraw, ale jedna szczególnie.

– Co takiego?

Gondagil patrzył w zamyśleniu przed siebie, kiedy gondola ostrożnie manewrowała, by podejść możliwie jak najbliżej jasných gór. Mocno przyciskał do siebie Czika, bardzo się zaprzyjaźnił z tą sympatyczną wiewiórką.

– Słuchajcie, ja dowiedziałem się o drodze do Gór Umarłych od swojego dziadka. On tę wiedzę otrzymał od swoich przodków. Niemcy mówili to samo, oni też mówili, którądy należy iść. Ale to przecież najbardziej niebezpieczna trasa! Uważam, że to jedyna niebezpieczna trasa. O co w tym wszystkim chodzi?

– Indoktrynacja – mruknął Jori.

Gondagil spojrzął na niego pytająco. Jori wytłumaczył:

– Zastanawiam się, czy ktoś z Gór Czarnych nie mógł przyjść do waszej części Królestwa Ciemności i nie rozpuszczał pogłosek o tej właśnie drodze. By tam kierować śmiałków.

Gondagil zdrzął.

– To brzmi potwornie. I nieprawdopodobnie. A w każdym razie musiałoby się przytrafić bardzo dawno temu.

– Owszem, z pewnością tak było – rzekł Jori, podczas gdy Tsi wznosił gondolę ponad łańcuchem wzgórz. – Czy wiadomo ci, by ktoś z Królestwa Ciemności próbował iść tą drogą?

– Oczywiście – odparł Wareg cierpko. – Nawet wielu, ale nikt ich nigdy potem nie widział. Podróż przebiegała spokojnie. Znajdowali się już poza niebezpieczną strefą.

– No to mamy noc świętojańską – westchnął Jori.

Dwaj pozostali spojrzeli na niego zdumieni.

Jori wyjaśnił:

– Tak jak już mówiłem do Tsi, babcia Theresa wie o tej nocy wszystko. O tym, jak złe istoty i inne paskudztwa wychodzą z otchłani i napadają na ludzi. Bo człowiek to dziwne stworzenie i w gruncie rzeczy pragnie, by różne potworności od czasu do czasu się zdarzały. Chce przeżywać napięcie i podniecenie. Ale my chyba mamy już dość napięcia, prawda? Można powiedzieć, pełen nocnik.

Tsi skulił się.

– Oczywiście, tak można powiedzieć. Skąd wylazły te żółtoblade pelzaczki?

Gondagil oświadczył:

– Ja widziałem więcej niż wy, a to dzięki lornetce, którą dostałem od Mirandy.

Z dumą pokazał chłopcom aparat.

Joriemu bardzo to zaimponowało.

– No, no, Miranda nie jest mimo wszystko taka głupia. Wie, co komu dać. Czy mamy sądzić, że to właśnie dzięki temu nas uratowałeś?

– Absolutnie – odparł Gondagil.

– No dobrze, co to mówiłeś? – zapytał Tsi.

– Według mnie wyglądało na to, jakby wylazły z otchłani. Bo tam pod tą skałą, na której siedzieliście, niczego chyba nie było. Tylko potwornie głęboka rozpadlina.

– Ja też odniosłem takie wrażenie – rzekł Jori zamyślony. – Właściwie to powinniśmy mieć wyrzuty sumienia, że zrobiliśmy im nadzieję na wyszukany posiłek, a potem... – westchnął z ulgą. – Dobrze, że nie dane nam było przekonać się, co jeszcze noc świętojańska trzyma dla nas w zanadrzu. Dziękujemy ci, Gondagilu! Z całego serca dziękujemy!

Gondagil próbował robić obojętną minę, ale nikt się na to nie nabrał.

– To zasługa Czika – mruknął ochryple.

Gondola przesuwiała się z cichym szumem ponad łąkami Królestwa Ciemności. Kiedy tak rozmawiali, Gondagil poznał największą przeszkodę, jaka dzieliła go od Mirandy.

Zapytał Joriego, jak się Miranda czuje, czy już całkiem wyzdrowiała.

Jori ścierpł na niewygodnym siedzeniu i próbował zmienić pozycję, ale cały pojazd zatrzęszczał niebezpiecznie. Tsi wykrzykiwał jakieś ostrzeżenia i Jori usiadł jak poprzednio. Spoglądał przestraszony na potężne uszkodzenia z jednej strony gondoli i mocno trzymał się oparcia.

– Jeszcze nie całkiem – odpowiedział na pytanie Gondagila. – Leżała przecież ledwie dzień. Nie, teraz to już chyba dwa albo trzy, zresztą człowiek traci rachubę czasu w tym opuszczonym przez bogów świecie.

– Dwa albo trzy? – zapytał Gondagil z niedowierzaniem. – Co chcesz przez to powiedzieć? Przecież ja tutaj czekałem na nią całą wieczność. Minęło co najmniej pięćdziesiąt czasów snu.

Jori popatrzył na niego zaskoczony. Nagle twarz mu się rozjaśniła.

– Och, naturalnie, rozumiem! Ty przecież mieszkasz w Królestwie Ciemności i nie wiesz, że my mamy inny czas. My w Królestwie Światła bardzo długo jesteśmy młodzi, ponieważ czas u nas posuwa się dwanaście razy wolniej niż tutaj u was.

Gondagil przyglądał mu się w półmroku. Jori ciągnął dalej:

– Wy macie ten sam czas, co na świecie zewnętrznym. To nasza rachuba jest opóźniona. Po to, byśmy mogli żyć niemal wiecznie.

Teraz cała groza sytuacji zaczęła powoli docierać do Gondagila.

– Nie – wyszeptał. – Nie, to nie może być prawda!

– To, niestety, jest prawda. Miranda wiedziała o tym, kiedy przenoszono ją stąd do Królestwa Światła. Dlatego bezgranicznie cierpiała, że nie może cię ze sobą zabrać, zanim bramy zostaną zamknięte na zawsze.

– Bo mój wódz nakazał mi zostać – z wolna szepnął Gondagil pobielającymi wargami. – Jori... ja muszę się tam dostać. Teraz!

– Oczywiście, już ci to przecież obiecałem – odparł młody chłopiec. – Myślisz, że nam się to uda? Że nie doprowadzi to do rozłamu pomiędzy twoim plemieniem a Królestwem Światła?

Gondagil uśmiechnął się z goryczą.

– Przekazałem wiadomość pewnemu pasterzowi, że wybieram się do Gór Czarnych. Ludzie pomyślą więc, że zaginałem. Nikt nie będzie mnie szukał.

Wykonał gwałtowny ruch, który spowodował, że gondola znowu złowieszczo zatrzeszczała. Przestraszony zamarł.

– Jori i Tsi, ja muszę koniecznie spotkać Mirandę. Jeśli brama została zamknięta, to ona nie wyjdzie z Królestwa Światła.

– Nie.

– A jak wy się wydostaliście?

– Znaleźliśmy potajemne otwory, o których nikt nigdy nie mówił. Uważam, że Strażnicy również o nich zapomnieli. Gondagil, to ty uratowałeś nam życie, więc my teraz zrobimy dla ciebie wszystko. Wejdiesz z nami do Królestwa Światła, a my ukryjemy cię i postaramy się o to, by do Królestwa Ciemności dotarły pogłoski, że zostałeś wciągnięty w głąb Czarnych Gór. To uspokoi twojego høvdinga.

W jaki sposób zdoła rozpuścić jakiegokolwiek pogłoski w świecie, do którego nie będzie w stanie dotrzeć, Jori się nie martwił. Niewiele spraw niepokoiło szalonego syna Taran.

Teraz czuł, że jest niezwykle szlachetny. Robi bowiem wszystko, by romantyczna i tragiczna zarazem historia miłosna skończyła się dobrze.

– Dziękuję wam, drodzy przyjaciele – rzekł Gondagil z powagą. – Tam u was będę też miał większe możliwości działania na rzecz przekazania Słońca mojemu ludowi w Królestwie Ciemności.

Jori zaniepokoił się odrobinę.

– Myślę, że Strażnicy nie powinni wiedzieć, iż znajdujesz się w naszym królestwie,

– Możesz mieszkać ze mną i z Czikiem – wtrącił Tsi-Tsungga z zapalem. – Mnie i tak nikt nie odwiedza.

– Tsi, coś ty – bąknął Jori z nieczystym sumieniem. – Przecież wszyscy ciągle o tobie myślimy.

Nie wiedział jeszcze, że tylko jedna Miranda zapytała o elfa, kiedy chłopcy zniknęli.

– Nie, myślę, że jednak popełniamy błąd – westchnął Jori z żalem. – Gondagilu, nie możemy cię trzymać w ukryciu, to by się dobrze nie skończyło. Możesz oczywiście mieszkać z Tsi, dzięki czemu również on będzie miał towarzystwo. A w końcu, skoro ludzie Timona nie będą cię szukać, to nie grożą żadne nieporozumienia.

Gondagil potakiwał.

– Dziękuję ci, Tsi, z radością przyjmuję twoją propozycję. Ale teraz... tam dalej – powiedział, wskazując w dół. – Tam znajduje się moje domostwo. Czy nie moglibyśmy wstąpić do niego tak, by nas nie widziano z osady? Jest tam parę rzeczy, które muszę zabrać.

Tsi-Tsungga z dumą zaprezentował swoje talenty kierowcy. Towarzysze bali się, że ledwie trzymająca się kupy gondola w wyniku jego śmiałych manewrów rozleci się na kawałki, i Jori rozpaczliwie próbował zapobiec katastrofie. Ale wszystko poszło dobrze. Kiedy znaleźli się na dole i Gondagil zebrał już wszystko, czego potrzebował, rozejrzał się jeszcze po swojej tak dobrze znanej siedzibie. Teraz opuszczam to miejsce, myślał. I chyba już tu nie wrócę. Wszędzie jest czysto i ładnie, ponieważ tutaj czekałem na Mirandę. Ona też już chyba tego nie zobaczy.

Gondagil nie był sentymentalnym marzycielem, na takie sprawy nie ma czasu na dzikich pustkowiach. Teraz jednak odczuwał skurcz serca na widok dwóch sosen, które wyrastały w jego obecności. Patrzył, jak wykiełkowały z ziemi, i obserwował, jak stawały się wysokimi, pięknymi drzewami. Jego mieszkanie, początkowo zwyczajna jaskinia pod skalnym nawisem, zostało później przebudowane. Obił ściany drewnem, urządził wszystko tak, że można to było nazwać domem. Ile różnych dóbr tutaj zgromadził na własny użytek, ile wszystkiego było wewnątrz... Teraz to zostawia... Zabrał ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy oraz kilka drobiazgów, które przeznaczył na prezenty dla Mirandy, gdyby miała do niego przyjść. Resztę trzeba było porzucić.

Otrząsnął się ze smutnych myśli i wsiadł do gondoli.

Jori wybuchnął krótkim śmiechem.

– Jacy my jesteście głupi, przecież i tak nie moglibyśmy cię ukrywać, Gondagilu. Gdy się tylko zjawimy, skierują nas wprost na kwarantannę i będą nas dokładnie szorować.

Zwłaszcza ciebie, który spędziłeś życie poza murem. Prawdę powiedziawszy, my z Tsi też potrzebujemy gruntownego oczyszczenia! Nie sądzę, żeby Góry Czarne ze wszystkimi swoimi okropnymi mieszkańcami były najbardziej sterylną okolicą świata!

Gondagil słuchał bardzo uważnie, chociaż nie rozumiał, co to jest kwarantanna. Nie, jego myśli obejmowały jak gdyby dwa plany, musiał całym wysiłkiem woli je rozdzielać.

Przede wszystkim rozmyślał o tajemnicy, która dręczyła go od dawna. Poza tym myśli wypełniały mu dużo przyjemniejsze tematy.

Tajemnicza sprawa została bardzo szybko odrzucona, bo dlaczego miałby się zastanawiać nad czymś, na co trudno było znaleźć odpowiedź.

Dlaczego, dlaczego, u licha, jego dziadek powiedział, że droga przez ciasną dolinę jest jedynym szlakiem wiodącym w głąb Gór Czarnych? Nie ma w tym twierdzeniu najmniejszego sensu, jest to przecież droga najgorsza.

I czy to rzeczywiście jego dziadek tak twierdził? Czy działo się to w czasach dzieciństwa Gondagila?

Wszystko to wydawało mu się jakieś okropnie niezrozumiałe, bo nie mógł sobie przypomnieć ani jednej takiej sytuacji ze swojego dzieciństwa, kiedy by się zastanawiał nad tą drogą albo też znał kogoś, kto miał coś wspólnego z wejściem w obręb wysokich, mrocznych gór, których cały lud Timona bał się bardziej niż samej śmierci. Była to dla niego prawdziwa zagadka.

Otrząsnął się z ponurej zadumy, tymczasem Jori i Tsi-Tsungga dyskutowali o czymś, ale on tego nie słuchał, jego myśli wędrowały dalej własnymi drogami.

Miranda...

Zawsze tak było, wciąż wracał do Mirandy, nie umiał już przypomnieć sobie czasów, kiedy Mirandy nie było jeszcze w jego świecie. Uważał, że wyobrazić sobie jej twarz to najwspanialsze zajęcie.

Miranda, kiedy ją o to poprosił, zgodziła się zostać poza murami, w Królestwie Ciemności. Dla niego była gotowa poświęcić więcej, niż był w stanie pojąć. Wiedziała, że życie tutaj będzie krótkie. Ktoś kiedyś wspomniał, że ona sama jest prawdopodobnie niemal nieśmiertelna. W takim razie on by umarł na długo przed nią...

Na myśl o tym robiło mu się słabo.

To właśnie w jednym z takich momentów Gondagil uświadomił sobie, że Miranda naprawdę go kocha. I że jest mu głęboko oddana.

Uśmiechnął się sam do siebie. Mirando, nie jesteś sama, jeśli chodzi o tę wielką miłość, powtarzał w duchu, czując, że ogarnia go wielka fala ciepła.

I pełne niepokoju oczekiwanie.

17

Gondagil przyniósł ze swego domu naczynie z wodą i chłopcy pili niczym spragnione cielęta. Tsi uniósł twarz znad orzeźwiającego płynu i zdyszany spytał:

– Polecimy z powrotem tą samą drogą?

– A czy mamy jakiś wybór? – odparł Jori. – Gondagil, a może wzięłeś też ze sobą coś do jedzenia?

Wargę uśmiechnął się pod nosem.

– Wzięłem co nieco dla Czika, myślę jednak, że i dla was wystarczy.

Podzielili się zapasami. Gondagil spoglądał na nich zaniepokojony.

– Czy nie powinniśmy trochę zostawić na potem?

– Zostawić jedzenia? Nie, trzeba ci wiedzieć, że w Królestwie Światła mamy żywności pod dostatkiem – roześmiał się Jori.

– Ale jeszcze tam nie dotarliśmy – przypomniał mu Gondagil.

– Wkrótce dotrzemy – prychnął Tsi zarozumiale. – Teraz wzniesiemy się aż do samego stropu kopuły.

Poprosili Gondagila, by zasłonił sobie oczy, kiedy będą przelatywać przez otwór wysoko w górze. On w ogóle nie był przyzwyczajony do światła, a tam czeka najintensywniejszy blask, jaki istnieje w ich królestwie. Będą bardzo blisko samego Słońca.

Tsi-Tsungga siedział przy kierownicy trochę przestraszony. W głębi duszy zastanawiał się, czy Gondagil jest naprawdę sympatycznym stworzeniem, czy też należy do złych ludzi. Bo w takim razie bliskie sąsiedztwo Słońca mogłoby go przekształcić we wściekłą bestię, która rzuci się na Joriego i Tsi, poprzegryza im gardła, zagarnie dla siebie piękną gondolę Tsi, który nigdy więcej jej nie zobaczy.

W tym miejscu Tsi, dziecko natury, zauważył, że w jego rozmyślaniach coś się nie zgadza, nie miał jednak czasu zastanawiać się, co mianowicie. Zbliżyli się właśnie w wielkim pędzie do muru otaczającego Królestwo Światła.

Pociągnął za dźwignię, wznosili się teraz na oszałamiające wysokości. Joriego i Gondagila dosłownie swędziały palce, by przejąć kierowanie pojazdem, ponieważ beztraski Tsi sprawiał wrażenie, że sobie nie poradzi z zadaniem, ale mimo wszystko była to jego gondola.

– Czy moglibyśmy ci w czymś pomóc? – zapytał Jori ostrożnie, z nadzieją w głosie.

– Tak, pilnujcie Czika i trzymajcie się z daleka od najślabszych miejsc gondoli!

– I nic więcej?

– Owszem. Wypatrujcie wentyli! Ja jakoś żadnego nie widzę.

Wkrótce uświadomili sobie, że od strony Ciemności wentyle trudniej było dostrzec.

Prawdopodobnie to wynik celowego działania. Wtedy, przed wieloma laty, kiedy tworzone te otwory, tak właśnie się zabezpieczono.

Nie udało im się zlokalizować żadnego z wąskich przejść, dopóki Gondagil nie zauważył, że w pewnym miejscu, które właśnie mijali, wieje ciepły wiatr. Wiedzieli, że teraz znajdują się mniej więcej w samym środku Ziemi, ponieważ mur ciągnął się aż do centrum tej wielkiej pustej przestrzeni we wnętrzu globu. Świadomość tego wprost oszałamiała.

– W takim razie jedziemy! – zawołał Tsi przejęty.

– Gondagilu, masz coś, czym mógłbyś zasłonić sobie oczy? – zapytał Jori.

– Nie, ja chcę widzieć! Chcę widzieć wszystko!

– Ale nie możesz, zostaniesz oślepiiony. No dobrze, tylko zaciśnij mocno powieki, kiedy znajdziemy się już w środku!

Gondagil skinął głową. Ale nie zamierzał ani na moment zamykać oczu.

Tsi wybrał jeden z otworów.

– Na podłogę! – zawołał.

Skulili się przy siedzeniach. Jori nie spuszczał wzroku z Czika.

Jednym fenomenalnym manewrem Tsi-Tsungga zdołał precyzyjnie przycisnąć gondolę przez otwór tak, że nie otarła się o mur. A chodziło dosłownie o milimetry i Jori pomyślał, że naprawdę nie doceniał zdolności swego przyjaciela. Po prostu chyba nikt nie oczekiwał, że ta istota natury mogłaby opanować różne techniczne finezje. Ich zdaniem miał po prostu biegać bosą po swoim lesie i czarować dziewczęta.

Gondagil krzyknął głośno i zasłonił rękami oczy, kiedy spojrzał w promienne światło Świętego Słońca. Wszystko było skąpane w intensywnym, ciepłym i łagodnym blasku.

Ale tej łagodności nie wyczuwało się tutaj, w miejscu, gdzie siła światła była największa.

Teraz zobaczymy, czy on jest dobry, czy zły, pomyślał Tsi. Zabrakło mu odwagi, by odwrócić się i spojrzeć w tym momencie Gondagilowi w twarz. Poza tym miał pełne ręce roboty, musiał manewrować gondolą tak, by jak najszybciej znaleźć się możliwie najdalej od Słońca.

Jori nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy Gondagil mógłby być złym człowiekiem. Miranda opowiadała o nim jako o istocie dość prymitywnej i dzikiej, ale to było przecież następstwem warunków, w jakich Gondagil musiał żyć. Z opowiadań Mirandy wynikało też, że bardzo się różnił od niemiłego, niebezpiecznego Harama.

Tsi mógł się uspokoić. Kiedy z szybkością strzały przybyli w okolice, gdzie światło miało normalne natężenia, Gondagil roześmiał się trochę zawstydzony i powiedział:

– Nic nie widzę. Jestem kompletnie oślepiiony i pewnie już nigdy nie odzyskam wzroku. Ale czuję się tak, jakby mnie ktoś odmienił. Taki jestem czysty i silny. Przepelnia mnie miłość do wszystkiego, co istnieje, to naprawdę fantastyczne, nie wiem, jak mam to wytłumaczyć. Jakbym był częścią jakiejś wielkiej wspólnoty. Jakbyśmy wszyscy byli jednością. Życie wydaje się takie lekkie, cieszę się i wierzę, że stałem się dobrym, szlachetnym człowiekiem!

– Och, jak to dobrze – szepnął Tsi-Tsungga z westchnieniem ulgi.

– Witaj w naszej wspólnocie, Gondagilu – powiedział Jori ciepło.

W następnej sekundzie omal nie wpadli na jeden z wielkich ekranów rozstawionych wokół Słońca. Była właśnie noc, noc świętojańska, ogromna aparatura została ustawiona tak, by ochraniać dzieci wnętrza Ziemi przed zbyt wielką ilością światła.

Tsi jednym pięknym manewrem uniknął zderzenia z ekranem. Trzeba powiedzieć, że było to posunięcie godne mistrza kierownicy.

Nie, noc świętojańska w Królestwie Światła jeszcze nie minęła. Właściwie dopiero co się rozpoczęła.

Najmłodsze dziewczęta spały w swoich łóżkach, a pod poduszkami leżały kwiatki. Sassa, zawsze taka onieśmielona, miała jasny, czysty wyraz twarzy, a od czasu do czasu wzdychała cichutko. Siska, księżniczka z dzikich lasów, wyglądała na zdumioną. Poruszała głową, jakby chciała się od czegoś oddalić, po chwili jednak uspokoiła się, rysy jej złagodniały, chociaż wciąż oddychała z drżeniem.

Berengaria natomiast oszukiwała. Nazbierała kwiatów w ogrodzie, na najpiękniejszym klombie swojej matki, gdzie krzyżowały się zwirowane alejki, toteż nic się jej nie śniło. W każdym razie nic ważnego.

A poza ludzkimi siedzibami, w lasach i na łąkach, ożywała natura. W każdym najmniejszym krzewie, koło każdego kwiatka, w strumieniach i jeziorkach, na górskich zboczach i pod kamieniami znajdowały się jakieś istoty, a to mały elf, a to duch wodny albo innego rodzaju istota, należąca do tego miejsca. Dla nich była to wyjątkowa noc, wszystkie miały się zebrać w lesie elfów.

Nadchodziły wielkimi gromadami, podniecone i zaciekawione. Ubrane w swoje najpiękniejsze stroje, zbierały się na wielkiej polanie, gdzie wszystko zostało już przygotowane do uroczystości. Ogromne, ciężkie duchy gór, karły z wnętrza skał, małe, ubrane na szaro krasnoludki ze Starej Twierdzy i z najstarszych domów w Królestwie

Światła. Nowo przybyłe karły przyłączały się do nich. Z rzek i jezior wychodziły stworzenia, które miały tam swoje siedziby, przezroczyście, pełzające stwory, o tęsknych spojrzeniach, podstępne. Krzykacze z pustych przestrzeni, bagienne ogniki i huldry, leśne boginki i różne takie istoty, które ludzie przez wieki nazywali niebezpiecznymi. Małe ludziki i podziemne duszki były oczywiście także. Niektóre rosły, trzymetrowej wysokości, inne całkiem nieduże.

Przybywały, rzecz jasna, również elfy. Elfy wszelkich rozmiarów i najrozmaitszych rodzajów. Maleńkie elfy kwiatów, wielkie elfy z doliny Gjain i stworzenia, o jakich ludziom nigdy się nie śniło.

To była noc istot natury.

Na polanie trwało niezwykle ożywienie. Oczywiście odczuwano brak młodego księżyca i czarownej mgły ze starego świata, ale tak dobrze jak tutaj tam nigdy im nie było.

Jedzenia i picia zgromadzono aż nadto, przez cały czas grała muzyka, pozdrawiali się starzy przyjaciele, którzy nie widzieli się przez cały rok.

Powinno to być święto w wielkim stylu, ponieważ wszyscy zrobili co mogli, by spotkanie się udało. Nikt nie mógł się skarżyć, jeśli tylko ktoś czegoś zapragnął, natychmiast słodkie, małe panienki z rodu elfów przybiegały, by spełnić życzenie.

Ale noc świętojańska nie była już tą wielką uroczystością, jaką bywała niegdyś. Jakieś dwa czy trzy lata temu do bezpiecznego świata we wnętrzu Ziemi zakradło się coś złego. Istoty natury lepiej niż ludzie znały się na górach i dolinach, one wiedziały, że teraz jest tutaj o jednego czy o jedno za dużo. Nie wiedziały jedynie, o kogo czy o co chodzi.

Tylko jedna mała panienka z rodu elfów domyślała się, ona jednak nie odważyłaby się powiedzieć tego głośno, czuła się bowiem zbyt mała i zbyt głupia, by otworzyć usta w obecności tych wszystkich potężnych istot zebranych w lesie.

Ale mała panienka posiadała zdolność, którą obdarzonych zostało bardzo niewielu. To ona prowadziła Dolga Lanjelina do tajemniczych sal w dolinie Gjain. To ona pomogła mu odnaleźć czerwony farangil. I właśnie dlatego, że dotknęła czerwonego kamienia, oraz dlatego, że przebywała obok niebieskiego szafiru, widziała więcej niż inne elfy i pozostałe istoty natury.

Jej imię brzmiało Fivrelde. Dawniej tak nazywano pięknego motyla, do niej nazwa również pasowała, bo panienka była naprawdę nieduża. Uwielbiała Lanjelina, towarzyszyła mu w drodze do tego świata w głębi Ziemi, a kiedy on schwytyany przez złych rycerzy został po tamtej stronie Wrót, jej małe serduszko o mało nie pękło. Być może cierpiała po jego stracie równie mocno jak Tiril, matka Dolga.

Fivrelde znajdowała się w lesie Madragów tamtego dnia, kiedy młodzi ludzie wycięli dziurę w murze, by przeprowadzić Siskę do Królestwa Światła. Razem z wielu innymi niewidzialnymi elfami przyglądała się temu szaleństwu, ale ona, tylko ona, zwróciła uwagę na niezwykle zjawisko. Kiedy potwory strumieniem płynęły przez dziurę w murze do Królestwa...

Wkrótce potem przybył do Królestwa Światła Dolg Lanjelin i szczęście Fivrelde było znowu pełne. Nigdy nie dopuściła do tego, by Dolg ją poznał, ale często przebywała w pobliżu niego, mogła siedzieć i godzinami mu się przyglądać, a czasami mu pomagała,

znajdowała rzeczy, których szukał, albo we śnie szeptała mu do ucha odpowiedź na pytanie, nad którym się zastanawiał w ciągu dnia.

Dolg domyślał się niekiedy, że otrzymuje pomoc. Nie wiedział tylko, skąd ona nadchodzi. Od czasu do czasu szeptał krótkie „dziękuję” przed siebie, w powietrze, a wtedy Fivrelde promieniowała niczym słońeczko, a jej skrzydełka podobne do skrzydeł ważki poruszały się z zapalem.

Teraz siedziała tutaj w lesie elfów i uczestniczyła w obchodach nocy świętojańskiej, ale nie odważyła się powiedzieć nikomu, co widziała tamtego razu koło muru. Nie powiedziała tego, mimo że wiedziała, iż wszystkie elfy są zmartwione.

Ale jak mogła oznajmić coś takiego? Widziała coś, to prawda, wiedziała też, co martwi elfy, ale jak miała im to wytłumaczyć? Jak połączyć te dwa zjawiska? Była przecież tylko małą panią z rodu elfów mieszkającą w krainie niebieskich dzwonek. Żdźbła trawy były wyższe niż ona sama, a mały żuk to wielka bestia.

Czy takie nic nie znaczące stworzenie mogło przemawiać do potężnego zgromadzenia?
18

Chociaż nie wiadomo, jak do tego doszło, to wkrótce Gondagil odzyskał wzrok. Akurat w odpowiednim czasie, by popatrzeć w dół na piękne kwitnące łąki w okolicach stacji, w której odbywano kwarantannę. Sama stacja tonęła w ogrodzie pełnym kwiatów.

A ja chciałem pokazać Mirandzie moje żalosne zбочe, myślał przejęty. Te nieszczęsne kwiatki na wątych łodyżkach. Dwie sosny i mieszkanie w grocie...

Tymczasem ona przez cały czas posiadała to! I gotowa była wszystko zostawić, by zamieszkać ze mną.

To, co widział, odbierało mu mowę. Czuł, że szczęście rozsadza mu piersi.

Ale spotkanie z personelem stacji przeznaczonej na kwarantannę nie było już takie zabawne...

Miranda wciąż jeszcze rozmawiała z Ramem na temat, co trzeba zrobić, żeby odnaleźć chłopców (i przekazać wiadomość Gondagilowi), kiedy zadzwonił telefon.

Dzwoniono ze stacji, Ram słuchał z niedowierzaniem. Miranda słyszała tylko jego krótkie komentarze, które jednak oznaczały, iż chłopcy się znaleźli. To oczywiście wielka radość, ale...

W pewnym momencie Ram powiedział:

– Naprawdę to zrobił? Ależ to fantastyczne! I zabrali go ze sobą? Tutaj, do naszego królestwa? Jakże to nieprzemysłane...

Miranda zerwała się na równe nogi

– Kogo? – zapytała teatralnym szeptem.

Ram machnął ręką, żeby się uspokoiła.

– Nie wypuszczajcie go ze stacji – mówił do telefonu. – Chłopców zresztą też nie. Jeśli byli w Górach Czarnych, to są z pewnością oblepieni bakteriami i innym paskudztwem. Tak, wiewiórkę też! Te same zabiegi dla wszystkich. Gondola powinna zostać zdezynfekowana... To już tylko wrak...? Prawie. Rozumiem. Ta wyprawa to prawdziwy hazard.

Kiedy nareszcie zakończył rozmowę, zwrócił się do zniecierpliwionej Mirandy.

– Tak, to on. Gondagil. No, no, żadnych łez, proszę, masz tu chusteczkę. On uratował chłopców od straszliwej śmierci, tak przynajmniej opowiada Jori ludziom z kwarantanny. A teraz Gondagil jest tutaj w...

– Idę tam natychmiast!

Ram złapał ją za rękę.

– Mowy nie ma! On musi odbyć kwarantannę, tyle chyba rozumiesz, musi tam zostać co najmniej do jutra. Absolutnie nie możesz się z nim spotkać.

– W takim razie rozbiję namiot koło stacji.

– Proszę bardzo – Ram uśmiechnął się z odrobiną szyderstwa.

Z czułą wesołością patrzył, jak dziewczyna wybiega niczym strzała. Z pewnością jest zadowolona, pomyślał. Jak to dobrze, że problemy rozwiązały się tak nieoczekiwanie. Teraz będzie chciała pokazać Gondagilowi, że bardzo go kocha i że czeka na niego. Jakby ktoś mógł mieć co do tego wątpliwości.

Piękna twarz Rama o rysach Lemura spoważniała. Mnie też ulżyło, pomyślał teraz.

Bardzo mi ulżyło. Chłopcy są bezpieczni!... nie byłoby lekko przerywać tych więzi, jakie powstały między Mirandą a jej dzikim mężczyzną.

Znowu jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Wrócili żywi z Gór Czarnych? Nigdy przedtem nic takiego się nie przytrafiło! No tak, ale to zupełnie wyjątkowa grupa, ci młodzi szaleńcy. Dzielni, spragnieni życia, odważni aż do głupoty, niekiedy naprawdę człowiekowi chce się płakać, ale w przyszłości na pewno wyrosnie z nich prawdziwa elita.

Przygotował się do wyjazdu na stację kwarantanny. Było już późno, od dawna trwał czas snu, on jednak musiał natychmiast porozmawiać z odnalezionymi uciekinierami, wydobyć z nich wszystkie informacje, które jeszcze na świeżo tkwią im w pamięci.

To oczywiste, że będzie z nimi rozmawiać przez kraty. Nie chciał tylko mówić Mirandzie, że istnieje taka możliwość. Żadna dziewczyna nie powinna okazywać zanadto swoich uczuć, Miranda zaś nigdy nie potrafiła niczego ukryć. Była jak Tsi-Tsungga. Nic dziwnego, że się tak zaprzyjaźnili.

Ale Gondagil jest człowiekiem jak najbardziej odpowiednim dla Mirandy, to Ram zauważył na samym początku. I Miranda także jest dla niego odpowiednia. Ona potrafi nadać sens życiu Gondagila. Na szczęście nie będzie musiał ich rozdzielać.

Spojrzał w górę ku Świętemu Słońcu, które jest bóstwem Lemurów, i westchnął z wdzięcznością.

– Niczego nie rozumiem – rzekła Paula głucho. – Absolutnie niczego!

– Ja też nie – odparła Oriana szeptem. Po pompowaniu żołądka bardzo bolało ją gardło. Obie panie dopiero co się sobie przedstawiły.

Oriana leżała na łóżku w płaszczu kąpielowym z jasnoniebieskiej, delikatnej i przewiewnej tkaniny froteé, nigdy przedtem takiego materiału nie widziała. Paula chodziła tam i z powrotem po białym, przestronnym pokoju w bardzo podobnym płaszczu kąpielowym.

– Dopiero co byłam na cyplu nad jakimś jeziorem – mówiła Paula, wymachując rękami. – Była noc, świecił księżyc, wokół mnie panowała cisza. I nagle jestem tutaj! A w ogóle, co to znaczy „tutaj”?

Oriana z rozmarzeniem wpatrywała się w sufit.

– Ja też byłam nad jeziorem. Nagle nadszedł mój mąż. Był na mnie wściekły, ponieważ ja... A zresztą, nieważne. Potem nie pamiętam już absolutnie niczego, dopóki nie obudziłam się w tym pokoju. Wygląda strasznie obco. – Roześmiała się krótko. – Przyszła mi do głowy absurdalna idea...

– Czy mogłabym ją usłyszeć?

– Nie, to głupie! A zresztą, po prostu chciałam odebrać sobie życie. I teraz pomyślałam, że jestem martwa. I trafiłam do nieba. Bo przecież jest tu tak cicho, czysto i pięknie. Ale czy w niebie człowieka może boleć gardło?

Roześmiały się obie, ale był to bardzo niepewny śmiech, sytuacja przedstawiała się groteskowo.

Rozmawiały ze sobą jeszcze chwilę i ustaliły, że znajdowały się nad tym samym jeziorem. Ale co się stało potem i w jaki sposób dostały się tutaj, żadna nie pojmowała. Chociaż bardzo się od siebie różniły, łatwo nawiązały porozumienie. Trochę niepohamowana w swoich zachowaniach Paula przejęła maniery i sposób mówienia wyrafinowanej Oriany, chociaż od czasu do czasu dawała o sobie znać jej gwałtowna natura.

Oriana powiedziała odrobinę skrępowana:

– Muszę przyznać, że tam nad jeziorem mogło się stać naprawdę wszystko, a ja i tak niczego bym nie zauważyła. Ponieważ byłam porządnie pijana. Wypiłam pół butelki koniaku i zjadłam mnóstwo barbituratów.

– Barbi...?

– Tabletek nasennych. Żeby umrzeć. Ale myślę... myślę, że zrobiono mi... płukanie żołądka. Bogu dzięki, że byłam nieprzytomna! To potwornie upokarzający zabieg. Człowiek nie ma ochoty o nim mówić.

– Tak, ja też... mój stan nie był wcale lepszy, spiłam się kompletnie – rzekła Paula szczerze. Opowiedziała już przedtem o czarodziejskiej ceremonii, która albo się po prostu nie udała, albo wprost przeciwnie, spełniła wszelkie oczekiwania. – Mówiłaś, że twój mąż też tam był? Co się z nim stało?

Oriana wzruszyła ramionami. Im mniej wiem o Kencie, tym lepiej.

– Wspomniłaś, że jesteś śmiertelnie chora – mruknęła Paula takim tonem, jaki się w tego rodzaju sytuacjach życiowych przyjmuje. Cicho, z szacunkiem, ale i z ciekawością. Oriana nie chciała o tym rozmawiać.

– Tak – rzekła krótko. – Widziałaś tu jakichś ludzi?

– Nie, obudziłam się w pokoju obok, a ponieważ drzwi do ciebie były otwarte, weszłam.

– Myślisz, że mogłybyśmy po kogoś zadzwonić?

– Nigdzie nie widziałam dzwonka. Wyjdę na zewnątrz i się rozejrzę.

– Pójdę z tobą – postanowiła Oriana i wstała. Jeśli nie liczyć bólu w przelyku, czuła się zupełnie normalnie. Pijackie oszołomienie ustąpiło, słabość po tabletkach nasennych

także. Początkowo trochę się zataczała, ale to pewnie dlatego, że leżała tak długo, podążała jednak za Paulą na korytarz.

Znajdowały się w długim hallu, w dole zaś, piętro niżej, widziały jeszcze większy hall. Najpierw wszędzie panowała cisza, ale po chwili z jakichś drzwi wyszły dwie kobiety, przeszły przez hall i zniknęły za innymi drzwiami. Nie spojrzały w górę, ale Paula i Oriana wyraźnie dostrzegały ich twarze.

– Widziałas je? – zapytała Paula, niepotrzebnie wytrzeszczając oczy. – Na Boga, co to za rasa?

– Pojęcia nie mam – odpowiedziała Oriana zdumiona. – Nigdy przedtem nie widziałam niczego takiego. Te ich ogromne, czarne jak węgiel oczy. Ale ubrane były jak pielęgniarki.

– Jeśli się natychmiast nie dowiemy, co to wszystko znaczy, to zacznę histerycznie krzyczeć – zagroziła Paula. – Ciii! Znowu ktoś idzie.

Cofnęły się obie o parę kroków, by ich nie zauważono. Tym razem z pokoju wyszedł młody mężczyzna. Ten przynajmniej wyglądał normalnie. Brązowe loki, piegi, pogodna twarz, przystojny, choć nie był specjalnie wysoki. Miał na sobie tylko żółty ręcznik kąpielowy owinięty wokół bioder.

Kobiety ledwo zdążyły wymienić spojrzenia, a z tego samego pokoju wyszedł jeszcze jeden mężczyzna.

Paula zdławiła ciche „oj”. Wysoki blondyn, podobny do wikinga – młoda kobieta nie wiedziała, jak blisko jest prawdy – który każdą kobietę mógł przyprawić o drzenie. Tego chciałabym widywać częściej, pomyślała. Moglibyśmy razem robić różne rzeczy. Nie zdążyła jeszcze ochłonąć ze zdumienia, kiedy drzwi otworzyły się ponownie i wyszedł z nich ktoś trzeci. Obie panie przestały oddychać.

Dobry Boże, myślała Oriana. A to co takiego?

Ten miał zielone włosy! Jego ciało pokrywała brązowozielona skóra, twarz nosiła wyraźne podobieństwo do fauna, na głowie sterczały spiczaste uszka, a szerokie, radosne usta świadczyły o zmysłowości. Stopy kończyły się palcami, którymi, gdyby chciał, mógłby chwytać przedmioty.

Przypadek sprawił, że ta istota stała dokładnie pod nimi, sama ich nie widząc. Oriana zdążyła jednak poczuć w swoim ciele jakieś drzenie, o którym już dawno zapomniała. Gorące pragnienie, pożądanie.

Z Paulą było jeszcze gorzej. Musiała zaciskać uda, by powstrzymać tęsknotę, która się nagle w niej rozpałała. Ten mężczyzna na dole promieniał tą zmysłowością i seksualnością, której tak bardzo brakowało zwyczajnym mężczyznom. Nie przypominał człowieka, ale akurat ten fakt był jej teraz kompletnie obojętny. Paula zbyt długo żyła bez męskiego towarzystwa, bardzo chętnie by więc...

Dziwne stworzenie odeszło. Kobiety popatrzyły po sobie.

– Na Boga... – zaczęła Paula.

– Czy to teatralny makijaż? – zastanawiała się Oriana. – Może to charakteryzacja, może chciał wyglądać jak Puk w Szekspirowskim „Śnie nocy letniej”? A może jak Piotruś Pan? Ale sprawiał wrażenie takie... – zniżyła głos do szeptu – takie prawdziwe!

Bo on jest prawdziwy, myślała Paula z egzaltacją. To jest on! Udało mi się!

Głęboko wciągnęła powietrze.

– Wszystko moja wina – oznajmiła. – Tej nocy czarowałam. To noc środka lata. Próbowałam wywołać jakąś istotę natury, może króla gór, kogokolwiek. I to jest właśnie on! Bardzo mi przykro!

Ale w jej głosie absolutnie nie wyczuwało się przykrości. Głos brzmiał radośnie, chociaż dało się w nim słyszeć również zaskoczenie.

Oriana wpatrywała się w towarzyszkę, jakby chciała się przekonać, czy Paula mówi poważnie, czy też zwariowała. Potem zaproponowała:

– Chodźmy stąd! Zejdźmy na dół, wyjdźmy na zewnątrz, trzeba znaleźć kogoś, z kim mogłybyśmy porozmawiać. Trzeba wyjaśnić, gdzie się znajdujemy.

Paula uznała, że to bardzo dobry pomysł, ruszyły wobec tego ku drzwiom wyjściowym w hallu na dole.

Ale drzwi były zamknięte na klucz.

– Co to, u diabła, może znaczyć? Czy znalazłyśmy się w więzieniu w jakim obcym państwie? – zastanawiała się Oriana niepewnie.

Zanim zdecydowały, co dalej, znowu otworzyły się drzwi za nimi i wyszedł z nich mężczyzna w takim samym płaszczu kąpielowym jak one. Ten wyglądał ponuro.

– Kent? – rzekła Oriana z umiarkowanym entuzjazmem. – Ty tutaj? Czy możesz nam powiedzieć, co się stało?

Odepchnął ją i podszedł do wyjścia.

– Nie chcę mieć z tobą do czynienia – warknął. – Zawiodłaś mnie w najbardziej ordynarny sposób.

Szarpnął za klamkę.

– A to co znowu za głupoty? Oriana, natychmiast dawaj klucz!

– Jesteśmy zamknięte tak samo jak ty. Czy wiesz, gdzie się znajdujemy? I jakim sposobem się tutaj dostaliśmy?

– Skąd ja to niby mam wiedzieć? Powinienem...

Zamilkł, jakby się zastanawiał, czy nie wybić okna, ale uznał, że chyba nie. Podjął więc znowu to bezowocne szarpanie drzwiami.

W końcu gdzieś za nimi pojawiła się jedna z tych dziwnych kobiet.

– Bardzo mi przykro – powiedziała łagodnym i przyjemnym głosem. – Wkrótce będą państwo mogli stąd wyjść. Tymczasem jednak bądźcie tak uprzejmi i wróćcie do siebie! W jakiś sposób zdołała ich ulokować, każde w swoim pokoju. Oriana usłyszała zgrzyt klucza w zamku i ujęła klamkę.

Została zamknięta.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że tamta kobieta mówiła jakimś zupełnie nieznanym językiem. Mimo to wszyscy troje rozumieli każde jej słowo.

Ram rozmawiał przez telefon z jednym ze swoich ludzi.

– Wróciliście więc?

– Tak, trwało to bardzo krótko. Mieliśmy problemy. Zobaczyli nas jacyś ludzie, więc musieliśmy ich zabrać ze sobą. Najchętniej unikamy mordowania.

– Tak, słyszałem, że jakichś troje nowych odbywa kwarantannę, pominawszy tych troje, którzy wrócili z Królestwa Ciemności. Postąpiliście słusznie, ale nie jestem pewien, czy ci wszyscy nowi pasują tutaj.

– Rzeczywiście, może być trochę problemów. Kobiety są chyba dobre. Jedna z nich była silnie zatruta, więc najpierw musieliśmy ratować jej życie. Druga z nich znajdowała się w stanie kompletnego upojenia. Dostała specjalną dawkę i teraz jest znowu trzeźwa. Obyło się bez kaca, mam nadzieję, że nam za to podziękuje. Ale ta pierwsza kobieta jest śmiertelnie chora i powinna natychmiast po kwarantannie znaleźć się w szpitalu. Tutaj szybko wróci do zdrowia!

– Znakomicie, A mężczyzna?

– Tamta chora kobieta i mężczyzna nie znoszą się nawzajem. A ponieważ powiedziałem właśnie, że kobiety są wystarczająco dobre, to...

– To on jest słabym ogniwnem, rozumiem. Do miasta nieprzystosowanych?

– No, spróbujemy coś z nim zrobić. Ale jeśli tam też nie będzie pasował, to...

– Rozumiem. Zobaczmy, jak się sprawy rozwiną. Gdy tylko kobiety będą gotowe, należy je ulokować może w... Niech no się zastanowię, może w Sadze?

– To powinno być dla nich odpowiednie miejsce. I chora kobieta uniknie widywania swego męża.

– Dobrze! No cóż, to powodzenia w nowej podróży – zakończył Ram. – Zobaczmy się później.

Stał pogrążony w myślach.

– Co za noc – szepnął. – I chłopcy przebywali w Królestwie Ciemności! Dobrze, że to się skończyło, tak jak się skończyło.

19

Nareszcie noc świętojańska dobiegła końca.

Mieszkańcy Królestwa Światła nie mieli pojęcia, co się stało w ich spokojnej krainie, nie wiedzieli tego nawet Ram ani Strażnicy, Elfy też nie wiedziały niczego konkretnego, wyczuwały jedynie niepokój. Teraz elfy spały, oszołomione świętem, nektarem i miodem, jagodami i innymi smakołykami dostarczonymi przez naturę.

W myślach Fivrelde krążyło nieustannie jakieś wspomnienie z minionej nocy, prawdopodobnie z porannego snu, w którym widziała coś, była pewna, że dzieje się coś złego, a może już się to wydarzyło podczas nocy świętojańskiej, nie mogła jednak pojąć, czego to wszystko dotyczy. To bardzo nieprzyjemne mieć świadomość, że jest się jedyną istotą, która coś wie, a mimo to ta wiedza jest tak bardzo niekonkretna. A może powinna porozmawiać ze swoim bohaterem? Nie, nie odważyłaby się mu przeszkadzać.

Theresa spotkała najmłodsze dziewczęta przy śniadaniu na tarasie domu Rafaela.

Jak większość młodych ludzi były dość zaspane, siedziały pogrążone we własnych myślach. To z wiekiem człowiek staje się rzeźki rankami.

– No, panienki? Śniło się wam coś? – powitała je ze śmiechem.

Berengaria, która w tym towarzystwie miała najwięcej pewności siebie, odpowiedziała jak zwykle pierwsza.

– Zupełnie nic, babciu. Nic, o czym warto wspominać. Tylko róże poplamily mi poduszkę.

– A więc mimo wszystko użyłaś ogrodowych kwiatów? A to powinny być kwiaty polne, moje dziecko. Trzeba je zbierać na rozstajnych drogach, daleko od ludzi. A ty, Sasso? Młoda potomkini Ludzi Lodu uśmiechnęła się tajemniczo.

– Tak, ja miałam sen.

– I o kim to? – chciały natychmiast wiedzieć obie przyjaciółki.

– Nie, to zupełna niespodzianka – rzekła Sassa skrępowana. – Nigdy bym się tego nie spodziewała. Ale to był... piękny sen – dodała tak cicho, że ledwo ją usłyszały.

– No to co, jesteś zakochana? – uśmiechnęła się Berengaria.

Sassa spojrzała na nią rozmarzonym wzrokiem.

– Co? Zakochana? Nie, chyba zwariowałaś! To było tylko trochę podniecające, nic więcej.

– A ty, Sisko? – zapytała Theresa z rozbawieniem.

– Ech! – westchnęła mała księżniczka z mrocznych lasów. – Ech, nie, to był głupi sen.

Głupi, głupi, głupi!

Na moment zapomniała o swoich przyjaciółkach i pogrążyła się w dziwnych rozmyśleniach. Szybko się jednak otrząsnęła i zaczęła pić herbatę.

Dziewczęta i Theresa czekały, ale kiedy nie powiedziała już nic więcej, Theresa oznajmiła:

– Przychodzę tu w konkretnej sprawie. Sisko, Najwyższa Rada wzywa cię na swoje spotkanie. Masz tam pójść natychmiast.

– Ja?

– Tak, chcą cię przesłuchać w jakiejś sprawie, ale nie wiem, w jakiej.

– Przecież ja nie zrobiłam nic złego!

– Wiemy o tym. Oni też o tym wiedzą. Pośpiesz się teraz. Czeka na ciebie gondola z kierowcą.

– Nie, ratunku, co ja mam na siebie włożyć, jak ja wyglądam, spójrzcie na moje włosy...

– Jesteś śliczna – zapewniały jedna przez drugą. – Ruszaj teraz, tylko pamiętaj, żeby nam o wszystkim opowiedzieć po powrocie!

Siska zdążyła się opanować, zanim dotarła do czarnej sali w pałacu Marca. Na widok szacownego zgromadzenia drgnęła wprawdzie, jakby chciała się cofnąć, zaraz jednak się wyprostowała.

Byli tam naturalnie Marco i Ram, a także ów dostojny Obcy, Talornin. Poza tym Móri oraz Dolg, a także Cień.

Co on tutaj robi?

Pierwszy odezwał się Talornin. Skłonił się lekko przed Siską.

– Bądź pozdrowiona, księżniczko z mrocznych lasów – rzekł uroczyście. – Nigdy nie zapominamy, że jesteś córką wodza, pamiętaj o tym! Pewnego dnia, kiedy będziesz dorosła, zasiądziesz w tej radzie, zajmiesz w niej miejsce odpowiednie dla swojej rangi.

Ja? Naprawdę ja? chciała zapytać zdumiona, uznała jednak, że powinna się zachowywać godnie, jak tego wymaga jej tytuł, więc pochyliła lekko głowę.

– Dziękuję – rzekła po prostu.

– Ty i księżna Theresa. Ona wielokrotnie już odpowiadała odmownie na nasze propozycje, kiedy jednak dowiedziała się, że ty masz być członkinią rady, postanowiła również się do nas przyłączyć, by zapewnić ci kobiece wsparcie.

Siska uśmiechnęła się niepewnie. Stała wyczekująco.

– Usiądź – rzekł Talornin i wskazał jej miejsce przy stole. Wszyscy usiedli.

– Sisko – zaczął Talornin. – Wezwaliśmy cię tutaj, ponieważ pragniemy zapytać cię o radę.

Mnie? Ci potężni panowie? Czekala w milczeniu.

– Czy ty jeszcze pamiętasz stosunki panujące w twojej rodzinnej osadzie? Byłaś wprawdzie tylko dzieckiem, ale...

– Nikt nie wie więcej niż ja – odparła z godnością. – Byłam przecież ich boginią-dziewicą.

– Oczywiście. W takim razie posłuchaj. Czy słyszałaś kiedyś, by mówiono, że istnieje potajemna droga do Gór Czarnych? Droga, którą można bezpiecznie przejść?

Zamyśliła się. W sali panowała zupełna cisza.

– Nie. Nigdy!

– A jak wiele wiedzieliście o Górach Czarnych?

– O Górach Umarłych? Wiedzieliśmy, że nikt żywy nigdy stamtąd nie wrócił. Że zginęli tam ludzie, którzy próbowali przecisnąć się pomiędzy wysokimi skałami. Nie, nie istniała żadna droga, którą można by było bezpiecznie przejść.

Mężczyźni patrzyli po sobie i dyskutowali półgłosem.

Siska przerwała im.

– Czy mogłabym zapytać, co to wszystko oznacza?

Ram, pochodzący z Lemurów Strażnik, odwrócił się ku niej.

– Dzisiejszej nocy miałem długą rozmowę z dwoma chłopcami, Jorim i Tsi-Tsungą. Rozmawiałem też z Waregiem Gondagilem, który przybył do naszego królestwa, dokładnie tak, jak ty przed rokiem. Wygląda na to, że ktoś pochodzący z Gór Czarnych rozsiewał dziwne pogłoski w jego części Królestwa Ciemności. O ile dobrze cię zrozumieliśmy, nic takiego nie wydarzyło się po twojej stronie wielkiej, jasnej góry.

– Zechcielibyście wytłumaczyć to dokładniej?

– Ktoś opowiadał ludowi Gondagila i innym plemionom, a wygląda na to, że działo się to dawno temu, choć co do tego Gondagil nie ma pewności... Opowiadano im mianowicie, że istnieje bezpieczna droga w góry. I mówiono tak po to, by wabić ludzi na tę drogę. Tymczasem ona wiedzie wprost do katastrofy. Gondola chłopców została wciągnięta przez jakieś prądy do doliny. Gondagil znalazł drogę, ale w porę odkrył niebezpieczeństwo i zdołał uratować chłopców.

– Oj – westchnęła Siska cicho. – Nie, niczego takiego nigdy nie słyszałam. A powinnam była słyszeć.

– Tak właśnie myśleliśmy – rzekł Talornin przyjaźnie. – To przecież ty posiadałaś wszelką wiedzę, prawda?

– Tak jest. Ale Góry Czarne stanowiły tabu. Nie tylko nie wolno tam było chodzić, nie wolno było również o nich mówić. Co najwyżej wspomniano je szeptem.

– I nigdy nie szeptano o żadnej dziwnej dolinie w górach. Nie, przecież droga do niej wiedzie przez inną część Królestwa Ciemności, tę, która znajduje się bliżej nas. A z tego, co wiemy, ty jesteś jedyną żywą istotą, która zdołała pokonać łańcuch jasnych gór.

– To prawda.

– To tłumaczy, dlaczego nigdy nie słyszeliście o strasznej dolinie. No cóż, jeśli cię to interesuje, to możesz dowiedzieć się więcej na temat tego, co prawdopodobnie ma się stać w Królestwie Światła.

– Bardzo chętnie posłucham, dziękuję.

Siska uznała, że to przywilej móc uczestniczyć w tej naradzie. Czuła, że w końcu odzyskała swoją dawną godność.

Nigdy co prawda nie tęskniła za życiem w oddalonej samotnej osadzie w lasach, ale, oczywiście, miło jest być znowu kimś uznanym! Ktoś, kto urodził się księżniczką, ma to już we krwi. I nigdy się tego nie pozbędzie.

Znowu powróciły wspomnienia nocnego snu, skuliła się nagle przestraszona. Chciała nabrać dystansu do tego snu, ale on wciąż wracał, był taki... denerwujący?

Uff, nie! Trzeba słuchać, co mówią szacowni panowie.

– Sisko – rzekł Ram. – Zarówno Dolg, jak i Cień mają do opowiedzenia dziwne rzeczy.

No właśnie, księżna Theresa prosiła nas, byśmy zwracali się do Dolga jego dawnym imieniem, byśmy nie mówili do niego Dolgo. A ściślej biorąc, by każdy mówił, jak chce.

Dolg również z ulgą powrócił do dawnej formy swego imienia. Zechcesz zacząć, Dolgu? Zдай nam sprawę ze swoich przeżyć.

– Tak, oczywiście – odparł urodziwy syn czarnoksiężnika.

Siska zawsze uważała, że jest on najdoskonalszym stworzeniem. Indra twierdziła, że Dolg ze swoją skórą koloru kości słoniowej i czarnymi lokami oraz niezwykłymi rysami stanowi prototyp właściwego secesji stylu w sztuce. Jest taki piękny i romantyczny.

Gdyby chociaż nie miał tych wielkich, skośnych i kompletnie czarnych oczu Lemura... Ale one jeszcze pogłębiały jego oszałamiającą urodę.

Teraz patrzył prosto na nią i mówił, a ona była tak przejęta, że nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Musiała się bardzo starać, by nie trzepotać rzęsami

– Od jakiegoś czasu mam uczucie, że ktoś chce ze mną porozmawiać, lecz nie ma odwagi. Ktoś, kto ma mi do powiedzenia coś niezwykle ważnego. Nie domyślasz się może, kto by to mógł być?

Siska była zmartwiona, że i tym razem nie może udzielić pozytywnej odpowiedzi.

– Nie. Niestety. W naszym kręgu wszyscy jesteśmy bardzo otwarci, jak wiesz. Z wyjątkiem Eleny naturalnie...

– Nie, Elenę już pytałem, ponieważ myślałem dokładnie tak jak ty. Nie, to nie ona.

– Skąd wiesz, że ktoś chce z tobą rozmawiać?

Dolg uśmiechnął się krzywo.

– Świetne pytanie! Wiesz, że posiadam specjalne zdolności. Wyczuwam to teraz bardzo intensywnie, jest tak jak mówię, nie może być żadnych wątpliwości. Gdybym tylko wiedział, kto to jest, sam zacząłbym rozmowę, ale...

Wzruszył ramionami, jakby przepraszał.

– A teraz ty, Cieniu – rzekł przyjaźnie Ram.

– Tak – odparł potężny Lemur. – Wiesz, że mam wielu przyjaciół wśród elfów i innych istot poruszających się bezgłośnie po polach i lasach. Ostatniej nocy, Johannesnatt, jak ją określa nasza droga Theresa, te istoty miały wielkie spotkanie. Obserwowały je duchy, zarówno duchy Móriego, jak i duchy Ludzi Lodu. Johannesnatt, jak wiesz, jest nocą wszystkich sił natury, zbierają się one wtedy na wielkich uroczystościach. No cóż, dziś rano Nidhogg przyszedł z raportem. Coś się dzieje w Królestwie Światła. Nic na ten temat jeszcze do ludzi nie dotarło, ale wszyscy nasi niewidzialni przyjaciele są przerażeni. Okazuje się, Sisko, że coś ich przyzywa i wabi. Coś im mówi, że zdobędą wielką cześć i szczęście, jeśli opuszczą Królestwo Światła i przeniosą się do Gór Czarnych. Opowiada im się o dolinie, która jest bezpieczna i pewna...

– Oj – jęknęła Siska. – Chodzi o tę samą dolinę?

– Bez wątpienia.

– Ale kto ich wabi i przyzywa?

– Tego właśnie nikt nie wie. Wszyscy słyszeli zapewnienia, nikt jednak nie wie, skąd pochodzą.

– Jakie to dziwne!

– Tak. Najdziwniejsze jednak jest to, że dokładnie to samo mówi Gondagil. O tym samym opowiadali też mieszkańcy niemieckiej osady. Wielu z tej części Królestwa Światła zna tę historię. Tylko nikt nie potrafi sobie przypomnieć, skąd ją zna. Większość sądzi, że słyszeli ją kiedyś w dzieciństwie, Gondagil jednak twierdzi, że to nieprawda. Elfy i inni niewidzialni nie wspominali o tym aż do tej pory. Dopiero w ciągu ostatniego roku...

Siska patrzyła na niego zamyślona.

– Czy oni pragną tam pójść?

– Stawiasz właściwe pytania – rzekł Marco. – Będziesz bardzo wartościowym członkiem naszej rady.

– Dziękuję! – Siska była uradowana i dumna, lecz wrodzona godność nie pozwalała jej tego okazać. O, znowu jest księżniczką! Księżniczką i boginią-dziewicą. Jak łatwo wejść w dawną rolę!

Cień odpowiedział na jej pytanie.

– Nidhogg donosi, że część poszła już w stronę Gór Śmierci. Pozostali najwyraźniej nie są jeszcze do końca przerobieni.

– Powiadasz „przerobieni”? Co to oznacza?

Potężni panowie popatrzyli na nią z uznaniem. Siska będzie silną osobowością, to pewne.

– Oni sami nie wiedzą, jak to się stało – odpowiedział Cień. – Niektórzy sądzą, że im się to wszystko przyśniło. Najważniejsze jest to, że są porządnie przestraszeni, wszyscy co do jednego. Zwłaszcza teraz, kiedy dowiedzieli się o przygodzie chłopców. Teraz bowiem wiedzą, że dolina jest śmiertelnie niebezpieczna.

Siska raz jeszcze dowiodła, że godna jest tytułu bogini. Zwróciła się ku Dolgowi.

– Zastanawiam się... czy to, co mówi Cień, może mieć jakiś związek z impulsami, które docierają do ciebie z nieznanego źródła?

Dolg uśmiechnął się ciepło.

– Dlatego właśnie dzisiaj tutaj jestem. Ponieważ myślę to samo, co ty.

Milczała długo, zanim odezwała się znowu.

– Zastanów się, czy nie znasz kogoś, kto nie ma odwagi się do ciebie zwrócić! Pomyśl, czy ty, który posiadasz tak wielkie zdolności telepatyczne, nie mógłbyś wpłynąć na tego kogoś i dodać mu odwagi. Przesyłaj w jego stronę całą miłość, ciepło, zrozumienie i łagodność, jaką tylko w sobie posiadasz! Myślisz, że potrafiłbyś to zrobić?

Teraz wtrącił się Móri, ojciec Dolga.

– Znam kogoś, nie chcę go nazywać po imieniu, kto przywykł siedzieć w swoim szałasie i udzielać dobrych rad. Naprawdę dobrych!

Opanowana dotychczas twarz Siski rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

– Dziękuję! Z całym szacunkiem dla moich przyjaciółek, ale ja do tego właśnie zostałam urodzona i wychowana.

Członkowie rady wymieniali ze sobą spojrzenia. Potem głos zabrał Talornin.

– Sisko... wprawdzie nie jesteś jeszcze dorosła... ale czy zechciałabyś uczynić nam ten zaszczyt i zostać członkiem rady już teraz? Jeszcze dzisiaj?

– Najpierw do rady musi zostać przyjęta księżna Theresa – odparła stanowczo. – Nie wolno nam jej pominąć.

– Na pewno tego nie zrobimy.

– W takim razie mówię „dziękuję” – rzekła Siska.

Zazwyczaj członków rady wybierano nie ze względu na ich wysoką pozycję, lecz z powodu ich mądrości, bystrości umysłu, miłości do ludzi i innych dobrych cech. Ale te dwie, Theresa i Siska, takich właśnie cnót miały pod dostatkiem, w dodatku do swoich książęcych tytułów. Było więc rzeczą naturalną, że obie powinny zasiadać w radzie. Obie przywykły do decydowania za innych, robiły to od dzieciństwa. To doświadczenie uczyniło je jeszcze bardziej wartościowymi członkami Najwyższej Rady.

– Księżniczko – rzekł Talornin łagodnie, wyciągając rękę do Siski. – Czy zechciałabyś uczynić mi ten zaszczyt i pozwolić, bym poprowadził cię do stołu?

Siska przemilczała, że wyszła z domu bezpośrednio po śniadaniu, łaskawie pochyliła głowę i położyła swoją małą rękę na arystokratycznej dłoni Obcego o typowych dla nich, sześciograniastych palcach.

Znowu była wśród najwyższej postawionych!

20

Gondagil, który przywykł do dzikich przestworzy i prymitywnych warunków, rozglądał się z podziwem po antyseptycznych pomieszczeniach stacji, w której odbywał kwarantannę. Wszystko tu było takie białe, takie lśniąco i czyste. Oczy młodego Warega zaczęły się przyzwyczajać do światła, ale nie chciały wierzyć temu, co widzą.

Wszyscy trzej młodzi mężczyźni oraz Czik odespali już straszną noc w Górach Czarnych. Personel stacji zachowywał się bardzo dyskretnie podczas dezynfekcji, chociaż Tsi wcale dyskretny nie był. Jori szczerze cierpiał z powodu tego, co się z nim działo, natomiast Gondagil po prostu doznał szoku.

Wtedy Jori poklepał go po ramieniu i powiedział: „Jeśli czujesz, że zaraz utracisz godność, Gondagilu, wtedy śmiech jest najlepszym lekarstwem”.

Gondagil spróbował, najpierw nieśmiało, a wkrótce potem wszyscy trzej śmiali się głośno.

Teraz siedział na krawędzi swego łóżka, a jego koledzy nadal spali. Miał na sobie biały płaszcz kąpielowy i czuł się dość niepewnie. Tamci byli przyzwyczajeni do takich rzeczy, on zaś wygłupi się jeszcze co najmniej ze sto razy. Uśmiechnął się znowu pod nosem i zauważył, że to pomaga. Zgadzał się z Jorim, że człowiek, który się zblamował i potem usiłuje za wszelką cenę zachować godność, przedstawia sobą bardzo żaloszny widok. Jego przyjaciel Haram był właśnie pozbawiony poczucia humoru?

A niech tam, mogę się wygłupiać, pomyślał Gondagil. Mój szacunek do samego siebie jakoś to zniesie. Przynajmniej dopóki potrafię się z siebie śmiać. Światło połyskiwało od czasu do czasu w instrumentach i na białych, wyłożonych kafelkami ścianach. Gondagil za nic na świecie nie odważyłby się dotknąć żadnego aparatu. Myślał jednak z dumą, jak pięknie manewrował gondolą „po kilku zawstydzających pomyłkach”, z czasem nauczył się z pewnością wszystkiego. To będzie jego cel.

Weszła jedna z kobiet, Gondagil pospiesznie poprawił płaszcz kąpielowy na kolanach, chociaż nie było takiej potrzeby, ubranie sięgało aż do ziemi.

Podowała mu taki mały aparacik, jaki kiedyś widział u Mirandy.

– Telefon do Gondagila. Proszę bardzo – powiedziała przyjaźnie. – Możesz wejść do tego małego pokoiku obok, wtedy moja obecność nie będzie ci przeszkadzać.

Co się z tym robi? myślał, kiedy został sam. Jak to się trzyma? Spróbował unieść aparat w górę.

– Halo? – odezwał się niepewny głos, choć Gondagil nikogo nie widział.

– Mi... Miranda? – szepnął, czując, że oblewa go fala gorąca. – Czy to ty?

– Oczywiście! Och, Gondagil!

Słyszał, jak bardzo jest wzruszona.

– Jestem tu, w Królestwie Światła – odparł z dumą.

– Tak, słyszałam już o tym. Pozwolono mi do ciebie zadzwonić, bo wiesz, wiesz... przez telefon nie zarażasz... – głos jej się załamał.

– Nie zarażam? – roześmiał się Gondagil. – Przecież ty i ja byliśmy wiele razy tak blisko siebie!

– Tak, wiem. Ale ja też musiałam przejść kwarantannę, kiedy wróciłam do królestwa.

Wszyscy muszą.

– Tak, Jori mi wytłumaczył.

O rany, dlaczego tracą czas na takie głupstwa?

– Mirando, będę tutaj musiał zostać jakiś czas.

– Wiem. Ale możemy ze sobą rozmawiać w ten sposób. Wiele razy w ciągu dnia, jeśli zechcesz. Zostawię ci swój numer telefonu. Zapiszesz sobie?

Zapiszesz? O co jej chodzi?

– Tak – skłamał i starał się zanotować w głowie, to co mówiła. Poprosił, by powtórzyła liczby jeszcze raz, stwierdził, że zapisał błędnie. Teraz zapamiętał numer i postanowił, że nigdy go nie zapomni.

Pisać? Czytać? Musi się tego nauczyć jak najszybciej!

Jori.

Resztę dnia Gondagil spędził częściowo przy telefonie, częściowo z Jorim, zeszytem i ołówkiem. I Jori, i Tsi obiecali, że nie wygadają i że będą kontynuować lekcje również po zakończeniu kwarantanny.

Trochę godności musiał przecież zachować. Śmiali się serdecznie wszyscy razem, kiedy to powiedział. Rozpoczął bardzo pożyteczną naukę.

Dolg zrobił tak, jak radziła Siska: koncentrował się i szukał telepatycznego kontaktu. Nie było to takie łatwe, ponieważ w Królestwie Światła roilo się od elfów i innych istot natury, nie mówiąc już o ludziach, Lemurach, Obcych, Madragach i wszystkich innych. W tym przypadku zwierząt nie należało wyłączać.

Dolg miał jednak przecucie, że wezwania pochodzą od niewidzialnych.

Może to błąd mówić o wezwaniach. Ale ktoś chciał mu coś powiedzieć, zabrakło mu jednak odwagi.

Dlaczego akurat jemu? Dlaczego ten ktoś nie szuka kontaktów z Markiem, Mórim albo z Ramem? Albo z którymś z potężnych Obcych?

Dolg próbował wyróżnić grupę, z którą miał nawiązać kontakt. Ograniczyć liczbę istot, wyeliminować zbędne. Odsiał wszystkich, których z całą pewnością sprawa nie mogła dotyczyć. Kto utrzymywał z nim specjalne kontakty?

Jakaś lekliwa dusza...

Kiedy już wyrzucił z myśli tych, którzy nie mogli tu wchodzić w rachubę, postanowił wysłać specjalną informację, że ten ktoś, kto chciałby z nim porozmawiać o czymś, co mu leży na sercu, będzie powitany serdecznie. Nikt nie powinien się niczego lękać.

Potem już nic więcej zrobić nie mógł. Pozostawało tylko czekać.

Zdecydował się wyjść poza ludzkie siedziby, by temu, kto poszukiwał z nim kontaktu, ułatwić zadanie. Poszedł do lasu elfów, do miejsca, o którym wiedział, że niewidzialne istoty mają zwyczaj się tam zbierać na swoje uroczystości.

Usiadł w zielonym cieniu i czekał. Zmobilizował całą swoją życzliwość i kierował ją na owo niepewne stworzenie, które go poszukiwało.

Nie trwało długo, a zauważył, że nie jest sam. Wobec tego jeszcze intensywniej przekazywał swoją informację: Nie ukrywaj się, daj się poznać, witam cię serdecznie, mój przyjacielu!

Nagle usłyszał delikatny szmer przy swoim ramieniu...

Czy to jeden z maleńkich elfów?

Coś dotknęło jego kieszeni na piersi.

Informacja dotarła do niego w postaci stukania w mózgu.

– To ty? Moja mała przyjaciółka z Gjain! Nie wiedziałem, że znajdujesz się w Królestwie Światła! Czy możesz mi się ukazać?

Mała panienka z rodu elfów wyszła z cienia, a on wziął ją i ostrożnie posadził na swojej dłoni. Uśmiechała się skrępowana, ale rozpromieniona wpatrywała się w swego idola.

– Jak dobrze znowu cię widzieć – rzekł Dolg ciepłym głosem. – Ale ja nawet nie wiem, jak ci na imię.

– Fivrelde – szepnęła bez tchu.

– Świetnie do ciebie pasuje, mój mały motylku. Czy to ty mnie szukałaś?

– Tak – westchnęła, rozdygotana. Musiała odkasznąć. – Wydaje mi się, że coś widziałam, ale nie odważyłam się nikomu tego powiedzieć, bo jestem taka maleńka i głupia.

– Maleńka jesteś naprawdę, ale głupia? Nie. Czyż ty i ja nie dokonaliśmy razem wielkiego czynu? Bez twojej pomocy nigdy bym nie znalazł farangila, dobrze o tym wiesz.

Słuchała tego z przyjemnością. Śmiała się od ucha do ucha.

– No, a co chcesz mi teraz opowiedzieć, o co chcesz zapytać?

Fivrelde rozsiała się wygodnie we wgłębieniu jego dłoni, tuż przy palcach wskazującym i środkowym, i wpatrywała się w Dolga z powagą. Jej głosik był tak delikatny i dźwięczny, jak szum pokrytych szronem traw na wietrze.

– Ty wiesz, Lanjelin, że bliskość dwóch szlachetnych kamieni dała mi specjalne zdolności.

– Oczywiście. Ale co masz na myśli?

– To, że widzę więcej niż moi krewniacy.

– Wspaniale! I co widziałaś?

Fivrelde wciągnęła głęboko powietrze, by się opanować. Dolg podparł ją kciukiem. Ostrożnie, by nie połamać kruchych skrzydełek.

– No więc, to było, zanim ty przybyłeś do Królestwa Światła, Lanjelinie. Strasznie rozpaczalam, że ciebie tu nie ma, bo byłeś moim najlepszym przyjacielem i przeżyliśmy razem tyle pięknych rzeczy.

– Najpiękniejszych, jakie mi się przydarzyły – potwierdził z powagą.

Maleńka panienka zarumieniała się i spuściła oczka, uszczęśliwiona jego słowami.

– No i, widzisz, któreś nocy byłam razem z innymi elfami w lesie. Widzieliśmy, jak ci młodzi ludzie żeglują po Złocistej Rzece, i chcieliśmy się dowiedzieć, co zamierzają.

– Ach, to było wtedy! Tak, pamiętam bardzo dobrze, ojciec, Marco i ja też tam poszliśmy! To było tej nocy, kiedy przybyliśmy do Królestwa Światła.

– No właśnie! No i, zanim ty przyszedłeś, obserwowaliśmy z lasu gromadkę bezmyślnej młodzieży. Widzieliśmy, jak pomogli małej, biednej dziewczynce przedostać się przez dziurę w murze.

– Małej Sisce, tak. Zrobili coś absolutnie niedozwolonego, rozcięli mur, ale dzięki temu ją uratowali.

– Tak. My, elfy, byliśmy przerażeni ich zachowaniem, a potem, kiedy bestie tłoczyły się do środka, przerażiliśmy się tak bardzo, że uciekliśmy. Wtedy jednak przyszedłeś ty, Lanjelin, a ja odwróciłam się i poszłam za tobą. Och, byłam taka szczęśliwa. Nie wierzyłam już, że jeszcze kiedykolwiek tak się będę cieszyć!

Wyglądało na to, że opowiadanie dobiegło końca.

– No i co? – rzekł Dolg z zaciekawieniem. – Co takiego wtedy zobaczyłaś?

Mała panienka podskoczyła na jego dłoni tak, że on sam również drgnął.

– Co? Och, nie, zapomniałam teraz o tej strasznej sprawie. No więc, to się stało, zanim ty i twoi przyjaciele przybyliście, by ratować młodych. To było wtedy, kiedy bestie przedostawały się tłumnie do środka.

Wróciła we wspomnieniach do tamtej chwili i znowu zadrżała.

– Pojawiło się coś jeszcze...

Dolg czekał.

– Tak?

Fivrelde spojrzała mu głęboko w oczy.

– Nie mogę ci powiedzieć, co to było, Lanjelinie. Ale kiedy wszystkie bestie weszły już do środka, pojawiło się za nimi coś innego. Jakiś... coś w rodzaju ślizgającego się cienia, co wilo się ponad górną krawędzią otworu w murze, przesunęło się i mknęło dalej, pełznąć pomiędzy korzeniami i kamieniami w głąb Królestwa Światła. Widziałam, że pełźnie błyskawicznie, czasem wspina się na drzewo, przeskakuje na następne i znowu zsuwa się na ziemię. W końcu zniknęło w głębi kraju, pomiędzy wzgórzami.

– Jak waż?

– N-n-iee – rzekła z wahaniem. – To było większe i paskudniejsze. Coś w rodzaju prymitywnego człowieka, chociaż kształty miało niewyraźne. Jakaś taka szaroczarna masa, rozciągała się i kurczyła, pełznąć przed siebie.

Dolgowi przyszło do głowy porównanie.

– Jak Sigilion?

– Słyszałam o Sigilionie, człowieku-jaszczurze – powiedziała panienska z powagą. – Nie, to nie on. To było jakby bardziej niekonkretne. (Piękne słowo, z którego miała musiała być dumna).

Dolg zastanawiał się, a panienska z rodu elfów patrzyła na niego ufnie i z podziwem.

– Fivrelde, czy kiedyś później widziałaś jeszcze tego cienia?

Ożywiła się.

– Na początku widywałam to często, jak węszyło w lesie elfów, ale zawsze bałam się tak samo. Potem zniknęło. Nie widziałam go bardzo długo.

– Czy w jakiś sposób łączysz z nim ten nieprzyjemny nastrój, jaki zapanował wśród elfów? To, że tęsknicie, by wyruszyć do Gór Czarnych?

– Ja nie tęsknię do nich, Lanjelinie, o, nie, chcę zostać tutaj, gdzie ty jesteś. O innych też nie można powiedzieć, że tęsknią. Oni są jakby przez coś zmuszani, by chcieli tam pójść.

– Rozumiem. Bardzo mądrze to sformułowałaś, Fivrelde. Wiesz co, myślę, że oboje, ty i ja, powinniśmy odwiedzić mego przyjaciela Marca.

– O, o, och – szepnęła Fivrelde przejęta.

– Dolg, skąd wzięłaś tę śliczną panienkę? – rzekł Marco swoim najłagodniejszym głosem, kiedy zobaczył, kto siedzi na ramieniu przyjaciela.

Tym razem Dolgowi towarzyszył również Nero, pies i Fivrelde zostali przyjaciółmi od chwili, gdy tylko Dolg wyjaśnił Nerowi, że nie wolno witać się tak gwałtownie z tak małym stworzeniem. Marco i Nero byli przyjaciółmi od dawna, pies czuł się tu jak u siebie w domu, ułożył się więc na najlepszym dywanie, nie zwracając uwagi na to, o czym rozmawiają ludzie. Gdy Marco usłyszał, co Fivrelde miała do powiedzenia, natychmiast wezwał Rama, który znajdował się akurat w Sadze i dlatego dołączył do nich w ciągu niewielu minut.

– Bardzo interesujące – stwierdził Ram. – Czy wiesz, Marco, o co tu chodzi?

- Myślę, że wiem – odparł urodziwy książę. – Czy ty sam nie mówiłeś wczoraj, że w mieście nieprzystosowanych panuje dziwny niepokój?
- Owszem, zgadza się. Teraz jest już znacznie spokojniej, ponieważ przeprowadziliśmy oczyszczanie, mieliśmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Rozmawiałem jednak z kilkoma tamtejszymi mieszkańcami, twierdzą oni, iż niektórzy osadnicy chcą opuścić Królestwo. Jakby coś wzywało ich do Gór Czarnych. Obiecuję im się, że droga w góry jest bezpieczna.
- Zdaje mi się, że te same słowa słyszałem już wcześniej – rzekł Marco z ponurą miną. – Fivrelde, czy to nie w okolicy miasta nieprzystosowanych zniknęła twoja paskudna istota, kiedy opuściła wasz las? Musi się znajdować właśnie tam, bo tu do nas jeszcze nie dotarła.
- Ty z pewnością wiesz o tej istocie coś więcej, Marco – rzekł Dolg spokojnie. Marco westchnął.
- To możliwe. Znacie wszyscy rzymską boginię Famę, prawda?
- Inaczej Pogłoska – rzekł Dolg. – Ale przecież Fama to alegoria. Wymyślona bogini. Stworzyli ją poeci, Wergiliusz i Owidiusz.
- Tylko że teraz prawdopodobnie chodzi nie o Famę Rzymian, lecz o Feme Greków. O istotę z ludowych wierzeń, czyli bardziej prawdziwą niż Fama. Sami wiecie, że znamy różne istoty pochodzące z ludowych wierzeń, i traktujemy je jak naprawdę istniejące.
- No, nieźle – rzekł Ram sucho.
- Fama wędruje po niebie i rozsiewa wokół siebie najrozmaitsze pogłoski. Feme jest bardziej ostrożna. Wciska się do ludzkich myśli. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy tutaj mieli do czynienia z Feme. Dziękuję ci, Fivrelde – rzekł Marco i pogłodził delikatnie małą istotę po złocistych włosach. – Szczerze i serdecznie ci dziękujemy za okazaną czujność. Wiesz, kiedy owa zła istota zrobi co trzeba w mieście nieprzystosowanych, bez wątpienia przyjdzie tutaj do nas. Do stolicy i innych miast Królestwa Światłości.
- Nie odważyłabym się niczego powiedzieć, gdybym nie miała Lanjelina – szepnęła zawstydzona. – Właściwie w ogóle nie odważyłabym się zabrać głosu, ale my dwoje jesteśmy przyjaciółmi.
- Ram uśmiechnął się, ale natychmiast spowaźniał.
- Ta cała Feme jest prawdopodobnie wysłanniczką z Gór Czarnych, ma odmienić uczucia ludzi i innych istot. By ich przekonać, że mogą bezpiecznie przejść przez dolinę. Kiedy więc Gondagil oraz Niemcy mówią, że nie pamiętają, kiedy dowiedzieli się o przejściu – uważają, że musiało się to stać kiedyś w dzieciństwie – to mówią prawdę, a zarazem się mylą. Feme mogła do nich przyjść całkiem niedawno. A może kilka lat temu. Gondagil opowiadał przecież o wiedzy, którą, jak mu się zdawało, odziedziczył po swoim dziadku. Może dziadek słyszał o tym parę lat temu i przekazał pogłoski Gondagilowi, nie zdając sobie sprawy z tego, że sam dopiero co się o tym dowiedział. A może Gondagil słyszał wszystko sam. Sądzę, że Feme potrafi tak zamącić uczucia człowieka, że traci on poczucie czasu.
- Zapewne – rzekł Marco. – Czyżby to oznaczało, że Królestwo Światła jest cierniem w oku mieszkańców Gór Czarnych? Że chcą oni je zająć, a przynajmniej zniszczyć?

– To brzmi prawdopodobnie – odparł Ram. – W takim razie przekazuję wam trzem, znajdującym się na czarach, Marcowi, Dolgowi i Móriemu, prośbę, byście korzystając z pomocy Fivrelde spróbowali odnaleźć Feme i unieszkodliwić ją.

Wszyscy kiwali głowami. Chociaż wszyscy mieli różne zastrzeżenia. W jaki sposób można unieszkodliwić pogłoskę?

W drodze do domu Fivrelde była tak podniecona, że Dolg obawiał się, by nie dostała gorączki

– Och, i ja będę mogła być z wami – mówiła, jękając się. – Będę uczestniczyć w wypełnianiu zadania. To będzie moje drugie wielkie zadanie, prawda, Lanjelin?

Dolg zapewniał ją, że tak właśnie jest i że bez niej by sobie nie poradził.

Małeńka panienska była z dumy czerwona niczym różyczka.

– Tak, bo inne elfy o niczym nie wiedzą. One by ci nie pomogły, Lanjelinie, one o niczym nie wiedzą.

– No, no, nie trzeba być takim pewnym siebie – uśmiechnął się Dolg. – Jeszcze nie pojaliśmy Feme. Ale wspaniale będzie współpracować z tobą, znowu zrobić coś pożytecznego, prawda?

Fivrelde też tak uważała. Zgadzała się ze wszystkim, co mówił Dolg.

Dotarli do jego domu, który był wyraźnie mniejszy niż dom Marca. Dolg zapewniał ją, że taki właśnie chce mieć, ponieważ nie jest księciem, a Marco przewyższa go pod różnymi względami.

Wzrok Fivrelde mówił, że nikt pod żadnym względem nie przewyższa Lanjelina.

Dolg miał tyle do zrobienia, że podziękował małej za towarzystwo i poprosił, by powróciła do niego niedługo. Zapewniał, że było mu bardzo miło gościć ją tutaj.

Elfy nie mają poczucia czasu, nie znają w ogóle takiego pojęcia. Nim minęła godzina, mała panienska wróciła do Dolga.

21

Jori i jego towarzysze, zostali przedstawieni dwóm odbywającym kwarantannę paniom. Obie przybyły dopiero co tutaj z Ziemi i Jori dopytywał się zaciekawiony, co tam słychać.

– Niedobrze – odparła bardzo kulturalna pani imieniem Oriana. – Nieprzerwanie podejmowane są rozpaczliwe próby naprawienia poprzednich błędów, ale to wciąż oznacza tę samą walkę z ludźmi żadnymi zysku. Pieniądze przeciwko środowisku. A wiadomo, kto zazwyczaj w tej konkurencji wygrywa. Ale niedługo będzie za późno, naprawdę niedługo!

Paula i Oriana dowiedziały się, że przebywają na kwarantannie w krainie znajdującej się poza możliwością pojmania zwyczajnych ludzi. Kenta nie widziały ostatnio, domyślały się jednak, że wszczynął awantury i został odizolowany. Oriana miała wrażenie, że słyszała histeryczne wrzaski, docierające z jakiegoś odległego pokoju, i nie wątpiła, że tam właśnie znajdował się Kent. Zawsze, kiedy nie panował nad sytuacją, wściekał się na innych. Teraz obie kobiety mogły już zakończyć kwarantannę.

– Wojna? – pytał Jori.

Kąciki ust Oriany opadły na moment.

– A kiedy tam nie ma wojny? Po wydarzeniach roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego, kiedy nastąpiło odprężenie, wszyscy mieli nadzieję na szczęśliwą

przyszłość, ale niestety każde dziesięciolecie, właściwie każdy rok, upływało pod znakiem wojny w jakimś miejscu na świecie. Gdyby tylko udało się zakończyć wojny religijne, byłoby dużo spokojniej. Pozostałyby jednak wojny etniczne... A jak jest w tym kraju?

– Tutaj nie ma wojen – odparł Jori.

– Och, to pięknie!

– Ale mamy, niestety, Ciemność... Czyli krainę, leżącą po tamtej stronie... Na szczęście nie musicie tam chodzić – dodał, rzucając pospieszne spojrzenie na swoich towarzyszy.

– Zresztą o wszystkim dowiecie się później.

Paula nie miała czasu go słuchać. Po pierwsze, żałowała, że to nie ona nosi takie wspaniałe imię jak Oriana, powinny by się chyba zamienić imionami, myślała rozgoryczona, bo Paula to brzmi okropnie staroświecko, natomiast Oriana...

Po drugie, wpatrywała się jak zaczarowana w dwóch milczących towarzyszy Joriego. Wahala się nieustannie, którego woli. Niesłychanie seksowny faun wyglądał dokładnie tak, jak istota z jej snów, ale teraz, kiedy miała go nareszcie w zasięgu wzroku, ogarniała ją wątpliwość. Zresztą i tak nie mogli się do siebie zbliżyć, ponieważ oddzielała ich barierka. Żeby trzymać różne bakterie z daleka od siebie, zażartowała jedna z kobiet pracujących na stacji.

Wszyscy tutaj byli bardzo życzliwi. Ciekawe byłoby zobaczyć, jak też jest poza stacją. Do jakiego to kraju obie się dostały. Paula niezupełnie pojmowała, gdzie się znajdują.

Tamten drugi mężczyzna, przystojny, podobny do wikinga... miał jeszcze kontynuować kwarantannę, jak słyszała, bo przybył z bardzo niebezpiecznych okolic.

Paula z łatwością mogłaby wyobrazić sobie spędzoną z nim noc, może nawet niejedną. Ale kiedy od czasu do czasu napotykała jego spojrzenie, nie znajdowała w nim odpowiedzi, patrzył na nią z zaciekawieniem, ale nie było w tym żadnych uczuć.

To już tamten wspaniały zielony wydawał się bardziej zainteresowany. Bez skrępowania przyjrzał się jej figurze, a potem równie nieskrępowany uśmiechnął się do niej. Był po prostu smakowity! Czy powinna się odważyć? Może jednak później.

O czym oni rozmawiają? Oriana zadawała tyle pytań. Musi być potwornie inteligentna. A może Paula powinna teraz zademonstrować swoje ponadnaturalne zdolności? By wzbudzić zainteresowanie panów.

Nieoczekiwanie dwie pielęgniarki przeprowadziły obok nich Kenta, który szarpał się i stawiał opór. Syknął do Oriany:

– Nie myśl, że z tobą skończyłem! Muszę dostać swoje pieniądze, nie odbierzesz mi ich!

Oriana przymknęła oczy i mruknęła:

– Pieniądze? Tutaj? Co ty sobie wyobrażasz? Pieniądze są w banku. Nigdy więcej ich nie dotkniemy i niech tak będzie. Koniec z pieniędzmi, a przede wszystkim z małżeństwem!

Nareszcie Gondagil także zakończył kwarantannę.

Ubrany w nowe rzeczy, które przypominały jego dawne, ponieważ w takich czuł się najlepiej, wyszedł na słońce.

Wszystko było tak bezgranicznie piękne, że aż ścisnęło go w gardle. Mój lud, myślał, a serce krajało mu się z rozpacz. Timonowy lud z Doliny Mgieł... Dlaczego, dlaczego oni muszą żyć w takich upokarzających warunkach, w wiecznej ciemności, skoro tak blisko istnieje Królestwo Światła?

Ale przecież znał odpowiedź. Najpierw trzeba przynieść jasną wodę ze źródła dobra znajdującego się w Górach Czarnych. Zanim się tego nie zrobi, święte Słońce nie może oświetlać większych obszarów tutaj wokół środka Ziemi, doprowadziłoby to bowiem do katastrofy.

Teraz Gondagil miał już za sobą pobyt w Górach Śmierci. Wiedział, jakie się tam czają niebezpieczeństwa, przynajmniej na krańcach rozległego terytorium. Nie odczuwał jednak żadnego lęku, może wybrać się tam ponownie. Jeśli tylko będzie mógł dać Słońce Waregom i innym plemionom, podejmie się wszystkiego.

Szczerze powiedziawszy, gnębiły go wyrzuty sumienia, że dopisało mu szczęście i mógł przyjść tutaj, podczas gdy tamci... Nie, cierpieli to może nieodpowiednie słowo, ale musieli walczyć o istnienie w półmroku, żyć w Wiecznej Nocy.

– Gondagil!

Na dźwięk tego radosnego głosu wszystkie ponure myśli ulotniły się natychmiast. Czuł, że zalewa go fala radości.

Miranda biegła w jego stronę, ale nieoczekiwanie zatrzymała się w pewnej odległości. Widział, jaka się nagle zrobiła nieśmiała.

On odczuwał to samo. Co innego rozmawiać przez telefon, a zupełnie co innego stanąć tak twarzą w twarz z osobą, o której się od dawna myślało dniem i nocą. Tak, bo dla Gondagila minęło wiele czasu. Tęsknił za Mirandą dwanaście razy dłużej niż ona za nim. Na niej także rozłąka pozostawiła ślady. Właściwie nigdy przez telefon nie rozmawiali o miłości, omijali ten temat, chociaż w ich słowach było tyle oddania i tęsknoty.

I teraz stoją oto naprzeciwko siebie. Ale żadne nie jest w stanie nic wykrztusić.

Chciałbym ją wziąć w ramiona, myślał Gondagil. Ale odwaga, którą okazałem w Górach Czarnych, teraz gdzieś się ulotniła. A jeśli ona mnie odepchnie? Jeśli będzie mnie unikać, może nie otwarcie, nie w widoczny sposób, ale tak, że to odczuję? Teraz bym tego nie zniósł!

Miranda dostrzegła jego wahania i uśmiech na jej wargach zbladł. Musiała się zmuszać, by wyglądać na po prostu uradowaną.

– Witaj w Królestwie Światła, Gondagilu! Czy... czujesz się dobrze?

– Oczywiście – odparł zdumiony, jak ochryple brzmi jego głos. Znowu ogarnął go gniew, że tracą czas na jakieś nic nie znaczące słowa, ale nie był w stanie zachowywać się inaczej.

Miranda powiedziała:

– Mam tutaj swoją gondolę. To znaczy, nie swoją, oczywiście, pożyczyłam od taty. Indra i on czekają w domu i bardzo chcą cię poznać, poczynili już przygotowania...

Przerwała potok niepotrzebnych słów. Gondagil wiedział przecież o wszystkim, nieustannie rozmawiali o tym przez telefon. Że dostanie własny dom niedaleko miasta Saga, w pobliżu indiańskich osad, Miranda miała nadzieję, że z pewnością polubi Oko Nocy, a poza tym Tsi-Tsungga mieszka w pobliskim lesie, więc nie zabraknie

Gondagilowi przyjaciół. Najpierw tylko zostanie przedstawiony rodzinie i przyjaciołom Mirandy.

Szli obok siebie w stronę gondoli.

– Jaki jesteś piękny – rzekła Miranda. Obecność Gondagila bardzo na nią działała, z całą siłą uświadamiała sobie, jaki jest wysoki, potężny i jak bardzo ją pociąga. – Chodzi mi o ubranie. Jest prawie takie samo jak stare, ale to jest... – Już chciała powiedzieć „czystsze”, ale w porę się spostrzegła i wykrztusiła: – z... innego materiału.

– Tak.

Pachniał też bardzo przyjemnie, a jego włosy lśniły w słońcu jak złoto, silne, nagie ramiona budziły zaufanie. Zachował jednak trochę własnego męskiego zapachu, stwierdziła Miranda zadowolona.

Gondagil niósł łuk i wszystko, co posiadał. Złożył rzeczy w gondoli, jak zauważył, zupełnie innego typu niż gondola Tsi. Ta była większa, można by ją nazwać pojazdem rodzinnym. Zastanawiał się, czy Miranda potrafi kierować pojazdem, ale oczywiście umiała. Ogarnęła go wielka ochota, by samemu spróbować.

Miranda chyba to zauważyła, ponieważ bez słowa wskazała mu miejsce przy kierownicy.

– Prowadziłeś przecież gondolę Tsi – rzekła lekko.

– Prowadziłem, ale ta jest zupełnie inna – rzekł z wahaniem, mimo to zajął proponowane mu miejsce. Tak więc wahanie nie było chyba całkiem poważne.

Jacy byli sztywni i jak niezdarnie się zachowywali! Obojgu sprawiało to przykrość, ale nie potrafili przełamać niewidzialnego muru. Szczerze mówiąc, spotkali się przedtem zaledwie dwukrotnie, i to zawsze w dramatycznych okolicznościach. Czasami niebezpieczne wydarzenia mogą stwarzać pewien typ romantycznego nastroju pomiędzy dwójgim ludzi, pomyślała Miranda z goryczą. Czy w naszym przypadku tak właśnie było? Czy to napięcie płynęło z zewnątrz? Czy uczucia wygasły, gdy nastąpiły zwyczajne, spokojne dni?

Spojrzała na Gondagila, na jego wyrazisty profil, i wiedziała, że tak nie jest. Kochała go tak bardzo, że sprawiało jej to ból. Nie była tylko w stanie do niego dotrzeć. Miranda nie miała doświadczenia w miłosnych kontaktach, nie wiedziała, jak powinna się teraz zachowywać. Zwłaszcza że Gondagil wyglądał na rozgniewanego.

Po paru próbach i przy dyskretnych wskazówkach Mirandy Gondagil zdołał wystartować, wznieśli się w powietrze. Pojazd był bardzo ładny, wewnątrz obito złocistą, grubą i miękką tkaniną.

Miranda usiadła obok ukochanego, ale miała wrażenie, że znajduje się o milę stąd.

Pokazywała i objaśniała mu okolice. Stolica, piękne, białe miasto z wysokimi wieżami. Liściaste lasy elfów, rozległe, ciągnące się pośród gór i dolin. Idylliczne małe wioski, takie piękne, że miało się ochotę tam wylądować. Zaproponowała, by polecieeli nad Starą Twierdzą, widok zafascynował Gondagila. Potem odwiedzili też miasto nieprzystosowanych, które go przestraszyło, nie pasowało do Królestwa Światłości ze swoimi brzydkimi czworokątnymi domami.

Gondagil siedział milczący i spoglądał na wzgórze mieniające się różnobarwnymi kwiatami, na Złocistą Rzekę wijącą się pomiędzy wzgórzami. Patrzył na jeziora, w których romantyczne wierzby płaczące zanurzały gałęzie...

Miranda widziała, że Gondagil cierpi, i to sprawiało jej ból. Chciała go ucieszyć, a nie sprawić, by stał się markotny i przygnębiony.

– O co chodzi, Gondagilu? – zapytała cicho.

On westchnął głęboko i przesunął dłonią po tablicy rozdzielczej.

– Nie należę do tego wszystkiego – rzekł gniewnie. – Jestem dzikusiem, który do tego nie pasuje. Spójrz na swoje ubranie! Takie lekkie, takie jasne i piękne, nawet pracownice stacji, w której odbywałem kwarantannę, wyglądały jak anioły, natomiast ze mnie pod prysznicem spływała czarna woda. Jedzenie też przygotowuje się tutaj zbyt smakowite, nawet nie wiem, jak należy to jeść, a teraz, kiedy mam spotkać twego ojca i siostrę, i wszystkich twoich wykształconych, wspaniałych przyjaciół, czuję się jak idiota!

Miranda włączyła automatycznego pilota i popatrzyła na Gondagila surowo.

– Wszystko można o tobie powiedzieć, tylko nie to, że jesteś idiota, Gondagilu!

Zauważyła, że on nie odrywa oczu od jej cieniutkiego, jasnego rękawa bluzki. Uniósł rękę, jakby chciał dotknąć materii, ale zaraz cofnął ją ze złością.

– A moi współplemieńcy? Mieszkają w tej strasznej krainie, gdzie każdego dnia, każdej godziny muszą walczyć o życie. Szczerze mówiąc, to ja ich zdradziłem, oni wszyscy powinni zobaczyć to tutaj, powinni otrzymać Światło...

Miranda wiedziała, że gondola z niczym się nie zderzy. Została wyposażona w radar i jak nietoperz unikała wszelkich przeszkód. Dlatego dziewczyna mogła skoncentrować się na rozmowie z Gondagilem, który nawet nie zauważył, że gondola porusza się bez ich pomocy.

– Czy myślisz, że nie przeżywalismy tego samego po przybyciu do Królestwa Światła? – zapytała cicho. – Poczucie winy z powodu przeżyć w tym raju jest udziałem wszystkich. A także skrupowanie wobec nowych, pięknych i bezbłędnie działających urządzeń. Nie wyobrażaj sobie, że życie na powierzchni Ziemi było idyllą! O, nie, wprost przeciwnie. Czuli na policzkach powiew wiatru. Tylko że to nie był wiatr, lecz powietrze poruszane przez szybko mknącą gondolę. Miranda nie zastanawiała się, dokąd pojazd zmierza, mogli długo tak krążyć, przez nikogo nie niepokojeni. Gondagil zrobił ruch, jakby chciał ująć kierownicę, ale ona bez słowa potrząsnęła głową.

Patrzył na nią wciąż tym samym wzrokiem, gniewny i niezdecydowany.

– Czy to prawda, że też byliście niepewni, kiedyście tutaj przyszli? Zachowujecie się tak swobodnie.

– Oczywiście, że byliśmy niepewni! Wszyscy, jak jeden. No, może z wyjątkiem Obcych, ale ich pochodzenia nikt nie zna. Wielu, którzy tutaj przybywają, myśli, że umarli i znaleźli się w raju. Inni sądzą, że trwają w jakimś absurdalnym śnie. Potrzeba czasu, żeby się zaaklimatyzować, Gondagilu, naprawdę nie ty jeden masz takie kłopoty. I pamiętaj, Strażnicy wpuszczają do środka tylko tych, którzy są tego warci!

– Ja dostałem się tutaj podstępem.

– Ale zostałeś wysłany na kwarantannę – odparła Miranda spokojnie. – Gdyby cię nie uznali za godnego, nigdy byś tam nie trafił.

Przeszła na tył gondoli, która nadal poruszała się sama. Gondagil pośpieszył za nią, usiadł na wyłożonej dywanem podłodze, oparli się wygodnie. On był wciąż milkiwy, oszołomiony i bezradny.

Ponieważ przez dłuższy czas się nie odzywał, siedział po prostu i spoglądał w dół na piękne pola pod nimi, Miranda zapytała cicho:

– Żałujesz?

Gondagil drgnął.

– Co? Czy żałuję? Nie, coś ty! Jestem tylko taki...

– Ja wiem – przerwała mu. – Nie musisz niczego tłumaczyć. Przecież ty i ja zawsze wyczuwamy nastrój drugiego, prawda?

– Owszem – przyznał głucho.

Ale to nie do końca była prawda. Akurat teraz żadne z nich nie wiedziało, co czuje drugie ani co się stało z dawnym zauroczeniem.

Znowu zaległo milczenie. Gondagil wsłuchiwał się w szum pojazdu i powoli spływał na niego spokój. Nikt ich tutaj nie widział. Byli wolni niczym orły, nikogo nie obchodziło, co widzą albo robią, ich też nikt nie obchodził. Panowała wszechogarniająca cisza.

Ja nigdy nie wykażę inicjatywy, myślała Miranda. Nigdy w życiu, to nie w moim stylu. To on powinien zburzyć ten mur, ale skoro nie chce, to niech tak będzie.

Indra poradziłaby sobie z tym znakomicie. Berengaria również, ponieważ ona zawsze robi, co chce. Natomiast Elena nie, jest na to zbyt niepewna siebie...

Jak to dobrze, że nie ma wśród nas żadnej Bodil! Uff, Bodil, nie, nawet nie mogę myśleć o tym, co ona by tu wyprawiała!

Ale ja? Myślę, że jeśli o to chodzi, jestem dość staroświecka. Chcę być zdobywana, a nie zdobywać. Poza tym myślę, że Gondagil też tak chce. Jest bardzo dumnym mężczyzną, a ostatnie dni nadwerężyły trochę jego godność i spokój. Nie panuje jeszcze nad nową sytuacją. Gdybym ja podjęła inicjatywę zbliżenia, mogłabym wszystko popsuć.

O, jak bardzo miłość może zmienić człowieka! Ja, która nigdy się niczego nie lękałam, gdy chodziło o ochronę środowiska lub zwierząt, mogłam iść na czele demonstracji, mogłam wzniesić bunt, siedzę teraz kompletnie onieśmielona i bezradna.

Muszę czekać. Ale to nie będzie łatwe. On jest taki piękny i pociągający, Kocham go bardziej niż kiedykolwiek.

Ale dlaczego on nie reaguje? Czy jest rozczarowany ponownym spotkaniem?

Bardzo trudne pytania.

Gondagil czuł niepokój w całym ciele i wiedział, że musi nad tym panować. Miranda była teraz zupełnie inna, jakby nie bardzo zadowolona z tego, że do niej przyszedł. Jej piękne, zwiewne ubranie czyniło z niej delikatną, śliczną istotę. Sukienkę miała tak krótką, że widział jej opalone uda. Miała naprawdę cudownie piękne nogi, za każdym razem kiedy na nie spoglądał, przenikała go fala gorąca. Była taka apetyczna, a on nie miał odwagi jej dotknąć, nie zrobiłby tego, nawet gdyby krążyli w tej gondoli sami przez całą wieczność. Bo w tym dziwnym locie był jakiś element wieczności.

Znajdował się oto w Królestwie Światła. Kiedy spoglądał w górę, w to łagodne, złociste światło, wydawało mu się, że zaraz pęknie mu serce. Z pewnością ze szczęścia, nie był w stanie go ogarnąć, więc szczęście mieszało się ze smutkiem i żalem. Wszystko, co go otaczało, było zbyt piękne dla kogoś, kto żył w zimnym uścisku ciągłego mroku, w strachu i śmiertelnym niebezpieczeństwie. Potrzebował czasu, żeby przyjąć całe otaczające go teraz piękno.

Nagle Miranda powiedziała coś, co go bardzo ucieszyło:

– Czy pamiętasz, co mówiłeś kiedyś, kiedy Haram zachowywał się nieprzyzwoicie? Mówiłeś tak: „Nie jesteśmy barbarzyńcami, Haram!”. I natychmiast wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Jesteś człowiekiem o wrodzonej kulturze, której nie można ci odebrać, nie zniszczyło jej w tobie nawet to prymitywne życie, które byłeś zmuszony prowadzić. Czy myślisz, że Jori i Tsi tego nie zauważyli? Albo Marco i Ram oraz Rok, nie mówiąc już o Obcym, Strażniku Słońca? Nie masz się czego obawiać ze strony mieszkańców Królestwa Światła, oni są obdarzeni szerokimi horyzontami i pełni wyrozumiałości. Co innego, jeśli chodzi o miasto nieprzystosowanych. Ale tam nie musimy jeździć, jeśli nie będziesz chciał.

My. Powiedziała my, a nie ty. Lodowy pancerz Gondagila zaczął topnieć. Spokój, ciepło i to łagodne światło zrobiły swoje.

Nie mógł już dłużej zapanować nad ciekawością. Wyciągnął rękę i dotknął zwiewnego rękawa Mirandy. Materiał zniknął prawie w jego palcach, taki był cieniutki.

Gondagil westchnął ciężko.

Miranda uśmiechnęła się.

– To jest materiał przypominający jedwab. Nie jesteśmy na tyle okrutni, by wykorzystywać larwy jedwabników do produkcji włókna, bo one giną podczas tego procesu. Żadne zwierzęta nie umierają tutaj dla naszej wygody. Nie jadamy też mięsa. Te drobiowe wędliny, które jadłeś, a także mięso, którym karmiono cię podczas kwarantanny, to syntetyczne produkty. Lemurowie są ekspertami w tego rodzaju sprawach, byli zmuszeni się tego nauczyć, bo kiedy tutaj przybyli, nie mieli żadnych zwierząt. Później owszem, ale to było bardzo dawno temu, Obcy sprowadzili różne pożyteczne zwierzęta, natomiast dzikie zwierzęta same znalazły drogę tutaj z powierzchni Ziemi.

Gondagil wskazał na łąkę w dole, gdzie pasły się krowy i owce.

– Tak, widzę, że macie domowy inwentarz. One z pewnością zapewniłyby wam pod dostatkiem mięsa?

– Nie, to niemożliwe. Wykorzystujemy mleko, wełnę, jajka i tak dalej. To znaczy produkty zwierzęce. Ale nie zabijamy samych zwierząt, by je zjadać. To stadium zostawiliśmy już daleko za sobą. Zwierzęta są naszymi przyjaciółmi, Gondagilu.

Gondagil zamyślił się i nie odpowiadał.

– Co się stało, Gondagilu? Wyglądasz jakoś tęsknie.

– Mówisz o zwierzętach, które same znalazły tutaj drogę z powierzchni Ziemi. Ale nie wszystkie dotarły do Królestwa Światła. Tak samo jak mój lud, różne gatunki zwierząt miały pecha i dotarły do Królestwa Ciemności.

– Myślisz o...?

– Tak, o świętych zwierzętach. One powinny dostać się tutaj. I żyć w bezpieczeństwie.

– Wielkie jelenie, oczywiście! – zawołała Miranda z entuzjazmem. – Gondagilu, my je tutaj sprowadzimy!

Zaraził się jej zapalem. Co tam mur, co tam bestie i wszelkie niebezpieczeństwa, akurat teraz widzieli tylko sukces. Megaceros wspaniale by pasował do Królestwa Światła.

Radość z tego, co postanowili, ponownie ich połączyła. Gondagil patrzył w roześmiane oczy Mirandy i poczuł ciepło w sercu. Teraz ona znowu jest moja, pomyślał.

Krew pulsowała w nim z tęsknoty. Nie tylko za tym, by ją zdobyć, lecz także za tym, by się nią opiekować, ochraniać ją, przytulać czule do siebie, czuć, że ona jest jego kobietą, oddaną i kochającą.

– Oj – jęknęła Miranda, spoglądając w dół. – Tam znajduje się Saga. Jesteśmy w domu, lądujemy?

Nie, pomyślał, zamykając oczy. Nie, najpierw muszę cię wziąć w ramiona, pragnę kochać się z tobą tutaj w górze, w tym cudownym świetle, muszę ugasić głód mego ciała.

Nagle zobaczył przed sobą Harama, przypomniał sobie, jak tamten brał swoje kobiety gdzie popadło i kiedy popadło, a potem spojrzał na tę śliczną istotę z rozjaśnioną twarzą i stłumił w sobie pożądanie, nie zdobył się na tyle odwagi. Jeszcze nie teraz. Najpierw musi pozbyć się wspomnienia Harama, musi wyrzucić z pamięci wszystkie obrazy jego chutliwych uścisków i szklanych, zmęczonych rozkoszą oczu kobiet.

Przeklęty Haram! Nawet po śmierci budzi wstęt w Gondagilu i potrafi zbezczęścić obraz pojednania z Mirandą.

– Tak. Lądujemy – rzekł lekko zdławionym głosem.

Właśnie wtedy Miranda odkryła i w jego głosie, i w wyrazie twarzy wielką tęsknotę. Ale było już za późno.

22

– Wspaniały – powiedziała Indra, gdy Gondagil został przedstawiony rodzinie. – Absolutnie wspaniały! Ojciec też go polubił. Sama chciałabym znaleźć się poza murami i sprowadzić sobie kogoś takiego!

– Ale ty mi go nie uwiedziesz? – rzekła Miranda spłoszona.

– Zwariowałaś? Ja nie jestem Bodil. Nie uwodzę kawalerów własnej siostry, zresztą u niego nie mam szans. Kompletnie stracił dla ciebie głowę!

Miranda zarumieniła się.

– Chyba nie.

– Nie? Myślisz, że nie wiem, jak się zachowuje mężczyzna, który chciałby znaleźć się ze swoją wybranką w najbliższym łóżku? A właśnie, jaki on jest jako kochanek?

– Niestety, nie mam pojęcia.

– Więc wy nie...? No dobrze, nic nie jest takie męczące dla obserwatorów, jak zakochana para i jak obściskująca się para. Potrzymaj go jeszcze jakiś czas, to rezultaty będą gorętsze.

Miranda była wdzięczna, że panowie wyszli do nich na taras.

Gabriel zaproponował, że odprowadzi Gondagila do jego nowego domu.

Nie, nie, Miranda nie musi się fatygować, jest z pewnością zmęczona, więc powinna odpocząć.

Miranda musiała się zadowolić gorącym, tęsknym spojrzeniem Gondagila.

– Powinnaś była wytłumaczyć ojcu – powiedziała Indra, kiedy mężczyźni odeszli. – Ale on z pewnością chciał dobrze, więc nie mogłam mu powiedzieć, że zachowuje się jak słoń w składzie porcelany.

– Dziękuję ci, Indro – mruknęła Miranda. – Jesteś najlepszą siostrą, jaka mogła mi się trafić.

– Myślę, że bardzo się do siebie zbliżyliśmy tutaj w Królestwie Światła – przytaknęła Indra. – Na Ziemi żyliśmy bardziej każda swoim życiem.

– Tak, to prawda.

W tym momencie wrócił Gabriel.

– Zapomniałem ci powiedzieć, Mirando, że Ram chce rozmawiać z Gondagilem i z tobą. Czeka na was po południu w pałacu Marca.

Dzień zapowiadał się więc znowu radośnie. Miranda westchnęła przejęta, zobaczy go znowu, i to już wkrótce!

– A dla mnie tam nie będzie miejsca? – zapytała Indra zaczepnie.

Gabriel uśmiechnął się.

– Możesz się tam wślizgnąć podstępem. Tak, żeby cię nikt nie zauważył.

– Żeby mnie nikt nie zauważył? – roześmiała się Indra, udając obrażoną. – Nie może tak być, kiedy tylko się pojawię, wszystkie oczy zwrócą się na mnie.

– Chodź z nami – zaproponowała Miranda ciepło. – Będiesz mnie wspierać.

Indra przyjęła to szczerym, serdecznym śmiechem.

W wytwornej rezydencji Marca zebrali się wszyscy „wielcy”. Ram, rzecz jasna, Rok i Talornin, Strażnik Słońca, Móri i Dolg. Miranda zdążyła przywitać się z Gondagilem i zapytać, jak mu się podoba jego nowy dom. Owszem, wszystko jest wspaniałe, Miranda musi przyjść i zobaczyć. Chętnie, zgodziła się Miranda, ale udało im się zamienić jeszcze tylko parę słów.

Wszyscy usiedli wokół dużego stołu. Gondagil został przedstawiony tym, którzy go jeszcze nie widzieli, witano go serdecznie. W chwilę potem przyszli spóźnialscy, Jori i Tsi-Tsungga, ten ostatni z Czikiem na ramieniu. Zjawił się także Nataniel. Wszyscy oni byli na zewnątrz, w Królestwie Ciemności, myślała Miranda, z wyjątkiem Indry i Nataniela. Móri i Dolg też nie wychodzili poza mur. Co w takim razie tutaj robią?

Wkrótce miała się tego dowiedzieć.

Gondagil siedział naprzeciwko niej, mogli więc patrzeć na siebie do woli i nie szczędzili sobie tego. Marco powitał zebranych, a kiedy umilkł na chwilę, Tsi wykrzyknął:

– Ależ Fivrelde, ty też tutaj jesteś?

– To ty ją widzisz? – uśmiechnął się Dolg.

– Oczywiście, siedzi na twoim ramieniu, tak jak Cziki na moim.

Miranda nie widziała niczego.

– To Fivrelde jest powodem, dla którego się tutaj zebraliśmy – rzekł Marco i poprosił Dolga, by wyjaśnił, co zaobserwowała mała panienska z rodu elfów.

– Czy nie moglibyśmy jej zobaczyć? – poprosiła Indra.

– Nie wiem – odparł Dolg. – Czy to możliwe? Niektórzy z was pewnie widzą, ale...

– Zaraz to umożliwię wszystkim – rzekł Marco spokojnie i wyciągnął rękę, dotykając palcami czegoś na ramieniu Dolga. Powoli wyłoniła się z nicości niezwykle czarująca panienska, zarumieniła się ślicznie i kłaniała z promiennym uśmiechem.

– Nie wiedziałem, że wy się znacie?

– Ja znam w lesie elfów każdą panienkę – zachichotał Tsi-Tsungga. – Tylko nie wolno mi ich dotykać. Mam na myśli te duże.

Zauważył, że się zagalopował, i umilkł.

– No więc chodzi o to – zaczął Ram – że prosiłem właśnie Dolga i Fivrelde, by razem z Markiem i Mórím ustalili, gdzie się teraz znajduje Feme. Uczynili to bez trudu, nic nie wskazuje na to, że miałyby opuścić miasto nieprzystosowanych. Ale wiedzieć, gdzie ona mniej więcej przebywa, to jedna sprawa Czymś zupełnie innym jest ją zobaczyć, a już całkiem specjalne zadanie, to unieszkodliwić ją. Marco i jego przyjaciele proszą o pomoc, ponieważ chcą ją okrążyć. A do tego potrzeba wielu, ponieważ Feme jest gładka i śliska niczym węgorz, potrafi się wymknąć z najbardziej przemyślnej pułapki. Mamy tutaj cały oddział Strażników oraz ochotników, którzy otoczą miasto nieprzystosowanych, podczas gdy wy, wybrani, wejdziecie do miasta i odszukacie ją. Niektórzy z was będą musieli porozmawiać z mieszkańcami i wyjaśniać pogłoski na temat, jakoby istniała bezpieczna droga do Gór Czarnych. Pamiętajcie, że Feme jest samą Pogłoską. Najlepszym sposobem rozbrojenia jej jest sprawić, by nikt w nią nie wierzył. A teraz mamy przecież wielu świadków, którzy potwierdzają, że droga w góry jest śmiertelną pułapką. Tsi-Tsungga, ty nie możesz chodzić do miasta nieprzystosowanych, to by się mogło źle skończyć, bo tam nie tolerują nikogo, kto się wyróżnia z tłumu...

– Ale ja też chcę brać udział w akcji!

– Oczywiście, że weźmiesz udział, jesteś przecież jednym ze świadków tego, co się wydarzyło w Górach Czarnych. Ty i Fivrelde musicie natychmiast wyruszyć do lasu elfów i wyjaśniać pogłoski o tym, co czeka śmiałków w Górach Śmierci.

– Ale Lanjelin i ja... – zapiszczała Fivrelde.

– Ja wiem. Później. Będziecie mieli dość czasu. To bardzo poważne zadanie, Fivrelde, ty i Tsi-Tsungga zostaliście specjalnie wybrani. Kiedy będziecie już pewni, że wszyscy mieszkańcy lasu elfów pojęli powagę sytuacji i nikt nie tęskni do Gór Czarnych, również powrócicie do miasta nieprzystosowanych, gdzie zadanie będzie dużo trudniejsze i zabierze więcej czasu. Potem będziesz mogła przebywać z Dolgiem Lanjelinem, jak długo zechcesz.

Dolg nawet drgnięciem powieki nie zdradził, co o tym myśli. Fivrelde natomiast nie ukrywała swoich uczuć.

– Chodź, ruszamy natychmiast – powiedział Tsi do panienki. – Im szybciej skończymy, tym szybciej będziemy z powrotem.

– Tylko żadnego oszukiwania! – zawołał za nimi Ram. Wiedzieli jednak, że żartuje. Fivrelde ruszyła z zapalem w ślad za Tsi, cmoknąwszy Dolga na pożegnanie w policzek. Syn czarnoksiężnika sprawiał wrażenie zawstydzonego.

Wtedy Ram zwrócił się do reszty zebranych i przydzielił im zadania. Strażnik Słońca i Talornin mieli zająć się innymi obszarami królestwa, nie powinni pokazywać się w mieście nieprzystosowanych. Ponieważ jednak potrzeba było wielu, by zatrzymać Feme w osadzie, wysłano tam również kobiety. Miranda, Indra i Elena, Taran, Danielle, Tiril... wszystkie, które się zgłosiły.

– No dobrze, a jak zdołamy pochwycić tę Feme, skoro jej nie można zobaczyć ani przytrzymać? – zapytała Indra.

– Nie musicie jej łapać, to by się wam nie udało – odparł Ram. – Musicie tylko zawiadomić, gdyby zdołała wymknąć się z miasta. Zresztą pomożemy wam, będziecie mogli ją zobaczyć. Marco, zajmiesz się tym?

Książę Czarnych Sal wstał.

– W dniu, kiedy zbierzemy się, by okrążyć miasto nieprzystosowanych, przekażę wam wszystkim zdolność widzenia. Ale tylko na krótko. Dopóki Móri, Dolg i ja nie zdołamy jej unieszkodliwić. Wiemy już jak, ale o tym powiemy później.

Wyjaśnienia przyjęto z zadowoleniem i spotkanie dobiegło końca. Miranda miała jeszcze tylko gorącą prośbę:

– Ale poczekajcie na Fivrelde, bądźcie tak dobrzy!

– Oczywiście, że poczekamy – obiecał Dolg z uśmiechem.

Gondagil podszedł do Mirandy.

– Dokąd zamierzasz teraz pójść? – zapytał cicho.

Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, gdy władczy Talornin położył rękę na jej ramieniu.

Czuła płynącą z niej siłę i ciepło.

– Pozwolisz, Mirando, że zabiorę ci na chwilę Gondagila? Szczerze mówiąc, możesz wrócić do domu, bo zajmie nam to trochę czasu.

Popatrzyli po sobie tęsknie, Gondagil i ona. Ale nikt nie odmawia Talorninowi.

– Tak, naturalnie – powiedziała cierpko. – Dziękuję za dzisiejszy dzień!

No i tak się skończyło.

Kiedy nareszcie będziemy mogli ze sobą porozmawiać, zastanawiała się zrozpaczona.

Porozmawiać naprawdę, bez tego skrępowania, które odczuwaliśmy w gondoli. Kiedy będę mogła mu opowiedzieć...? Cierpliwość nie była największą cnotą Mirandy.

23

Samozwańcza czarownica Paula przebywała w Królestwie Światła od kilku dni i czuła się tu wspaniale. To naprawdę fantastyczna przygoda! Ci, których nazywano Lemurami, i ci jacyś Strażnicy, wszyscy tacy przystojni! Krótka przygoda z kimś takim...

Podniecające!

Tamtych dwóch z kwarantanny więcej nie widziała. Ani wikinga, ani fauna. Wszędzie jednak było mnóstwo innych bardzo męskich istot, naprawdę jest na co popatrzeć.

A przecież Paula wciąż jeszcze nie wiedziała, co naprawdę znajduje się w Królestwie Światła.

Nie widywała też Oriany. Oriane umieszczono w szpitalu, Paula pomyślała nawet, że chyba powinna ją odwiedzić. Ale szpitale są takie nieprzyjemne, takie sterylne. Nie ma w nich nic mistycznego. Poza tym całe dni miała wypełnione zwiedzaniem tego niezwykłego kraju.

Paula natychmiast przyjęła do wiadomości, że znajduje się w świecie istniejącym we wnętrzu jej dawnego świata, nie miała z tym żadnych problemów, zawsze przecież pociągały ją zjawiska ekstremalne.

Dzisiaj zamierzała pojechać do stolicy gondolą odbywającą tam regularne kursy. Chciała spędzić ten dzień jako zwyczajna mieszkanka. Sąsiadka mówiła, że w stolicy jest cukiernia z najpyszniejszymi ciastkami świata.

W godzinę później Paula mogła się osobiście o tym przekonać. O, jakie szczęście! Będzie tutaj przychodzić częściej.

Na ulicach nie było dużo ludzi, kobieta za ladą powiedziała, że większość udała się do miasta nieprzystosowanych jako ochotnicy czy coś takiego, Paula nie do końca pojęła, o czym tamta mówi.

Ale przy stoliku obok siedziała samotna dziewczyna, zwyczajny człowiek, nie żaden Lemur, i Paula zaczęła z nią rozmawiać.

Zaczęła łączyć w dobrym starym stylu.

– O, tak, to prawda – odparła z nonszalancją na zadane z wytrzeszczonymi oczyma pytanie. – To prawda, jestem jasnowidzem. Na świecie zewnętrznym często policja zasięgała u mnie rady.

Była to prawda, ale z pewnymi modyfikacjami. Paula miała w dalszej rodzinie komisarza policji, z nim rozmawiała o sprawach kryminalnych i w ogóle. To wszystko.

Paula zaczęła chwalić się swoimi zdolnościami, zaczęła je też prezentować, opowiadała, że widzi aurę dziewczyny, jakieś anioły i mistyczne znaki, a dziewczyna chciała się dowiedzieć więcej.

– Co tam – rzekła Paula lekko. – Nie ma czego ukrywać, właściwie jestem czarownicą. Prawdziwą czarownicą. Mam na imię Oriana.

Dziewczyna dopytywała się, jakiego rodzaju czarownicą Paula jest, bo przecież istnieje wiele różnych. Czarownice piaskowe, czarownice ziemne, czarownice morskie, czarownice od wiatru, ognia i tak dalej, a Paula patrzyła zdumiona, bo po raz pierwszy słyszała te nazwy. Może kiedyś czytała o czarownicach piaskowych, ale to brzmiało jakoś pospolicie. Sucho, szczerze powiedziawszy.

– Jestem czarownicą morza – rzekła swobodnie. – Mieszkałam nad morzem.

Uważała, że najlepiej zdecydować się właśnie na taką czarownicę, ponieważ tutaj, w Królestwie Światła, nie ma żadnego morza, tylko jeziora i rzeki, więc nikt nie będzie mógł niczego sprawdzić. Zorientowała się, że weszła na niepewny grunt, więc z ulgą przyjęła do wiadomości, że dziewczyna musi już iść. Ona również zgłosiła się jako ochotniczka na tę obławę, czy co to było, wokół miasta nieprzystosowanych.

Paula nie pojmowała, jak ktoś może chcieć mieszkać w tamtym mieście. Czy można źle się czuć w tym niewiarygodnie fascynującym kraju? Jest jak stworzony dla niej!

Siedziała jeszcze długo, piła kawę i zajadała się ciastkami.

Oriana nie czuła się tak dobrze. Szczerze mówiąc, akurat w tym momencie czuła się fatalnie.

Szpital był jasny i wesoły, a personel bardzo życzliwy. Zaprzyjaźniła się zwłaszcza z młodym kandydatem na lekarza imieniem Jaskari. Na razie Orianie robiono tylko badania, mogła więc wstawać i wychodzić, jeśli chciała. Jaskari często z nią rozmawiał, starał się jej objaśnić ten cudowny świat.

– Musisz poznać moją prababkę, księżnę Theresę – powiedział młody człowiek. – Macie bardzo wiele wspólnego. Obie posiadacie wrodzoną kulturę.

Oriana podziękowała mu za te słowa, ale zastanawiała się bardzo, jak to jest możliwe, że jego prababka nadal żyje. Ponadto Jaskari twierdził, iż Theresa wygląda jak

trzydziestopięciolatka i że Oriana również wkrótce tak będzie wyglądać. Udręczona Włoszka potrząsała ze smutkiem głową. Wiedziała bardzo dobrze, że nie ma już dla niej żadnej nadziei

Jaskari uśmiechał się.

– Rozmawiamy o tym, co uważasz za dziwne i niezwykle w Królestwie Światła, Oriano. Dlaczego więc nie chcesz wierzyć, że znowu będziesz zdrowa?

Spuściła wzrok, by ukryć łzy.

– Bardzo bym chciała – odparła. – Tak bardzo bym chciała żyć w tym raj, ale musiałby się zdarzyć cud!

– Zrobimy wszystko, co tylko można zrobić w szpitalu – rzekł Jaskari przyjaźnie. – A potrafimy sporo, możesz mi wierzyć! Jeśli jednak naszej wiedzy i umiejętności nie wystarczy, to możemy też sprawić cud. Czy nie słyszałaś jeszcze o Marcu? Ani o Dolgu i jego niezwykłym kamieniu? O niebieskim, czyniącym cuda klejnocie?

Na to Oriana nie chciała odpowiedzieć. Wołała nie ufać fałszywym nadziejom.

Tego wyjątkowego dnia, kiedy tak wielu zgromadziło się w okolicy miasta nieprzystosowanych, Oriana odebrała telefon. Dzwonił jej mąż, Kent, i na dźwięk jego głosu skuliła się instynktownie.

Poinformował ją, że jest właśnie z wizytą w stolicy. Szczerze mówiąc, znajduje się w szpitalu, ponieważ opiekunom nie podobał się stan jego zdrowia. Czy mogliby się spotkać? On nie jest już zły. Teraz, kiedy opuścili tamten świat i powodzi im się tak dobrze, mogliby odrzucić dawne urazy i rozstać się jak przyjaciele...

Oriana zwróciła uwagę na te ostatnie słowa. Gdyby powiedział, że chciałby spróbować od nowa zacząć wspólne życie, odmówiłaby natychmiast. Ale to „rozstać się jak przyjaciele” brzmiało sympatycznie i sprawiło, że się zgodziła.

Kent tłumaczył, że właściwie już dawno powinien był wrócić do swojej osady, więc nie mogą się spotkać w publicznym miejscu. Czy Oriana nie mogłaby zejść do niego do szpitalnej piwnicy? Wytłumaczył jej dokładnie, gdzie będzie na nią czekał. Czy mogłaby zjechać w dół windą?

Oriana poinformowała pielęgniarkę, że wychodzi na spacer.

– Świetnie, idź się przewietrzyć, ale pamiętaj, że za dwa dni masz operację, więc nie pozostawaj zbyt długo poza szpitalem.

Pielęgniarka odeszła do innego pacjenta.

Oriana poczekała, aż tamta zniknie jej z oczu, nie chciała bowiem zdradzić Kenta, chociaż tak bardzo go nie lubiła. Wzięła ze sobą telefon komórkowy, który zawsze musiała nosić, była przecież bardzo chora i w każdej chwili mogła potrzebować pomocy. Miała się kontaktować właśnie z doktorem Jaskarim. Nie był jeszcze do końca wykształconym lekarzem, zaledwie kandydatem, ale wszyscy nazywali go doktorem. Wprost urodził się na lekarza, tak przynajmniej uważano. Rosły, silny, budzący poczucie bezpieczeństwa, zawsze miał mnóstwo cierpliwości dla pacjentów. Inna sprawa, że on sam najchętniej zostałby weterynarzem i spędzał wiele czasu na świeżym powietrzu.

Oriana zjechała windą do piwnicy i poszła drogą, jaką wskazał jej Kent.

Sądziła, że znajdzie się w ciemnych i pustych pomieszczeniach, ale teraz szła po rzadko wprowadzie uczęszczanych, ale jasnych korytarzach pełnych rur i dziwnych maszyn.

Mimo wszystko powinna zachowywać się ostrożnie, skoro Kent pozostał w stolicy dłużej niż mógł.

W końcu zobaczyła męża. Choć najchętniej myślałaby o nim jako o byłym mężu.

– Kent, jak to miło z twojej strony, że chcesz się pogodzić – rzekła z chłodnym spokojem.

– Mimo wszystko byliśmy przecież małżeństwem przez wiele lat.

Jego twarz była nieprzenikniona. Jak mogłam kiedykolwiek kochać tego człowieka? myślała Oriana. Mój Boże, nie ma chyba nic bardziej martwego od umarłej miłości!

Objął ją i pociągnął w głąb korytarza. Zupełnie niepotrzebnie, ponieważ idąc tutaj nie spotkała żywego ducha.

Tam za rogiem, w jakiejś niszy, Kent położył przed nią papier.

– Tutaj. Podpisuj!

– Co mam podpisywać? – zapytała przestraszona jego lodowatym głosem.

– Że zanim umrzesz, anulujesz tamten idiotyczny testament.

Czy on musi się wyrażać tak brutalnie?

– Ale czemu to ma służyć? – zapytała Oriana. – Nigdy przecież nie wrócimy do zewnętrznego świata, czy ty tego nie rozumiesz? Kent, uspokój się, masz tu wszystko, czego potrzebujesz, na co ci pieniądze?

– Kto ci nawbijał do głowy tych głupstw? Skoro tutaj przyszliśmy, to możemy również stąd wyjść, to chyba proste. Jeśli masz wszystko, czego ci potrzeba, to nie istnieje żaden powód, byś nie oddała mi tego, na co czekałem przez wiele lat. Jak myślisz, dlaczego wytrzymałem tak długo ze starą makaroniarą, która jeszcze na dodatek zrobiła się brzydka? Spadek musi być mój, i tak się stanie, jeśli anulujesz tamten testament. Wtedy ja będę mógł zacząć nowe życie z młodszą i ładniejszą kobietą.

– Ona jest dla ciebie za młoda, prawdopodobnie wkrótce cię rzuci. Nie ośmieszaj się, Kent, to naprawdę niegodne! Masz pięćdziesiąt dwa lata. A ona... Ile ona ma lat? Dziewiętnaście?

Ścisnął ją jeszcze mocniej za ramię.

– Nie ma we mnie nic śmiesznego, dobrze o tym wiesz! Potrzebujemy pieniędzy.

– Panienska jest, zdaje się, kosztowna.

– Zamknij się! Pisz!

Oriana patrzyła na niego przestraszona. Choroba sprawiała, że czuła się potwornie zmęczona, te wszystkie badania i analizy, przez które tutaj przeszła... Była też zmęczona rozmową z tym człowiekiem, chciała po prostu spać. Jakie znaczenie ma kawałek papieru? Kent zdawał się nie pojmować, że nigdy stąd nie wyjdzie.

Bardzo by chciała, żeby zniknął. Wtedy wszystko byłoby idealnie.

Z westchnieniem ujęła pióro i napisała własne nazwisko na tym pozbawionym znaczenia papierze.

– Teraz jesteś zadowolony?

– Nie, nie całkiem.

– Muszę wracać, będą mnie szukać.

Kent mówił teraz łagodnym głosem.

– Nie sądź. Nie zamierzam ryzykować, że oni cię wyleczą i że wrócisz do normalnego świata. Chcę moje pieniądze wydawać w spokoju.

– Ale...

– Droga Oriano, podpisałaś właśnie swój wyrok śmierci.

Gwałtownie jedną ręką otoczył od tyłu jej szyję i mocno przycisnął.

Oriana zareagowała spontanicznie. Kiedyś przeszła kurs samoobrony i teraz wbiła mu mocno łokieć w bok. Kent jęknął i zwolnił uścisk na tyle, że mogła mu się wyrwać i uciec. Ale nie miała prawie wcale siły. Rozpaczliwie starała się przyspieszyć kroku, wkrótce uświadomiła sobie jednak, że nie zdoła mu uciec. Gorączkowo chwyciła telefon komórkowy i wciąż biegnąc wzywała Jaskariego. Telefon połączony był bezpośrednio z jego aparatem.

Kent deptał jej po piętach, nogi odmawiały jej posłuszeństwa, rozpaczkliwie wykrzykiwała jakieś oderwane słowa do słuchawki.

Kent jednym uderzeniem wytrącił jej aparat z ręki. Oriana z głośnym jękiem próbowała podnieść telefon z podłogi, ale Kent był od niej silniejszy i szybszy.

24

Mała Fivrelde wróciła do Dolga, kiedy ochotnicy zbierali się na łąkach w pobliżu miasta nieprzystosowanych.

– Udało nam się, Lanjelin – szczebiotała z daleka. – I otrzymaliśmy pochwałę! Od jednego z tych oślepiąco pięknych Obcych. On teraz rozmawia z Tsi-Tsunggą. Jak ci pomogę, Lanjelinie, także dostaniesz pochwałę.

– Dziękuję ci, moja przyjaciółko – rzekł Dolg sucho i wsadził ją do kieszeni na piersiach, gdzie umościła się bardzo zadowolona. – Rozmawialiście ze wszystkimi elfami i istotami natury?

– Oczywiście, i było to bardzo łatwe! Ja, to znaczy chciałam powiedzieć my, rozmawialiśmy z królem elfów, nie z tym z doliny Gjain, wiesz, bo on nadal jest tam, ale z tym tutaj z Królestwa Światła. Ostrzeżliśmy go przed tą okropną Feme, którą tylko ja widziałam, i on obiecał przekazać to swojemu ludowi i innym.

– Więc król elfów cię wysłuchał?

– Oczywiście – odparła z dumą. – No, to raczej... to znaczy Tsi-Tsungga rozmawiał, ale przecież ja wiedziałam, kim ona jest. To znaczy Feme.

– Wspaniale, Fivrelde! Teraz zobaczymy, jak tutaj sprawy się mają.

– Możesz być całkiem spokojny, Lanjelinie – rzekła Fivrelde z powagą. – Jestem przy tobie.

Podeszli do organizatorów poszukiwań, zgromadzonych wokół Marca.

Była tam też Miranda, a Gondagil stał za nią z dłońmi na jej ramionach. Dawało jej to zupełnie dotychczas nieznaną poczucie bezpieczeństwa. Pragnęła, aby te tłumy ludzi i innych istot zabrały się stąd jak najszybciej.

Uprzejmie jednak słuchała, co mówiono.

Marco trzymał w dłoniach piękną misę. Jego ciepły głos unosił się ponad tłumem.

– Dotknąłem wody w tej misie – mówił. – Teraz podawajcie sobie naczynie i niech każdy umoczy palec, a potem postara się, by kropla wody dostała mu się do oka. To znaczy do obojga oczu. Dzięki temu uzyskacie zdolność jasnovidzenia w ciągu najbliższej doby, będziecie mogli dostrzec, czy przypadkiem Feme nie próbuje opuścić miasta. Wtedy

natychmiast musicie dać sygnał o tym, co widzicie, i dokąd ona zmierza. Tymczasem Móri, Dolg i ja będziemy próbowali odszukać ją w mieście.

– I ja – zapiszczało w kieszeni Dolga.

Marco uśmiechnął się.

– Naturalnie, Fivrelde. Bez ciebie się nie ruszymy!

Mała była zadowolona.

– Czy Feme potrafi latać? – zapytał Armas.

– Nie sądzę – odparł Dolg. – To Fama potrafi latać. Ta, której szukamy, nie.

– A w jaki sposób ją unieszkodliwicie? – zapytała Tiril, która również tu była.

– To już nasze zmartwienie – uśmiechnął się Móri.

W tej chwili zadzwonił telefon Jaskariego. Wyjął słuchawkę zakłopotany.

– Halo? Halo, nic nie słyszę...

Do jego uszu docierały gwałtowne trzaski i krzyk, którego nie rozumiał. W końcu odłożył słuchawkę.

– Nie pojmuję tego. To była Oriana. Mówiła kompletnie rozhisteryzowana, dotarło do mnie tylko coś w rodzaju: „...mój mąż... morduje mnie...”.

Na moment zapadła cisza, a potem Ram powiedział:

– Ale jej mąż jest chyba tutaj, w mieście nieprzystosowanych? Oriana natomiast leży w szpitalu. Rok, zadzwoń tam, a ja połączę się z policją w mieście nieprzystosowanych.

Po kilku krótkich rozmowach wyjaśniło się, że Kenta nie widziano w domu, w którym umieszczano nowo przybyłych. Owszem, jest możliwe, że pojechał do stolicy, jeśli miał ważną sprawę. Ale jaką sprawę mógł mieć, to chyba niemożliwe? Coś musiał widocznie wymyślić.

W szpitalu pielęgniarka poinformowała, że Oriana wyszła na spacer. Ma do tego prawo. Nie, jeszcze nie wróciła.

Zbliżył się do nich jeden ze Strażników.

– Jest tutaj pewna młoda dziewczyna, która dopiero co spotkała Orianę – oświadczył. – Słyszała, o czym mówicie, i zgłosiła się do mnie.

– Znakomicie – rzekł Ram. – Możesz nam powiedzieć, jak to było?

Dziewczyna podeszła bliżej.

– Tak, bo Oriana to przecież nie jest popularne imię. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Rozmawiałam z nią w cukierni, w stolicy. Kiedy wychodziłam, ona jeszcze została, a ja przyjechałam prosto tutaj.

Rok natychmiast zabrał dziewczynę do swojej superszybkiej gondoli. Mknęła w powietrzu niczym błyskawica,

– Rok wszystko załatwi – rzekł Ram spokojnie. – Możemy kontynuować?

Niebieska misa krążyła w dumie, podawana z rąk do rąk. Wszyscy bardzo starannie pocierali oczy palcami i przekazywali naczynie następnym, bardzo ciekawi, co też zobaczą.

W stołecznej cukierni Paula zbierała się właśnie do wyjścia, bardzo zadowolona po zjedzeniu trzech ciastek i wypiciu trzech filiżanek kawy.

Nagle do środka wbiegło dwoje ludzi. To znaczy jeden człowiek, ta młoda dziewczyna, z którą niedawno rozmawiała, oraz jeden... och, Lemur! Jaki fantastyczny!

– To ona – rzekła dziewczyna, wskazując na Paulę.

Przystojny Lemur zatrzymał się w drzwiach.

– To nie jest Oriana! To Paula!

Uff, a niech to! Wygląda na to, że będą nieprzyjemności!

No i rzeczywiście, zanim Paula zdołała wymyślić jakieś wyjaśnienie, Lemur się wściekł.

– Czemu to wszystko ma służyć? – krzyczał. – Opóźniasz nasze poszukiwania, te twoje głupstwa mogą Oriane kosztować życie! Od tej chwili będziesz się posługiwać wyłącznie własnym imieniem, jest wystarczająco dobre!

Oboje odwrócili się i wyszli, zostawiając za sobą zawstydzoną Paulę. A taki był piękny!

Ram odebrał raport zdenerwowanego Roka i sam zdenerwował się również.

– Głupia krowa – mruknął. Zwrócił się do stojących najbliższej. – No to wpadliśmy. Jeśli Oriana wyszła na spacer, to mogła spotkać swego męża gdziekolwiek. A przecież jest bardzo słaba...

– Z własnej woli by go nie spotkała – wtrąciła Miranda. – Nie, musiał się gdzieś na nią zająć.

Ram zatelefonował do recepcji szpitala i zapytał, czy portier widział wychodzącą Oriane. Nie, nikt jej nie widział. A czy w pobliżu szpitala widziano może jej męża?

Podał portierom jego imię oraz opisał wygląd.

Recepcjonista odrzekł cokolwiek zdumiony:

– Taki człowiek przyszedł tutaj przed kilkoma godzinami. Chciał rozmawiać z doktorem Jaskarim, więc go skierowaliśmy na oddział.

Ram zwrócił się do Jaskariego. Nie, Kent w ogóle nie odwiedzał doktora ani go nie szukał. Kolejne pytanie do recepcji:

– Kiedy ów Kent opuścił szpital?

Docierała do nich pośpieszna rozmowa, jakieś pytania, ci, którzy otaczali Rama, usłyszeli w końcu krótką odpowiedź:

– Nikt nie widział, żeby wychodził ze szpitala.

Ram natychmiast zaczął działać. Kierowanie akcją przekazał Marcowi, a sam zarządził:

– Jaskari! Idziesz ze mną! Gdzie jest Elena?

– Ona miała przyjść później. Miranda, pójdziesz z nami. Tak, Gondagil również, potrzebujemy silnego, rosnącego mężczyzny.

W jednej chwili cała czwórka znalazła się w gondoli Rama, poruszającej się równie szybko jak pojazd Roka, i bezzwłocznie wyruszyli w drogę.

Oriana uzyskała chwilową przewagę.

Dzięki kursowi samoobrony zdołała raz jeszcze wyrwać się z morderczego uścisku Kenta, znalazła jakieś drzwi, wbiegła do pomieszczenia i zamknęła je na klucz. Niestety, znalazła się w ślepych zaułku, trafiła do małego magazynku, ciemnego, wypełnionego niesprawną aparaturą.

Mogła jednak przynajmniej usiąść na podłodze i odetchnąć. Z największym trudem wciągała powietrze, udręczone płuca pracowały ze świstem, a nogi dłużej by jej już nie utrzymały.

Słyszała, że Kent wali w drzwi, potem jednak zaległa cisza.

On czai się za drzwiami, myślała. Boże, żeby tylko nie znalazł w pobliżu strażackiego toporka albo czegoś w tym rodzaju.

Nie, bardzo szybko uświadomiła sobie, co Kent zamierza. Znalazł coś, czym mógł podważyć drzwi, jakiś metalowy pręt, wsunął go w szparę przy podłodze i unosił, prędeż czy później wyrwie zamek.

Oriana kurczowo ścisnęła ręce na piersiach i szeptała błagalne modły: Spraw, żeby tu przyszedł jakiś dozorca albo inny silny mężczyzna, który przeszkodzi Kentowi! Nie pozwól mu się do mnie włamać!

Zdołała się już pogodzić ze śmiercią, uczyniła to zresztą dawno temu. Ale, na miłość boską, nie w ten sposób! Nie chciała aż takiego cierpienia, nie chciała nienawiści w ostatnich chwilach, zanim pożegna się z życiem.

Z życiem, którego teraz znowu zapragnęła, po tym, jak znalazła się w tym cudownym świecie, gdzie spotykała wyłącznie dobrych, przyjaznych ludzi.

W świecie bez Kenta.

Teraz sprawy przybrały inny obrót. Kent będzie mógł tutaj żyć, on, który tak tęsknił, żeby uciec z Królestwa Światła. Tymczasem ona musi umrzeć.

Jaki niemiłosierny bywa czasami los. Jak często zdarzało się coś takiego na zewnątrz, w tamtym wielkim świecie, tam naprawdę życie jest niesprawiedliwe. Bogaci ludzie otrzymują jeszcze więcej, mogą za darmo korzystać z luksusów. Biedni natomiast, którzy bardzo by potrzebowali błysku światła w codzienności, są wypluwani niczym pestki wiśni z biur, które powinny pomagać, ale najczęściej brak im zarówno zdolności, jak i woli niesienia pomocy.

Natomiast tutaj... doktor Jaskari opowiedział jej, jaki wspaniały system panuje w tym świecie z baśni.

Kent zaklął siarczyście, ponieważ narzędzie, którym usiłował wyważyć drzwi, złamało się. Oriana słyszała, że poszedł szukać czegoś nowego.

Boże! Dobry Boże, pomóż mi, modliła się Oriana. Święta Dziewico Maryjo, wesprzyj mnie! Nie pozwól mu wyważyć drzwi, bym nie musiała umierać w ten sposób, taki upokarzający, taki niegodny, zamordowana przez człowieka, którego kiedyś wybrałam na towarzysza życia.

Na zewnątrz panowała cisza.

Długo. Bardzo długo.

Czyżby dał za wygraną? Czyżby sobie poszedł?

Oriana nie była w stanie myśleć, w jej mózgu panował chaos, ze strachu, wzburzenia i zmęczenia serce biło panicznie.

Na chwilę straciła świadomość, nie była pewna, czy minęły minuty, czy godziny. W maleńkim pomieszczeniu robiło się coraz duszniej, wkrótce w ogóle zabraknie powietrza. Musiała zużyć cały tlen przy tym swoim świszczącym oddechu. Próbowwała oddychać spokojniej, ale wtedy serce biło jeszcze mocniej.

Powoli ogarniała ją panika. Oriana szlochała cicho. Świadomość, że człowiek, który kiedyś był jej taki bliski, teraz ma jej dość, nienawidzi jej tak, że pragnie jej śmierci, była nieznośna. Już więcej nie wytrzymam, nie mam siły!

Boże, uchronń mnie od takiej śmierci! Bądź miłosierny, błagała z głębi serca.

25

Ponieważ gondola leciała bardzo szybko, Ram naciągnął nad pojazdem przezroczysty dach.

– Siedzimy tutaj jak w małym domku – stwierdził Gondagil zachwycony. Obejmował mocno Mirandę, bo bał się prędkości.

Ona zaś przytuliła się mocno do niego i powiedziała ze śmiechem:

– Ostatnio spotykamy się przeważnie w gondolach. Trzeba z tym skończyć!

Popatrzył na nią pytająco.

Och, jak lubiła jego twarz!

– To tylko takie wyrażenie – wytłumaczyła, skuliła się i przysunęła bliżej. Skoro miała go nareszcie przy sobie, to chciała wykorzystać okazję. Nie będzie już więcej tracić czasu na pełne skrępowania oczekiwania inicjatywy z jego strony!

Gondagil czuł się oczywiście znakomicie. Obejmował ją i przyciskał do siebie tak mocno, że o mało nie połamał jej żeber. Długo jednak szczęście trwać nie mogło, gondola wkrótce dotarła do celu. Z ciężkim westchnieniem oboje pośpieszyli za Ramem do szpitala.

W wielkim westybulu czekał Rok i szpitalni dozorczy. Przeszukali już dokładnie cały budynek, ale Oriany nie znaleźli. Teraz zamierzali właśnie zejść do piwnicy, jedyne miejsce, którego jeszcze nie sprawdzili.

– W takim razie chodźmy! – zawołał Ram.

Minęło mnóstwo czasu, myślała Miranda zatroskana. Czy uda nam się odnaleźć ją żywą, jeśli to prawda, że mąż nastawał na jej życie? Bo jeśli nie... to byłby bardzo głupi żart, przemknęło przez myśl dziewczynie, która nie знаła Oriany.

Przez cały czas trzymała Gondagila za rękę, a może to on trzymał ją, w każdym razie nie chciała, żeby było inaczej. Jak dobrze tak iść ręką w rękę, on też nie sprawiał wrażenia, że chciałby ją puścić.

Teraz jesteś mój, Gondagilu, myślała Miranda. Teraz już ode mnie nie odejdziesz.

Cała grupa znalazła się w szpitalnej piwnicy. Ani Miranda, ani Gondagil nigdy by nie przypuszczali, że jest taka wielka, pocięta tak licznymi korytarzami.

Minęło już naprawdę wiele czasu, nawet Oriana zdawała sobie z tego sprawę, chociaż była oszołomiona i raz po raz ciemniało jej w oczach.

Wzywanie pomocy nie miało sensu. Kent hałasował przecież okropnie, więc gdyby w tej części piwnicy ktoś się znajdował, to już dawno by do nich przybiegł. Widocznie Kent bardzo starannie wybrał miejsce.

Dlaczego powiedziała pielęgniarsce, że wychodzi ze szpitala? Dlaczego zjechała na dół windą tak, że nikt jej nie widział? Szła niczym bezbronna ofiara wprost do pułapki.

Nie, teraz powietrze stało się już tak gęste, że naprawdę nie mogła oddychać. Wciąż siedziała na podłodze.

Powoli podniosła się i stanęła na sztywnych, obolałych nogach, potem chwyciła klamkę. – Kent? – rzekła cicho, niepewnym głosem. Za drzwiami panowała martwa cisza. Po kilku następnych pełnych napięcia minutach powoli przekręciła klucz w zamku. Nic. Ostrożnie uchyliła drzwi. Przynajmniej w ten sposób wpuści trochę świeżego powietrza. Za drzwiami wciąż panowała niczym nie zmacona cisza.

Oriana uchyliła drzwi szerzej.

Wtedy Kent, który stał za drzwiami, z rykiem szarpnął klamkę i wyciągnął żonę na korytarz. W uniesionej ręce trzymał ciężką stalową rurkę. Oriana szarpnęła się i cios zamiast w głowę trafił ją w ramię, pozbawiając czucia w całej ręce. Krzyczała, próbowała uciekać na czworakach, nie widziała nic z powodu łez, bólu i rozpacz.

Kent znowu do niej dopadł.

Ale w tym momencie usłyszała czyjeś pośpieszne kroki. Naprawdę tak było, Kent, zaskoczony, rozluźnił uchwyt, ale podniósł ją z podłogi i zasłaniał się nią niczym tarczą. Tym razem Oriana nie miała już siły się bronić. Widziała jednak, że nadbiega wiele osób, widziała niewyraźnie, bo nie mogła podnieść ręki, by otrzeć łzy.

Miranda dopiero teraz uświadomiła sobie z przerażeniem, jak poważna jest sytuacja. Odnaleźli Oriane, wciąż jeszcze żyła, ale jej szanse wyglądały marnie. Jej zdesperowany mąż ścisnął w dłoni jakiś papier. Gdyby go wypuścił, mógłby chwycić ją mocniej, a wtedy... Widać jednak nie chciał utracić papieru.

– Nie zbliżajcie się, bo ją zastrzelę – syknął.

– To błąd, on nie ma pistoletu – mruknął Ram. – Jaskari i Miranda, zajmijcie się pacjentką, a my zrobimy resztę.

To prawda, że Kent nie miał broni, przy tym grozić Orianie ciężką stalową rurką, trzymając równocześnie szarpiącą się żonę i ten jakiś dokument, było mu zbyt trudno. Zanim zdążył się zastanowić, co dalej, Jaskari pociągnął ku sobie Oriane, która umęczona bezwolnie oparła się o niego.

Kent uniósł stalową rurkę, wciąż jeszcze próbował uderzyć żonę, ale trafił atakującego Roka w rękę, dzięki czemu zyskał pewną przewagę. Utracił jednak rurkę, która z łoskotem potoczyła się po podłodze. Uciec nie mógł w żadnym razie, ale skorzystał z jedynej szansy, jaka się nadarzyła, i chwycił nową tarczę, Mirandę, pochylając się właśnie nad Orianą.

Tego nie powinien był robić.

Bardzo szybko to sobie uświadomił.

Został uniesiony w górę przez dyszącego z wściekłości Gondagila, który zamierzał cisnąć nim z całej siły o ścianę.

– Gondagil, nie! – zawołała Miranda. – Nie rób tego po raz drugi, nie tutaj, w Królestwie Światła!

W pamięci stanęło mu zabójstwo Harama i opanował się. Postawił rozdygotanego Kenta z powrotem na podłodze i mocno przycisnął do ściany.

Poblady z gniewu wysyczał przez zęby:

– Jeśli jeszcze kiedyś tkniesz moją dziewczynę choćby jednym palcem, zmiążdżę cię jak tę wesz, którą w istocie jesteś!

Miranda rozpromieniła się w wielkim uśmiechu. Natychmiast jednak spoważniała znowu, bo sytuacja wcale nie była zabawna.

– Dziękuję, Gondagilu – powiedział Ram spokojnie. – Teraz my się nim zajmiemy.

Dwaj dozorczy szpitalni wyprowadzili Kenta.

– Co się z nim stanie? – zapytała Miranda.

– Filtracja – odparł Ram krótko. – Nie możemy takich tutaj trzymać. Szczerze mówiąc to szkoda, Gondagilu, że nie oszczędziłeś nam kłopotu, ale Miranda miała rację. Nie chcielibyśmy obciążać cię jeszcze jednym zabójstwem. Sami się z nim rozprawimy.

– Czym właściwie jest filtracja? – zapytała Miranda, wciąż opierając się o ścianę, ponieważ po wszystkich przeżyciach nogi się pod nią ugiwały.

Jaskari zaniósł chorą Orianę na oddział, jej siły wyczerpały się kompletnie.

W rzeczywistości Miranda wcale nie chciała wiedzieć, czym jest filtracja, czy też oczyszczenie, jak niekiedy mówiono, ale ciekawość zwyciężyła. Zwykle tak się dzieje.

– Och, to może oznaczać wiele – odparł Ram wymijająco, szykując się do wyjścia. –

Mamy różne metody. Przestępcom, takim jak Kent, którzy pragną wrócić do zewnętrznego świata, dajemy szansę. Wyrzucamy ich do Królestwa Ciemności.

Miranda zadrżała.

– Jak Johna Eleny?

– Tak.

– Uważasz, że to humanitarne? – zapytała przeciągle.

– Nie, ale dostają możliwość. Istnieje droga na zewnątrz z Królestwa Ciemności.

Wprowadzie nikt z tamtejszych mieszkańców jej nie zna, ale ona jest. My też nigdy z niej nie korzystamy, jest za trudna. Lecz szansa istnieje.

Miranda westchnęła. Ram zakończył:

– Muszę załatwić parę spraw związanych z Kentem, to nie potrwa długo. Kiedy już o trzaśniesz się z szoku, Mirando, idźcie z Gondagilem do gondoli. Ja zaraz tam przyjdę. Obaj z Rokiem wyszli. Miranda chciała pójść za nimi, ale Gondagil chwycił ją i mocno objął.

Popatrzyła na niego pytająco. Wzrok młodego mężczyzny świadczył, że wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po wzburzeniu, które dopiero co przeżył, w jego oczach płonął jakiś przerażający żar.

Gdy tylko tamci zniknęli za rogiem, przycisnęła Mirandę mocno do ściany.

– On chciał cię porwać – wyszeptał gorączkowo. – Chciał wyrządzić ci krzywdę, mógłbym go zabić!

– Dobrze, że tego nie zrobiłeś – odparła zatroskana, jak to będzie w przyszłości. – W Królestwie Światła nie odbiera się nikomu życia.

– Wiem o tym, zrozumiałem bardzo dobrze. Ale to było straszne... Mirando, ja...

Nie zdołał dokończyć zdania. Przyciskał ją do siebie tak mocno, że ledwo była w stanie oddychać, gładził swoim policzkiem jej twarz, chciał zrobić dla niej coś wspianiałego, ale pojęcia nie miał, jak obchodzić się z kobietą.

Sądzę, że on nawet nie wie, czym jest pocałunek, pomyślała zaskoczona. Może w Dolinie Mgieł w ogóle nie ma takich obyczajów? A może zbyt długo żył w cncocie? Może powinnam mu trochę pomóc na początek? Tak strasznie bym chciała go pocałować. Ale

czy mogę pierwsza okazywać inicjatywę... W każdym razie powinnam go chyba trochę nauczyć? Zrobić to tak ostrożnie, by nie zauważył, że to moja inicjatywa, tylko że on tak chciał.

Leciuteńko przesuwiała wargami po jego policzku, delikatnie niczym skrzydełka motyla, nieskończenie wolno zsuwała wargi w dół, aż natrafiła na jego usta i...

Do licha, ja też nie wiem dużo więcej!

Ale oglądałam przecież filmy. I oczywiście całowali mnie młodzi chłopcy, chociaż to było coś całkiem innego.

Gondagil zapomniał oddychać. Miranda czuła mocne uderzenia jego serca tuż przy swoich piersiach, które stały się ciężkie i twarde.

Zrobię to, bo jak nie, to mnie rozsadzi, myślała.

Leciutko przycisnęła swoje wargi do jego ust. Potem natychmiast je cofnęła i z westchnieniem zaczęła przesuwać je po drugim policzku Gondagila. W końcu oparła czoło na jego ramieniu.

– Nie – syknął, a ona myślała, że jest na nią wściekły. Tak jednak nie było, wcale nie, wprost przeciwnie! – Zrób to jeszcze raz!

– Sam to zrób – szepnęła.

On cofnął się odrobinę i popatrzył na nią, nie wypuszczając jej z objęć. Jego oczy były ciemne z... Niech tam, jest w nich coś wspaniałego, uznała Miranda, Gondagil drżał na całym ciele.

I zrobił to!

Miranda myślała, że absolutnie panuje nad sytuacją, że może nawet bawić się trochę jego brakiem doświadczenia, ale nie brała pod uwagę reakcji własnego ciała na jego bliskość. Czuć jego wargi na swoich w prawdziwym pocałunku... Wszystko stało się tak nagle, że doznała wstrząsu.

Małe igielki rozkoszy przesuwały się pod skórą Mirandy i rozpały ogień, którego się nie spodziewała. Przynajmniej nie tutaj, w tej sterylnej, szpitalnej piwnicy.

To był naprawdę długi pocałunek, ponieważ żadne nie chciało go przerwać. Miranda czuła przy sobie jego silne ciało, przenikały ją słodkie dreszcze.

Gdzieś daleko rozległ się głos Rama:

– Miranda? Co się z wami dzieje, ruszamy!

Gondagil trzymał ją mocno, Miranda nie miała wątpliwości, co by się stało, gdyby ona teraz się nie opanowała.

Bardzo niechętnie, ale stanowczo wyrwała się z jego objęć i wyjąkała:

– Widać zawsze ktoś musi nam przeszkadzać. Trzeba iść.

– Nie. Jeszcze nie!

Miranda odsunęła ręce Gondagila, które usiłowały wślizgnąć się pod jej bluzkę. Zawołała do Rama, że już idą. Do Gondagila zaś szepnęła:

– Przecież niedługo znowu się spotkamy...

Oddychał z wysiłkiem, nigdy go jeszcze nie widziała w takim wzburzeniu. W końcu przełknął z trudem ślinę i z udanym spokojem powiedział:

– Nie widziałas jeszcze, gdzie mieszkam. Przyjdiesz do mnie dzisiaj wieczorem?

Miranda zapytała z lękiem:

– Czy ty mieszkasz niedaleko Tsi-Tsunggi?

– Nie. Nie widziałem go w pobliżu mojego domu.

Uspokojona dziewczyna odparła:

– Przyjdę bardzo chętnie. A teraz chodź!

Gondagil położył jej rękę na karku i pocałował po raz ostatni, krótko, ale serdecznie.

Nie rób tego, Gondagilu, pomyślała. Nie rób tego! Następnym razem wywołam skandal!

Oboje pobiegli ku schodom.

26

Rozalinda była jedną z wielu mieszkańek miasta nieprzystosowanych, na którą podziały pogłoski.

Nie mogła pojąć, co się z nią dzieje. Nagle zaczęła tak strasznie tęsknić do Gór Czarnych. Kto w ogóle tęskni do tej okolicy?

Ale ona pragnęła się tam dostać. Jej sąsiedzi również, cała rodzina. Tamci to w ogóle zachowywali się jak szaleni, popakowali wszystko i siedzieli gotowi do drogi. Rozalinda nie wiedziała tylko, w jaki sposób można by teraz pokonać mur.

Ale słyszała, choć nie pamięta skąd, że jest jakieś swobodne przejście, a dalej istnieje absolutnie bezpieczna droga w teren złych gór. Które zresztą wcale nie są złe. Można tam żyć dokładnie tak samo jak na Ziemi, tak, mówiono nawet, że można stamtąd na Ziemię powrócić.

Znowu do starego świata! Wielu mieszkańców miasta było gotowych do wyjazdu.

Organizowali spotkania, by zastanowić się, jak przejść przez mur. Może Strażnicy pozwolą im odejść? Strażnicy byli przecież tak zmęczeni ciągłymi awanturami w mieście nieprzystosowanych, że powinni się ucieszyć, gdy co najmniej połowa obywateli zechce je opuścić.

Rozalinda słyszała też, że wielkie tłumy mieszkańców innych części Królestwa Światła zbierają się na równinie poza ich miastem. Co to oznacza? Czy to jakaś oblawa? Czy zamierzają wejść również do miasta? Dlaczego? Czy po to, by nie pozwolić ludziom opuścić domów?

Nie, to z pewnością coś innego.

Ale ta cała sprawa z Górami Czarnymi brzmi znakomicie! Może w końcu uda im się znaleźć drogę wyjścia z zniknięcia?

Rozalinda w zamyśleniu przeglądała swoje rzeczy. Chyba pora się pakować. Trzeba być przygotowanym.

Kiedy Ram i jego orszak przybyli na równinę pod miastem, zebrani tam zaczęli się już rozchodzić. W pięknej misie nie została ani kropla wody, ale Marco osobiście dotknął oczu Gondagila, Mirandy i pozostałych, a potem wszyscy wkroczyli do miasta.

Jaskari dyżurował w szpitalu przy Orianie, co wszyscy znakomicie rozumieli. Jej stan był krytyczny już przedtem, a teraz, po tym, jak Kent ją potraktował, czuła się jeszcze gorzej. Miranda rozejrzała się wokół.

– Gondagilu, nie jesteśmy tutaj sami!

– Nie, zdążyłem zauważyć. A co to za grupa ludzi ubranych tak po staroświecku?

– To są duchy Ludzi Lodu – rzekła wzruszona. – To moi przodkowie! Chodź, pójdziemy się przywitać!

Poszedł za nią z wahaniem. Był pewien, że chwyta powietrze, kiedy jedno po drugim przedstawiało się Mirandzie i jemu, ale ich dłonie okazały się zdumiewająco rzeczywiste, choć trochę zbyt chłodne. Zresztą nie wszyscy podawali rękę, część kłaniała się tylko uprzejmie i uśmiechała do nich.

Jakaś niezwykle piękna młoda kobieta rozmawiała z Markiem. Miała na imię Sol. Sol z Ludzi Lodu. Marco najwyraźniej zapraszał ją do miasta, a ona śmiała się uszczęśliwiona. Znajdowała się też inna grupa dziwnych stworzeń, z nimi z kolei rozmawiali Móri oraz Dolg. To duchy Móriego, wyjaśniła Miranda. Nigdy przedtem ich nie widziała, ale nietrudno się domyślić, kto to. Duchy Móriego miały też w swoim gronie piękne zwierzę, z którym Nero witał się wzruszony.

Wszędzie kręciło się mnóstwo istot natury... Tłoczyły się jak okiem sięgnąć. Oczekiwały rozwoju wydarzeń, one zostały już uwolnione spod władzy Feme.

Och, chciałabym na dłużej zachować tę zdolność widzenia, myślała Miranda. Wiedziała jednak, że potrwa to najwyżej dobę. Szkoda, naprawdę szkoda!

Widziała, jak bardzo przejęci i zdumieni są inni ludzie. Wszyscy bowiem widzieli to samo, co ona. Niektórzy bali się, ale takich nie było wielu. Większość przeżywała swoje wielkie chwile.

Gorący dreszcz przeniknął Mirandę. Na dzisiejszy wieczór umówiła się z Gondagilem. Oj, musi zdążyć wziąć przedtem prysznic i umyć włosy! Musi być czysta i apetyczna! Ci, których zadaniem było pójść do miasta, by odszukać Feme, wyruszyli w drogę. Pozostali utworzyli dwa łańcuchy. Zewnętrzny będzie stał poza miastem i informował, gdyby Feme udało się wymknąć. Wewnętrzny łańcuch miał się powoli przybliżać do miasta, potem przejść ulicami i krok po kroku zmniejszać teren, na którym mogła się ukrywać.

Miranda chętnie poszłaby z Markiem, ale mogła tylko na nich popatrzeć: Marco, Móri i Dolg, ten ostatni z Fivrelde szczebioczącą mu nad uchem, oraz piękna wiedźma, Sol z Ludzi Lodu.

No, niech tam, ona ma przecież Gondagila. Wsunęła rękę w jego dłoń i czekali.

Wkrótce grupa Marca znalazła się wśród zabudowań. Wszyscy krzywili się z obrzydzenia na widok miasta, które zaczynało przypominać najgorsze, najbardziej zaniedbane metropolie starego świata. Wewnętrzny łańcuch posuwał się za nimi, ale miał ograniczone możliwości działania. Feme mogła ukrywać się w jakimś domu, a w takim razie nie będzie łatwo ją odnaleźć czy też zatrzymać, gdyby chciała uciec.

Dolg niósł kilka wielkich zwojów samoprzylepnej taśmy. Tajemnicze oczy czarnoksiężnika Móriego przeszukiwały ulice i place, ściany i okna. Wszystkie zmysły Sol były napięte, wiedźma szukała z sadystycznym zapałem.

Zadanie nie będzie łatwe!

Ale Marco zwrócił uwagę na dziwne zachowanie ludzi. Pospiesznie porządkowali swoje domy, tak się przynajmniej zdawało, jedne rzeczy wyrzucali i palili, inne zbierali. Kiedy

zauważył Rozalindę na podwórzu jej domu, zatrzymał swoich towarzyszy i podszedł, by wypytać, co się tu dzieje.

Owszem, Rozalinda wyjaśniła, o co chodzi, otóż mianowicie ludzie chcą opuścić Królestwo Światła i przenieść się do Gór Czarnych. Stamtąd podobno można też wyjść do starego świata, jeśli ktoś zechce. Nie, ona sama nie rozumie, skąd się nagle wzięła ta chęć przeprowadzki, ale tak po prostu jest.

– Wszyscy chcą stąd wyjść? – dopytywał się Móri.

– Nie, jeszcze nie wszyscy. Ale to się rozprzestrzenia, coraz to nowi ludzie podejmują decyzję.

Tak więc mogli się wreszcie czegoś dowiedzieć! Marco stawiał szybkie, krótkie pytania, a kobieta odpowiadała jak potrafiła. Myśl o wyjeździe przenosiła się jakby z domu do domu. Najpierw opanowała tych, którzy mieszkają w dzielnicach położonych niżej.

Później wschodnią część miasta, a teraz dzielnicę, w której mieszka Rozalinda. Przenosi się to z sąsiada na sąsiada. Nie, nie tak szybko. Jak się bliżej zastanowić, to wychodzi, że codziennie przyłącza się jedna rodzina... A gdzie znajdują się ci, którzy nie chcą się przeprowadzać? Przynajmniej jeszcze nie chcą?

To przeważnie mieszkańcy zachodnich dzielnic.

Marco poprosił, by poszła z nimi kawałek i pokazała, gdzie to jest. Rozalinda zgodziła się chętnie, miło jest się przejść w towarzystwie trzech przystojnych mężczyzn. Sol była dla niej niewidoczna, Marco wołał, żeby tak się stało. Piękna wiedźma miała w mieście pozostać niewidzialna.

Pół godziny później mogli sami zobaczyć, którądy przebiega granica pomiędzy domami tych, którzy chcą się wyprowadzać, a tych, którzy do całej sprawy odnoszą się z zupełnym spokojem. Podziękowali Rozalindzie za pomoc, nie, teraz już dadzą sobie radę sami.

Kobieta opuściła ich z ciężkim westchnieniem, nie dowiedziawszy się, czego szukają. Oni tymczasem zaczęli sprawdzać teren.

– To musi być ten dom – rzekł Dolg, wskazując na niewielki, parterowy budynek. Mały, przytulny domek, wyglądał, jakby pochodził z dziewiętnastego wieku, ściany pokrywały pnące róże.

– Mieliśmy szczęście – rzekł Marco. – Mógł nam się trafić wysoki, wielopiętrowy gmach. Kiedy szli przez miasto, ludzie patrzyli na nich i pośpiesznie usuwali się z drogi. Trzej mężczyźni nie byli podobni do tutejszych mieszkańców, poza tym mieli bardzo surowe miny. Lepiej takim nie nasuwać się przed oczy!

Ale w tej części miasta panował spokój. Napotkali kilka domowych zwierząt, poza tym dzielnica sprawiała wrażenie nie zamieszkaną.

Zagląдали do domu przez okna. Nie bardzo to piękne zachowanie, ale potrzeba łamie zasady. Zobaczyli, że w łóżku w jednym z pokoiów ktoś śpi, widzieli zarys ludzkiej postaci pod kołdrą.

– Moim zdaniem ona jest tutaj – rzekł Marco cicho. – Wygląda na to, że wchodzi do jakiegoś domu i tłoczy mieszkańcom do głów swoje pogłoski o wspaniałych warunkach życia w Górach Śmierci. Szepcze te swoje informacje śpiącym ludziom do ucha.

Przeszukamy dom?

Dolg i Sol zabrali się natychmiast do zaklejania samoprzylepną taśmą wszelkich otworów, dziurek od kluczy, szczelin w ścianach. Opatrzyli każdą najmniejszą szparkę. Sol z łatwością wspięła się na niski dach, położyła płaski kamień na kominie, a potem wszystko oblepiła taśmą. Feme potrafiła wyciągać swoje ciało tak, że mogła się prześlizgnąć przez najwęższą szczelinę. Gdy wszystko było gotowe, Sol zeskoczyła na ziemię.

Dolg miał szczerą nadzieję, że nikt nie widział jej manewrów na dachu ani przy oknach. Wiedźma z przełomu szesnastego i siedemnastego wieku z dużą rolką nowoczesnej taśmy samoprzylepnej, poruszająca się na oczach wszystkich, to naprawdę dziwny widok. Gdyby ktoś potrafił ją dostrzec, oczywiście.

Sol bawiła się znakomicie. Takie właśnie zajęcia uwielbiała: łapać draństwo, najlepiej rodzaju żeńskiego. Dlatego Marco ją wybrał. Wiedział, że zaangażuje się w sprawę całym sercem.

Kiedy uznali, że wszystko jest już uszczelnione, Dolg powiedział cierpko:

– A jeśli jej tam nie ma?

Wtedy Sol wybuchnęła radosnym śmiechem.

– Wszystko oblepione, caluteńki dom!

– Ona tam jest – zapewnił Marco spokojnie, ale również on uśmiechnął się pod nosem. – Wchodzimy! Cicho!

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Tych drzwi oczywiście wcześniej nie zakleili, ale Dolg i Sol zrobili to błyskawicznie, od wewnętrznej strony, gdy tylko wszyscy znaleźli się w środku. Potem krok po kroku przeglądali mały domek.

W łóżku w izbie leżała jakaś starsza kobieta i odpoczywała po obiedzie. Marco jednym ruchem dłoni sprawił, by się nie obudziła, niezależnie od tego, co się stanie.

– Ona jest tam – szepnął Dolg.

Teraz mogli ją zobaczyć, wszyscy. Podobna do cienia szaroczarna istota, najbardziej ze wszystkiego przypominająca wielką pijawkę, leżała na poduszce tuż przy uchu śpiącej kobiety.

W jednym momencie uszczelnili wszystkie możliwe wyjścia z pokoju. Sol musiała się zajmować najtrudniej dostępnymi miejscami, ponieważ była niewidzialna.

Ale Feme ich odkryła. Zerwała się i zwinnie niczym wąż pomknęła ku wywietrznikowi Sol była jednak szybsza i zalepiła taśmą nos paskudztwa, czy coś, co go przypominało.

Usłyszeli syk, wydawany przez to obrzydliwe stworzenie, a potem w ich głowach pojawiły się sygnały. O pięknych osadach wewnątrz Gór Czarnych, o drogach...

Zaklęcia obu czarnoksiężników przerwały ten uwodzicielski szept. Feme musiała zamilknąć, choć bardzo ją to denerwowało. Pomknęła ku drzwiom, a stwierdziwszy, że są zamknięte, zawróciła do okna. Miotła się po pokoju, ale wszędzie Sol albo już była, albo natychmiast pojawiała się przed nią.

– O, nie, ty oślizgła stara ropucho! – zawołała piękna czarownica, której Feme nie widziała. – Zasadziłaś już swoje ostatnie nasiona!

Ruchem dłoni strąciła przebiegłą istotę akurat w momencie, gdy ta próbowała się precyzyjnie przeczisnąć przez wąziutką szczelinę pod sufitem.

– Teraz spotkałaś kogoś silniejszego od ciebie, moja mała Feme, ty paskudny stary trollu!

– Ja nie jestem Feme – syknął potworek wściekle. – To była moja prababka.

– Nie ma znaczenia, jak się nazywasz, i tak jesteś paskudna – rzekła Sol i wyciągnęła tamtą ze szczeliny w podłodze, chociaż i tak potwór nie mógłby się tamtędy wydostać. – Fuj, co ja złapałam? Jakiś śluz?

– Czy to ona, Fivrelde? – zapytał Marco.

– Tak – szepnęła elf. – Dokładnie ta sama, którą widziałam. Uff, ale wstrętna!

– Tak, rzeczywiście tak można powiedzieć! Ale takie właśnie są plotki, Fivrelde. Zawsze są wstrętne, potrafią zamordować człowieka skuteczniej niż miecz. Móri i Dolg, przytrzymajcie ją swoimi runami, to ja zajmę się resztą!

Obaj czarnoksiężnicy natychmiast osaczyli paskudztwo. Feme, czy też jej potomkini, musiała zastygnąć, nie mogła się poruszyć, zdążyła się tylko zawinąć w białą, robioną na szydełku kapę na łóżko.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że plotki i pogłoski są bardziej niebezpieczne niż miecz, wielki Marcu? – pisnęła Fivrelde.

– Chodzi o to, że plotka zabija godność człowieka, jego cześć. A to, Fivrelde, gorsze niż morderstwo.

– Aha, rozumiem – rzekła niepewnie, ponieważ nie zrozumiała ani słowa.

– Sol, czy zechciałabyś mi pomóc? – poprosił Marco.

Podczas gdy Móri i Dolg trzymali złą istotę w szachu, Marco i Sol zabrali się do jej unicestwienia. Plotki nie trzeba mordować, wystarczy ją unieszkodliwić.

Walczyła z całych sił, a trzeba pamiętać, że plotka ma porażającą moc. Była wielka, większa niż się spodziewali, tak duża, że nawet maleńka Fivrelde zobaczyła ją, kiedy przemykała się przez dziurę w murze. Wydawała z siebie wściekły syk, ale nie była w stanie zejść z łóżka, runy trzymały ją w miejscu.

– A teraz milcz, ty stara wstrętna babo! – prychnęła Sol. – Twoje uwodzicielskie sztuczki na nas nie działają! O, fuj, do diabła, jaka ona paskudna!

Stwór wściekał się nieustannie.

– Przestańcie nazywać mnie „ona”! Nie jestem istotą żeńską!

– O, uff, co ty powiesz – ironizowała Sol. – W takim razie jesteś „on”? Dobrze, dobrze, nam jest zupełnie wszystko jedno.

Marco uśmiechnął się krzywo.

– Okazaliśmy się bardzo naiwni, uważaliśmy, że jest stworzeniem żeńskim, bo nazywaliśmy ją Feme. Ale rodzaj męski może być równie zdolny w rozsiewaniu szkodliwych plotek.

Męski krewniak Feme zaczął złościć się nie na żarty. Słyszeli jego syczenie:

– Nie jestem byle kim, jestem silniejszy, niż wy wszyscy razem wzięci.

To mogła być prawda, oni jednak nie zamierzali się poddawać.

Paskudny stwór donosił z dumą:

– Zostałem wybrany, by służyć tutaj w samym środku Ziemi...

– Znakomicie! – drwiła Sol. – W takim razie wystarczy, że cię unieszkodlimy, a raz na zawsze uwolnimy się od plotek i pogłosek

– Nie, nie, nie, nie – pośpiesznie wyjaśniał stwór. – Jest nas więcej w Górach Wspaniałych.

Nikt mu jednak nie wierzył. Był tym, czym był, po prostu pogłoską.

– Aha, u was to one się nazywają Góry Wspaniałe – uśmiechnął się Móri. – Można się było tego spodziewać.

– Och, nie wiecie, co się tam ukrywa! – wykrzyknął potomek Feme.

Marco przerwał mu.

– Owszem, wiemy. Ale teraz dość gadania. Przynajmniej jeśli o ciebie chodził. Zabrali się do dzieła. Soi wyszła z domu, bo swoje już zrobiła. Móri i Dolg nadal za pomocą run utrzymywali potworka na miejscu, podczas gdy Marco przygotowywał się do wypełnienia zadania.

Z jego dłoni wybuchnął snop niebieskich iskier, on sam wypowiedział kilka słów, których nikt nie zrozumiał.

Istota próbowała odpowiedzieć, lecz nie wydobyła z siebie ani jednego dźwięku. Było tak, jakby jej ktoś zawiązał pysk sznurkiem. Ale mimo to nie zrezygnowała.

„Ja nie potrzebuję głosu”, dotarło do ich myśli. „Moje ukryte insynuacje, moje zabójcze plotki, moje naprawdę złe pogłoski i tak trafią do ludzkich dusz!”

Pang! Przed potworkiem rozbłysła niebieska błyskawica, po czym z jego strony nie pojawiła już się ani jedna myśl.

Sol przyniosła sporą butelkę z przykrywką i wsunęła do środka porażonego rozsiewacza plotek. Starannie zamknęła przykrywkę i owinęła wszystko resztką taśmy samoprzylepnej. Marco powiedział, jakby przesyłał ostatnie pozdrowienie:

– Wyniesiemy cię z powrotem do Królestwa Ciemności, nie wiem, jak to zrobimy, ale poradzimy sobie. Nie możemy, jak powiedziano, cię zamordować. Myślę jednak, że jesteś unieszkodliwiony.

Niemy, pozbawiony telepatycznych zdolności potworek siedział w butelce i wykrzywił się.

27

Gondagil czekał na nią na skraju lasu.

Miranda szła ku niemu z bijącym sercem. W dalszym ciągu posiadali zdolność jasnowidzenia, ale dokoła panował spokój, nigdzie nie było widać ani elfów, ani w ogóle nikogo.

Bardzo dobrze!

Miranda nie miała ochoty być obserwowana w chwili, kiedy spotyka miłość swego życia. Długo musieli walczyć o siebie nawzajem. Musieli pokonać wielkie niebezpieczeństwa.

Mimo to nigdy nie denerwowała się tak jak teraz. Wiedziała, co się stanie, to było nieuniknione, ona jednak bała się bardzo. Wciąż miała wątpliwości, czy powie to, co trzeba, czy się sprawdzi, czy cała sprawa nie zakończy się fiaskiem...

Cóż, zachowywała się mniej więcej tak, jak większość dziewcząt zachowywała się przez stulecia.

Gondagil uśmiechał się do niej. Początkowo trochę niepewnie, ale kiedy odpowiedziała mu uśmiechem, jego twarz się rozjaśniła. Wziął ją za rękę.

– Chodź, pokażę ci swój dom!

Miranda poszła za nim bez słowa. Ogarnął ją lęk, że wzbudzi jego pragnienia już tutaj, w tym pięknym lesie, za nic nie chciała, by różne ciekawskie elfy stały i przyglądały im się w najbardziej intymnej chwili. Może istoty natury same uległyby nastrojowi...

Nie, nie wolno przywoływać takich fantastycznych obrazów!

W milczeniu szli przez las, po miękkiej trawie, pod szumiącymi liściastymi drzewami. Żadne nie powiedziało ani słowa. Napięcie było zbyt wielkie, a jednocześnie nastrój tak piękny, że nie chcieli go zepsuć.

W szpitalu dwóch lekarzy rozmawiało z Ramem.

– To się na nic nie zda – mówił ordynator. – Teraz mamy już wyniki wszystkich badań Oriany. Nie będziemy w stanie jej uratować, nasz szpital nie posiada takich środków, a poza tym jest za późno.

– Szkoda – powiedział Ram. – To taka piękna kobieta, bardzo szlachetna.

Drugi lekarz wtrącił ostrożnie:

– Mamy jeszcze jedno wyjście...

– Wiem – rzekł Ram. – Waśnie o tym myślę.

– O którym z nich?

– Nie o Marcu – oznajmił stanowczo Ram. – On by mógł, sądzę jednak, że nie powinniśmy wykorzystywać jego zdolności zbyt często. Tylko w wyjątkowych przypadkach, takich jak dzisiaj eliminacja tego rozsiewacza plotek.

– No, a czarnoksiężnik?

Ram wahał się.

– Nie wiem, czy jego siła tutaj wystarczy. Nie, ja myślałem raczej o Dolgu...

– Ja również. Ale i on musi mieć środki pomocnicze.

– No właśnie. Wiemy wprowadzić także, że kilku Obcych posiada nieznanne możliwości, ale nie możemy ich nawet o to zapytać. Nie mamy prawa. Mogę natomiast porozmawiać ze Strażnikiem Słońca na temat niebieskiego szafiru. Zapytam, czy go nam pożyczą.

– Jest tylko jeden człowiek, którego polecenia kamienie wypełniają.

– Dolg, tak. Natychmiast tam idę. – Stał jeszcze przez chwilę, nim odszedł. – Jest też parę innych spraw, które muszę załatwić.

– Jakie to sprawy? – spytali lekarze.

Ram patrzył na nich z zatroskaną twarzą.

– Chodzi o tego Kenta. Zdołał nam się wymknąć. Wkrótce go jednak złapiemy. No i ten wybrany... Musimy przyspieszyć podróż do Gór Czarnych, a ten drań nie jest jeszcze gotowy. – Nagle rozjaśnił się w szatańskim uśmiechu. – Wydaje mi się jednak, że wiem, komu zlecę to zadanie. Myślę, że znam kogoś, kto potrafi dać sobie radę z takim małym diabłem.

Potem wyszedł, podśpiewując coś pod nosem.

Prześciowe mieszkanie Gondagila mieściło się w małym leśnym domku na wzgórzu. Zresztą właściwie trudno mówić o wzgórzu, było to tylko lekkie wzniesienie w płaskim na ogół krajobrazie. Oko Nocy i większość Indian też mieszkali w okolicy, nie był to jednak żaden ponury rezerwat, przenieśli się tutaj, bo nie najlepiej czuli się w miastach.

– O, jaki śliczny mały domek – zawołała Miranda zachwycona. – Chętnie bym tu zamieszkała!

– Dom jest niewielki – rzekł Gondagil z dumą, jakby to on był jego właścicielem. – Ale widok stąd rozciąga się naprawdę piękny. I jestem tutaj swobodny. Indianie znajdują się daleko poza zasięgiem mojego wzroku.

Moglibyśmy zbudować większy dom, myślała Miranda.

– Wiesz, ja mieszkam w tym samym domu, co ojciec i Indra – rzekła głośno. – Każde ma swoje mieszkanie, ale tutaj wydaje mi się znacznie lepiej.

Gondagil zamierzał pokazać jej całe domostwo, ale zdążył zademonstrować tylko tacę, na której przygotował coś, czego nie zdołała zidentyfikować, ponieważ w korytarzu pomiędzy kuchnią a pokojem dziennym przestał nad sobą panować. Nagle Miranda stwierdziła, że znowu została przyciśnięta do ściany, pocałunki Gondagila świadczyły, iż od kiedy się rozstali, płonął z tęsknoty. Teraz z pewnością weźmie mnie na ręce i zanieśie do sypialni, pomyślała. Tak przynajmniej powinien zrobić, ale jak mu o tym powiedzieć, by nie urazić jego męskiej dumy?

Co tam, do diabła z konwencjami, trzeba brać, co los daje, zdecydowała.

I postąpiła tak, jak jej serce podpowiadało. Jednym ruchem ściągnęła z siebie ubranie i rzuciła je na podłogę, wciąż w tym wąskim korytarzyku, a potem już ani ona, ani Gondagil nie wiedzieli, gdzie się znajdują, Miranda starała się pokazać mu, że usta nie są jedynym miejscem, które może całować, stwierdziła, że jego skóra jest rozpalona, że Gondagil nie potrafi już czekać. Tylko jeden jedyny raz, kiedy zdejmował z siebie ubranie, zamarł na moment i popatrzył na nią.

– Nie chcę zachowywać się jak Haram – szepnął udręczony. – Nie jestem bestią.

Wyobrażałem sobie to tak pięknie. Marzyłem, że wszystko odbędzie się powoli, z wielką czułością i miłością do ciebie.

Miranda odgarnęła mu włosy z czoła.

– Ty nigdy nie będziesz jak Haram. Ja sama tego chcę, Gondagilu. Chcę cię mieć, ponieważ do siebie należymy. Jesteś moim pierwszym, podobnie jak ja twoją pierwszą. Wtedy uśmiechnął się z ulgą, nie potrzebowali już więcej słów. Miranda drżącymi rękami pomogła mu zdjąć koszulę tak, by mogła dotykać go całym ciałem, a on bez trudu znalazł do niej drogę.

Początkowo był rzeczywiście dość ostrożny, w swoim oszołomieniu zdołał zachować troskliwość o nią. Była mu za to wdzięczna, bo przecież niełatwo jest początkującej kobiecie nie odepchnąć kochanka, kiedy ból przeszywa niczym ostrze noża.

Później żadne nie zastanawiało się, czy dobrze się sprawili. Było, jak było, miłość, oddanie, czułość wystarczą za wiele.

Po dziesięciu minutach, kiedy sztorm przycichł, Miranda poprosiła, by pomógł jej wstać. Próg boleśnie uwierał ją w plecy.

Gondagil czynił sobie wyrzuty, że zachował się tak gwałtownie, naprawdę nie miał takiego zamiaru.

– Gdybyś był łagodny i cierpliwy, nie byłbyś sobą – uśmiechnęła się Miranda. – Ty jesteś Gondagil, i w takim właśnie się zakochałam. Takiego chcę mieć.

Wtedy on znowu wziął ją w ramiona.

– Teraz mogę powiedzieć, że dostałem od życia wszystko – rzekł cicho. – Absolutnie wszystko!

28

W szpitalu rozpoczął się nowy dzień. Oriana leżała zamyślona w swoim łóżku. Czuła, że coś się dzieje, tak jak poprzedniego wieczora domyśliła się, że lekarze nie mogą już dla niej nic więcej zrobić. Przerzuty raka objęły całe ciało, choroba toczyła organy, które najtrudniej leczyć.

Będzie więc znowu musiała pogodzić się z myślą o śmierci. Tym razem wydawało się to szczególnie trudne. Atak Kenta poważnie podkopał jej zdrowie, wszelkie siły się wyczerpały, powróciły straszne bóle, choć przedtem tutaj w szpitalu lekarze potrafili już utrzymać ją w szachu.

To był fantastyczny szpital, z niezwykłym personelem i nieprawdopodobnymi możliwościami. Ale wobec tak ciężkiego przypadku choroby nowotworowej również tutejsi lekarze musieli ulec.

Oriana płakała cicho. Tak bardzo chciałaby żyć w tym świecie, w którym mieszkali tylko szczęśliwi, życzliwi ludzie. Kent miał zostać odesłany z powrotem, tak powiedział ów sympatyczny Ram, ale sprawiał wrażenie zagniewanego, kiedy wyznała, że niepokoi się o los Kenta. O, nie, nie powinna martwić się o tego człowieka. Teraz Oriana też tak myślała. Skończyła z nim definitywnie i jego odejście przyjmie jako wielką ulgę. Zresztą on pewnie już wyjechał.

Wokół panował spokój. Od czasu do czasu słyszała na korytarzu energiczne kroki pielęgniarki, która miała dziś nowe buty, poza tym było cicho. To cudowne słoneczne światło, które zdawało się wypełniać wszystko, płonęło za oknem i stanowiło jednak jakąś pociechę. Oriana nie chciała myśleć, bo nie widziała przed sobą przyszłości. Tylko śmierć. Wielkie nieznane.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł ktoś cicho.

Oriana spojrzała na niego z zaciekawieniem. Był to nieziemsko piękny mężczyzna. O czarnych oczach tak mądrych, jakby skupiła się w nich cała wiedza świata.

Lemur? Nie, nie wyglądał dokładnie tak jak oni. Istota jakby stanowiąca pośrednie ogniwo pomiędzy Lemurami i romantycznymi młodzieńcami, którzy istnieli w czasach Schillera i Goethego. Lord Byron... Wszyscy ci utalentowani młodzi ludzie z weltschmerzem w spojrzeniu.

Kto to, na Boga, jest? I czego od niej chce?

– Dzień dobry, Oriano – przywitał się dziwnie śpiwnym głosem. – Jestem Dolg. Albo Dolgo, jeśli wolisz, bo przecież jesteś Włoszką i pewnie bardziej podoba ci się ta forma mojego imienia.

Dolgo? Syn czarnoksiężnika!

Tak, to może być on. Ale czego od niej chce?

Strażnicy świętych kamieni pozwolili, by Dolg pożyczył szafir. Prawdę powiedziawszy tylko on, i jeszcze dwóch czy trzech innych miało prawo zbliżyć się do kamieni.

Czerwony farangil nie znosił, kiedy podchodził do niego ktoś obcy, jakiś czas temu zdarzyło się straszne nieszczęście, kiedy jeden z mieszkańców miasta

nieprzystosowanych zdołał zakraść się do pomieszczenia, zamkniętego dla wszystkich, do którego zaglądano jedynie przez grube szklane szyby. Otóż ten człowiek skończył bardzo źle. Migotliwe światło mieniające się czerwienią, błękitem i fioletem oślepiło go tak, że nie widział nic. Był jednak zdecydowany przywłaszczyć sobie szlachetne kamienie i poprzez to zdobyć władzę nad innymi, więc po omacku brnął dalej.

Niebieskiego kamienia może mógłby dotknąć, nigdy się tego nie dowiedzieli. Człowiek ów bowiem najbardziej pożałował bajecznie pięknego farangila, a ten go po prostu spalił, unicestwił w jednym okamgnieniu, zanim Strażnicy zdążyli dobiec. Pozostało im tylko zmieść na kupkę popiół, jaki został z nieszczęśnika.

Ale Dolg mógł tam wchodzić bez obawy. To przecież on uratował kamienie, on spełnił marzenie wielu tysięcy lat, dzięki niemu cudowne klejnoty znalazły się w Królestwie Światła.

Tak więc Dolg poszedł do skarbcza, zatrzymał się w progu i pozdrowił kamienie z wielkim szacunkiem.

– Moi drodzy przyjaciele – powiedział, a pokój wypełniał się coraz jaśniejszym mieniającym się czerwono i niebiesko światłem. – Pomogliście mi przejść przez wiele trudnych prób, przeżyć wiele ciężkich chwil. Czy pomożecie mi raz jeszcze?

Fajerwerk światła był odpowiedzią.

– Muszę prosić niebieski szafir o uratowanie życia pewnej dobrej kobiety.

Nie oczekiwał reakcji, jaka nadeszła. Czerwony farangil rozplomienił się tak intensywnym, płonącym światłem, jakby klejnot zanosił pokorne modły.

Dolg zwrócił się ku niemu.

– Czy ty również pragniesz pomagać? – zapytał zdumiony. – Owszem, mój drogi przyjacielu, zaraz to załatwimy!

Nie rozumiał, co się dzieje. Farangil nie był przecież kamieniem pociechy, on nikogo nie ratował. To był agresywny kamień służący do obrony, bardzo, ale to bardzo niebezpieczny.

Obcy, którzy byli strażnikami w tej świątyni, pełni obaw pozwolili Dolgowi zabrać ze sobą oba kamienie, umieszczone każdy w swoim złotym pojemniku.

I oto teraz Dolg znajdował się z nimi u Oriany. Siedział na krawędzi łóżka Włoszki, a klejnoty położył ostrożnie przy sobie.

– Słyszałem, że jesteś ciężko chora – rzekł łagodnie.

– Jestem, niestety. A tak bardzo chciałabym tutaj pożyć.

Udręczona Oriana patrzyła na młodego człowieka. On uśmiechał się do niej łagodnie.

– Dlatego właśnie jestem u ciebie – oznajmił. – Sam nie potrafiłbym dokonać zbyt wiele, ale mam tu dwóch przyjaciół, którzy chyba potrafią więcej.

– Nikt nie może mi pomóc – westchnęła Oriana. – Na to trzeba by cudu.

– I właśnie tego teraz spróbujemy.

Co on chce przez to powiedzieć? Czyżby on był...

Przestała w ogóle cokolwiek myśleć, kiedy Dolg wyjął z jednego pojemnika mieniającą się kulę. Wprost nie mogła się napatrzeć temu klejnotowi, który wypełniał pokój migotliwą niebieską poświatą. Wszystko wokół niej stało się niebieskie. Delikatnie i ciepło niebieskie.

– Czy to jest kamień? – spytała z niedowierzaniem. – Kamień szlachetny?
Skinął głową.
– To szafir. Nie ma sobie równego.
– W to mogę uwierzyć – rzekła matowym głosem. – Jaki wielki!
Dolg musiał trzymać klejnot obiema rękami, rzeczywiście był ogromny.
Syn czarnoksiężnika miał poważny dylemat. Co zrobić z farangilem? Czerwony kamień sam chciał, żeby go tutaj przyniesiono. Ale on przecież może zabijać! Co się więc stanie, jeśli zostanie wyjęty...? Mogą pojawić się trudności.
Ostrożnie zajrzał do drugiego pojemnika. Farangil pulsował stłumioną czerwienią, ale bardzo, bardzo słabo. Dolg, który potrafił tłumaczyć jego sygnały, skinął głową.
– Zachowujesz się wyczekująco – szepnął. – To bardzo dobrze.
Potem znowu odwrócił się do Oriany.
– Rozmawiałem z ordynatorem twojego oddziału, powiedział mi, które części twojego ciała są najbardziej chore. Wygląda na to, że choroba się rozprzestrzeniła. Zaczniemy wobec tego od głowy, podobno cierpisz na silne bóle.
– Tak, z każdym dniem coraz straszniejsze.
– Zobaczymy, czy uda się temu zaradzić. Niebieski szafir posiada cudowne właściwości, dobrze o tym wiem, ponieważ pomógł mi pewnego razu na Islandii, kiedy stoczyłem się ze zbocza i bardzo potłukłem. Nie mówiąc już o tym, co zrobił dla mojego ojca...
– A cóż on takiego zrobił dla twojego ojca, czarnoksiężnika?
– Wskrzesił go do życia – odparł Dolg cicho.
– Ooo – szepnęła Oriana. Nie bardzo wiedziała, czy ma w to wierzyć, czy nie.
Dolg oparł roziskrzony szafir o jej czoło. Oriana leżała spokojnie i czuła, jak potworny ból ustępuje, najpierw w karku i ramionach, potem w głowie. Czuła ulgę ponad karkiem, w szczękach, w skroniach, ból przesunął się i zbierał w jednym punkcie, tam, gdzie kamień dotykał czoła.
Miała wrażenie, jakby szafir wyjął ból z jej głowy i wessał go w siebie.
– Och, Dolgo – wyszeptwała, bo rzeczywiście wolą nazywać go włoską odmianą imienia.
– Dolgo, to cudowne!
– Widzę – uśmiechnął się. – No to jedźmy dalej. Lekarz powiedział, że cały układ kostny jest zaatakowany. Czy pozwolisz, że będę dotykał twojej skóry?
Wahała się przez chwilę.
– Naturalnie, czyniący cuda Dolgu – mruknęła odrobinę skrepowana.
Dolg właśnie zamierzał odsunąć na bok kołdrę, kiedy oboje podskoczyli, bo drzwi zostały gwałtownie otwarte. Oczy Oriany rozszerzyły się z przerażenia.
– Kent!
– Tak, właśnie – syknął jej zniechęcony mąż. – Czy oni naprawdę wierzyli, że mnie pokonają? Mnie? A teraz ty zapłacisz za całe upokorzenie, jakie musiałem znieść... Kto to, do cholery, jest? Czy już zdążyłaś poszukać sobie kochanka?
Dolg siedział w milczeniu i patrzył, jak czerwona poświata rozrasta się w pojemniku z farangilem. Widział, że szalony z wściekłości człowiek trzyma w ręce kuchenny nóż i nie zawaha się przed jego użyciem.
Wiedział również, że strażnicy ścigają tego nędznika.

Spokojnie wyjął farangil.

Tylko Dolg mógł trzymać kamień w rękach. Żaden ze Strażników nie byłby w stanie tego robić, Obcy także nie, nawet Móri. Jak było z Markiem, nikt nie wiedział, ale jest mało prawdopodobne, by potrafił panować nad nie poddającym się nikomu kamieniem.

Dolg uniósł farangil w stronę Kenta, a mordercze ciemnoczerwone promienie natychmiast spaliły człowieka, który najpierw wrzeszczał i wił się w potwornych boleściach, potem umilkł, a wkrótce jego ciało przemieniło się w szary popiół.

Klejnot dokonał tego, czego chciał, i żar powoli wygasał, przemieniał się w pulsującą, mroczną czerwień. Dolg odłożył kamień z cichym podziękowaniem. Oriana była wstrząśnięta. Bała się, że serce odmówi posłuszeństwa, ale widocznie było jeszcze silne. Ten niezwykle młody człowiek, obdarzony wiedzą niczym Matuzalem, zwrócił się do niej i spytał spokojnie:

– Możemy kontynuować?

Tak więc brzemienna w ważne wydarzenia noc świętojańska pozostała już tylko wspomnieniem w pamięci tych wszystkich, którzy podczas jej trwania zostali zaczarowani, omamieni lub przestraszeni.

Miranda z błogosławieństwem taty Gabriela przeniosła się do domu Gondagila. Przedtem jednak ich związek został zalegalizowany przez władze. Jakiś porządek powinien mimo wszystko panować. Postanowiono zbudować dla nich dom w lesie, bo mała chatka była potrzebna jako przejściowe mieszkanie dla nowo przybyłych. Najbliższym sąsiadem młodej pary miał być Oko Nocy, co wszystkich troje bardzo cieszyło.

Tsi-Tsungga dostał od Strażników nową gondolę. Nie dlatego, że sobie na to zasłużył, ale tak strasznie rozpaczał po utracie starego pojazdu, że Strażnicy się zmiłowali. Podejmował teraz codzienne podniebne wyprawy i budził dreszcz grozy we wszystkich, których napotykał po drodze. Cziki wiernie siadywał u jego boku, teraz w małej klatce na stałe wbudowanej w gondolę. Tsi nie chciał ryzykować, że po raz drugi utraci przyjaciela. Kiedy nie podejmował swoich szalonych wypraw gondolą, z upodobaniem spędzał czas w lesie na drzewie i na swoim flecie wygrywał smutne melodie o bezgranicznej samotności. Nikt tego jednak nie traktował poważnie, Tsi-Tsungga miał na to zbyt wielu przyjaciół.

Jori odgrywał rolę centrali informacyjnej dla całego królestwa, jeśli chodzi o sprawy Gór Czarnych, a przynajmniej ich przedpola. Nikt tak się nie przechwalał szaloną wyprawą jak on. Jego opowiadania przerażały słuchaczy, zwłaszcza że ubarwiał je wytworami swojej fantazji.

Trzy najmłodsze dziewczyny nie rozmawiały ze sobą o snach, jakie miały w noc świętojańską. Berengaria obiecała solennie, że w przyszłym roku nazbiera prawdziwych polnych kwiatów, a Sassa prychała i nie chciała powiedzieć, kto jej się wtedy przyśnił. Siska chodziła zamyślona. Nie, ona też nie chciała ujawnić, kto ukazał jej się w roli kandydata do ręki, nigdy w życiu! W jej oczach jednak często widziało się zdumienie. W ogóle miewała ostatnio tajemniczą minę, ale to pewnie dlatego, że została wybrana do

Najwyższej Rady. Zasiadały tam obie z księżną Theresą i miały wiele wspólnych tematów.

Theresa przypominała sobie ze smutkiem wszystkie noce świętojańskie, jakie przeżyła w zewnętrznym świecie. Teraz i tych, spędzonych w Królestwie Światła, też było coraz więcej. Kiedy Theresa myślała o ostatniej, zawsze przenikał ją dreszcz i biegła szybko do małego ołtarzyka z wizerunkiem Madonny, by podziękować jej za powrót ukochanego prawnuka Joriego z diabelskiej siedziby, jak nazywała Góry Czarne.

Paula przeżyła porządny wstrząs, nie tylko z powodu trudnych do zrozumienia wydarzeń nocy świętojańskiej, lecz także dlatego, że została skrzyuczana. To rzeczywiście głupi pomysł nazywać się Orianą, rozumiała to teraz sama. Mogła przecież w ten sposób przyczynić się do śmierci prawdziwej Oriany. A przecież wcale tego nie chciała, Paula była przyjazną duszą i lubiła Oriane. Z opowieściami na temat swoich czarodziejskich zdolności też była ostrożniejsza, bo tutaj takie gadanie mogło mieć konsekwencje. Wszędzie aż się roiło od prawdziwych znawców magicznych sztuk, więc jej amatorszczyzna została bardzo szybko odkryta.

W królestwie elfów ponownie zaprowadzono spokój. Nikt już nie tęsknił, by wyruszyć do Gór Czarnych, mieszkańcy królestwa nie myśleli o niczym takim, pragnęli pozostać w swoim cudownym lesie.

No, może jednak był ktoś, kto tęsknił do przeprowadzki. Mała Fivrelde nieustannie dawała do zrozumienia swojemu Dolgowi Lanjelinowi, że w dużym lesie czuje się niedobrze. Źle sypia, bo w jej domu jest zimno i potwornie wieje. Dolg w to oczywiście nie wierzył, bo przecież w Królestwie Światła nie ma ani wiatru, ani przeciągów. Mała panienska z rodu elfów znajdowała setki innych wymówek, jak na przykład to, że Dolg potrzebuje kogoś, kto by go pilnował, a ona czuje się samotna i tak dalej.

W końcu pozwolił jej zamieszkać w swoim pięknym ogrodzie. Obiecał, że będą razem jadać śniadania na tarasie. Będą razem spacerować. Postawił tylko warunek, że nigdy nie wolno jej wchodzić do wnętrza domu, pragnął zachować mimo wszystko trochę prywatności.

Fivrelde była wzruszona i natychmiast się przeprowadziła, zajęła najpiękniejsze miejsce, pod oknem jego sypialni, ponieważ, jak twierdziła, Dolg potrzebuje ochrony, na wypadek gdyby zagroził mu ktoś z Królestwa Ciemności albo z miasta nieprzystosowanych. Ignorowała przy tym kompletnie fakt, że Dolg ma znakomitego obrońcę Nera. To absolutnie nie to samo.

Tak więc noc świętojańska minęła szczęśliwie dla wszystkich z wyjątkiem istot obdarzonych złymi charakterami. Potomek Feme skończył w zamknięciu. Kent został unicestwiony, paskudne pełzające stwory na górskiej ścianie straciły obiad, a wszystkie nieznanne i niewidzialne bestie z Gór Czarnych musiały patrzeć, jak zdobycz wymyka im się z rąk.

Mieszkańcy miasta nieprzystosowanych uspokoili się, tam też nikt już nie tęsknił do złych gór. Znowu było jak przedtem, wszyscy się na coś skarżyli i wszyscy czuli się źle, ponieważ oni w ogóle źle się czuli. Byli to po prostu pospoliccy, pozbawieni wdzięku i wyobraźni ludzie, oni skarżyliby się również na Ziemi, tęsknili do obecnych warunków i mówili: „W Królestwie Światła wszystko było inaczej! Tam to dopiero było życie!”

Tego dnia, kiedy Oriana opuściła szpital w eskorcie Jaskariego, radosna, szczęśliwa i zdrowa, Indra została wezwana na spotkanie do pałacu Marca.

– No popatrz, popatrz – śmiała się Indra do siostry, która właśnie przyszła odwiedzić rodzinę. – No i nadeszła moja kolej, teraz ty jesteś zużyta i wyrzucona na śmieci.

Miranda wiedziała doskonale, że siostra ma taki właśnie sposób mówienia.

Ale rzeczywiście nadeszła kolej Indry.

Nigdy by się nie spodziewała tego, co usłyszała w pałacu. Wszyscy zebrani przyjęli ją z wielką powagą. Indra początkowo nie była w stanie rozmawiać, stojąc twarzą w twarz z tyloma ważnymi osobami.

A zadanie? Ona, jedyna ze wszystkich, została wyznaczona, by wychować wybranego chłopca, który poprowadzi ich do Gór Czarnych. Nie będzie to łatwe zadanie, mówił potężny Talornin.

Indra wtrąciła, że przecież nie wie kim jest ten chłopiec

Nie, oczywiście, że nie, nigdy go jeszcze nie spotkała. Teraz będzie musiała się wybrać w długą podróż, by go przywieźć do stolicy.

Kiedy Indra usłyszała, dokąd pojedzie, z podniecenia dostała gęsiej skórki.

Mieli jechać do nieznanych, zakazanych, południowych części Królestwa Światła.